OSTATNI PROCES CZAROWNIC

„piwnica" „lodex" „koliber"

OPOWIADANIA JANA HUSZCZY

ODGŁOSY

ROK XIX NR 43 (985) 21 PAŹDZIERNIKA 1976 R. CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

GOSPODARKA

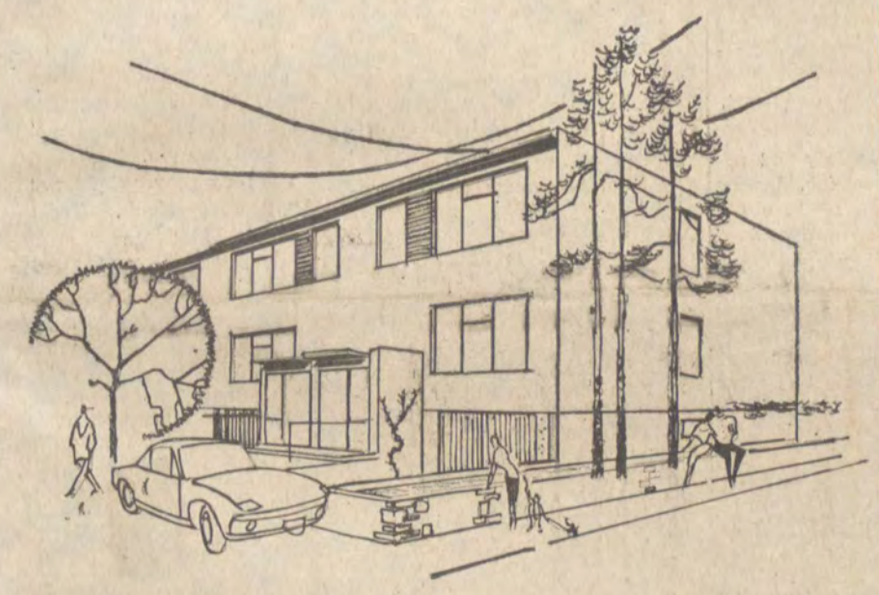

KRZYSZTOF POGORZELEC

BUDUJ pan CHATĘ!

NAWET NIE WIADOMO DOKŁADNIE ILU JEST AMATORÓW NA TAKI „NABYTEK", NO I — JAK SIĘ ZA CHWILĘ OKAŻE — NIEBAGATELNY WYSIŁEK, BIORĄC POD UWAGĘ BARDZO PRZYBLIŻONE DANE, MOŻNA JEDNAK PRZYJĄĆ, ŻE W POLSCE JEST JUŻ OKOŁO 200 TYS. OSÓB CHCĄCYCH BUDOWAĆ WŁASNE TAK ZWANE JEDNORODZINNE DOMKI. SKĄD TA LICZBA? TYLE, NA OBSZARZE CAŁEGO KRAJU, WYDANO POZWOLEŃ NA BUDOWĘ. POWIECIE MOŻE: OD ZEZWOLENIA W PORTFELU DO ZAWIESZENIA WIECHY NA „CHACIE" — DALEKA DROGA. Z CAŁĄ PEWNOŚCIĄ, ALE NIE TYLKO O TO CHODZI.

Ciągoty marginesu, czy sięganie po rezerwy?

Nie da się ukryć tego, że wokół budownictwa domków jednorodzinnych przez długi czas utrzymywała się u nas, mówiąc ogólnie, nie najlepsza atmosfera. Myślę, że był to rezultat ambitnych, nakładających się jednak na siebie zjawisk zarówno ekonomicznych jak i społecznych, a także występowania w tej dziedzinie tego co zwykliśmy określać mianem „anomalii" czy też marginesem naszego życia. I trudno się temu dziwić, że tak właśnie mogło być, a jeszcze gdzieniegdzie bywa, bowiem w sytuacji niedostatku — mimo stale rozwijającego się budownictwa „blokowego" — nowych mieszkań, napiętych bilansów materiałowych, no i niezbyt wysokiej zasobności finansowej, a i — co też się zdarzało — dosyć wątpliwej jakości inicjatyw różnych ludzi, musiały wywoływać „złożone" odczucia.

I to jest jedna strona owego zjawiska, która dała o sobie szczególnie znać od połowy lat sześćdziesiątych.

Mamy jednak rok 1976 i sytuację, przynajmniej w wielu jej aspektach zupełnie odmienną. Diametralnym przeobrażeniom uległa po roku 1970 przede wszystkim polityka, strategia gospodarowania podporządkowana celom społecznym, co najpełniejszy wyraz znalazło w postanowieniach VI a następnie VII Zjazdu partii. Jej wyznacznikiem nie była już „ekonomia wskaźników" lecz kierowanie gospodarką w taki sposób, aby poprzez ogólny rozwój, ze szczególnym naciskiem na dziedziny mające istotne znaczenie dla lepszego zaspokojenia potrzeb, doprowadzić do odczuwalnej poprawy warunków bytu ludzi pracy. Nie można w tym miejscu pominąć przyjętej polityki dynamizowania gospodarki ale i polepszania warunków życia poprzez wzrost płac, jak i inne decyzje z dziedziny polityki finansowej, m. in. udzielanie kredytów, co efektywnie wpłynęło na zasobność „portfeli" najszerszych kręgów ludzi pracy. W programach rozwoju naszego kraju po lata 80-te, rozwiązania jego

Dalszy ciąg na str. 3

REPORTAŻ ZAGRANICZNY-IRAN (2

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

SAMOCHÓD JEDZIE PRZEZ PUSTYNIĘ

— Jezus Maria jak gorąco! Salem! — powitał mnie Ali, kiedy o wpół do piątej rano stanąłem przed hotelem „Miami" w Teheranie.

— Salem! Ale gorąco to dopiero będzie.

Ali zgodził się. Ali w ogóle jest zgodny. Jest znakomitym kierowcą. Jest Kurdem i mówi trochę po rosyjsku. Gdzie się tego nauczył, diabli wiedzą. W Teheranie można spotkać mówiących po rosyjsku Ormian. Zajmują się oczywiście handlem. Ali nauczył się też trochę po polsku. Bardzo mu się podoba zdanie, często tu przez Polaków używane: **— Jezus Maria jak gorąco.** I Ali z upodobaniem powtarza to zdanie ilekroć ma do czynienia z Polakami.

1.

Teheran budzi się dopiero do życia. Ulice są jeszcze puste. Do sklepów dowozi się towary. Ruszają kramarze. Możemy jechać szybko. Mamy przed sobą długą drogę. Sprzed Ambasady PRL w Teheranie zabieramy **Jerzego Krasowskiego** — rektora Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie, który jedzie do Szirazu i część drogi odbędzie samochodem, a z Isfahanu w dalszą podróż uda się samolotem. Miał się z nami też zabrać kompozytor **Wojciech Kilar**, ale szkoda mu było czasu i już wieczorem poleciał samolotem do Isfahanu. Ma tam na nas czekać w hotelu „Shah Abbas".

— **Jak będziecie w Isfahanie** — powiedział nam na pożegnanie Andrzej Makarewicz, radca Ambasady PRL w Teheranie — **koniecznie zwiedzcie hotel „Shah Abbas", warto to zobaczyć. Kiedy mi tak mówiono, nie wierzyłem, ale sam się przekonałem i wam to radzę.**

Teheran leży u podnóża południowego stoku gór Elbrus, których najwyższy szczyt ma 5 604 m. Południowe stoki Elbrusu są gołe, brunatne, pustynne. Karłowata roślinność występuje tylko w ich górnych partiach. Po stronie północnej tych gór panuje zupełnie inny klimat. Tropikalny. Padają tam ulewne deszcze. Średnia ilość opadów w ciągu roku daje 1 525 mm wody. Lasy są bogate w zwierzynę. Jeszcze nawet dziś — jak mi opowiadano w Teheranie — można spotkać tam lwa lub tygrysa. Nie brakuje też wszelkiego rodzaju gadów. Ale aby to zobaczyć trzeba dostać się na północną stronę gór Elbrus. Z Teheranu prowadzą tam dwa szlaki.

Ale my jedziemy na południe. Po tej części gór Elbrus panuje klimat zwrotnikowy suchy. Jedziemy przez Wyżynę Irańską. Poprzez Góry Środkowoirańskie. Skrajem wielkiej słonej pustyni — Daszt-e Kawir, która na południowy-wschód od Isfahanu przechodzi w pustynię Daszt-e Lut, którą od wschodu zamykają Góry Wschodnioirańskie.

Dalszy ciąg na str. 5

KULTURA

AMBITNE PLANY STUDENTÓW

Jeszcze w tym roku rozwój kultury studenckiej w Łodzi zostanie podparty nowymi zasadami organizacyjnymi, szeroko zakrojonym programem działania.

Do tej pory tu i ówdzie narzekano na słabą aktywność działania kultury, ale fakt, iż niezbyt liczono się z dorobkiem Łodzi na tle osiągnięć innych miast (np. Warszawy czy Krakowa) miał źródło w tak fundamentalnych przyczynach, jak: brak jednolitego, szerokiego programu pracy, nieumiejętność angażowania rzesz studentów, małe fundusze. Dochodziło do sytuacji paradoksalnych.

Na przykład na Uniwersytecie Łódzkim działał tylko jeden fachowy pracownik kulturalno-wychowawczy (kierownik chóru), mimo, iż wymagania co do udziału profesjonalistów są dużo większe. Albo: nie zaspokajano potrzeb lokalowych, choć równocześnie nie wykorzystywano w pełni istniejących pomieszczeń. A ile cennych inicjatyw upadło z powodu braku informacji! Trudno sobie wyobrazić, że działacze U.Ł. dysponowali do tej pory jednym zużytym powielaczem, niewielką ilością brystolu i pędzli oraz... zerowymi funduszami na ten cel. Zbyt nikła też była działalność na rzecz miasta czy kontakty międzyuczelniane.

Mimo to zrobiono sporo. Przypomnę choćby szereg twórczych i popularyzatorskich inicjatyw ambitnego Klubu UŁ „Na Piętrze", laureata głównej nagrody w Ogólnopolskiej Giełdzie Programów Klubowych. Nowe premiery, kontakty zagraniczne, komplety widzów, artykuły w prasie, wystawy dorobku, zgrany kolektyw i świetna organizacja pracy — oto dorobek studenckiego teatru „Pstrąg".

Ciekawie zapowiada się działalność Chóru Akademickiego UŁ, laureata I nagrody na VIII Festiwalu Pieśni, Walki i Pracy — Kraśnik 76, od wielu lat pracują dyskusyjne kluby filmowe. Spośród najpoważniejszych imprez na Uniwersytecie wspomnę „Trybunę Kultury", coroczne „Uniwersjady", „Tydzień Kultury Radzieckiej".

A przecież wymienione już kłopoty nie wyczerpują ich listy. Grupa ludzi działających samodzielnie, przygotowanych do tworzenia modelu kultury studenckiej jest jeszcze nieliczna, a spontanicznością nie nadrobi się braków przygotowania organizacyjnego i merytorycznego. Jakże często autentyczne indywidualności twórcze pozostają na uboczu, nie tkwią w nurcie pracy ideowo-wychowawczej, negując potrzebę działania innych. A młodzi odbiorcy? To raczej konsumenci w złym znaczeniu tego słowa, którzy oczekując propozycji, sami siebie nie widzą w roli dawców. Odkąd jednak kultura znalazła się na ważnym miejscu w planach dydaktyczno-wychowawczych łódzkich uczelni stało się jasne, że ludzie, którzy będą chcieli pracować, muszą uświadomić sobie, iż te cechy działacza, które formułują i żądają od nich statuty organizacji młodzieżowych (jak: aktywność, samodzielność, odpowiedzialność, niekonwencjonalność) są po prostu cechami ludzi d o j r z a ł y c h.

Doświadczenie jednak mówi, że stawiać trzeba na najmłodszych. W tej chwili trwają systematyczne prace nad wyłuskaniem uzdolnionych twórczo studentów pierwszych lat. Okazuje się, jak wiele talentów (np. nagrodzonych na konkursach literackich, festiwalu tkaniny artystycznej) trafia na uczelnie, a potem wskutek różnych przyczyn nie włącza się w nurt działań.

Plan pracy studentów Uniwersytetu Łódzkiego zapowiada się szczególnie ciekawie. Ruch kultury scentralizowany będzie w formie Uniwersyteckiego Ośrodka Kultury „OKO" na terenie osiedla im. ZWM przy ul. Lumumby. Ponieważ rozwój klubów studenckich jest dotąd niewspółmierny w stosunku do możliwości, klubom tym nada się większą samodzielność i rozleglejsze kompetencje.

Będzie zatem działać cyklicznie 7 klubów w wyspecjalizowanych kierunkach: teatralno-literackim i dziennikarskim, muzycznym, plastycznym, politycznym, poliglotycznym, kursowo-praktycznym i fotograficzno-filmowym. Te formy pomogą włączyć się w pracę wszystkim chętnym, pomogą wyjść z wąskich towarzyskich kółek. Instruktorami będą m. in. profesjonaliści. Szczególnie intrygująco zapowiada się działalność Klubu Politycznego młodzieży partyjnej UŁ.

Przy współpracy KŁ PZPR i Komitetu Uczelnianego kontynuowana będzie, lecz w bardziej zorganizowanej i masowej formie „Trybuna Kultury", określana jako „kulturalna szkoła świadomości politycznej", miejsce informacji ideowej i gospodarczej. Położy się tu nacisk na kształtowanie studenckiej świadomości, walkę z rozdwojeniem ideowym, na żywy charakter konfrontacji studentów z ludźmi, którzy swoją postawą ideową zilustrują podejmowane problemy.

Z kolei Studencka Akademia Kultury będzie realizowana przy współpracy naukowców z Zakładu Socjologii Kultury UŁ, jako miejsce szkolenia aktywu kulturalnego. Spotkania z kulturą XX wieku — to cykliczny przegląd pracy poszczególnych klubów, a Giełda Pomysłów będzie podsumowaniem dorobku i konfrontacją nowych pomysłów młodzieży studenckiej. Rozpoczną się codzienne kursy i pokazy, projekcje i spotkania, wśród różnorodnych rodzajów zabawy i wypoczynku nie zabraknie giełdy piosenek, zespołów muzycznych, galerii plastycznych, pracowni, kiermaszy, bazarów i wyprzedaży, turniejów i konkursów.

W swojej działalności agendy kulturalne akcentują ciągłość inicjatyw i realizacji, pomysłowość, szeroką propagandę. Studenckimi pracami pragnie się jeszcze w większym stopniu zainteresować władze miasta i prasę, placówki kulturalne na terenie Łodzi, kolegów i kadrę naukową innych uczelni i miast, przyjaciół za granicą kraju. Studencki ruch kulturowy zatoczy większe kręgi z chwilą, gdy po przeprowadzeniu niezbędnych reform administracyjnych, jesienią, wyjdzie do środowisk łódzkich. Planuje się dynamiczne akcje w zakładach pracy (np. przerywniki studenckich literatów, kabaretów, piosenkarzy), koncerty dla miasta (np. happeningi, Turniej Dyrektorów łódzkich przedsiębiorstw), dalsze kontakty ze społecznością domów opiekuńczych itp.

Te i inne inicjatywy wymagają jeszcze zabezpieczenia w postaci dotacji, remontów sal teatralnych, zradiofonizowania gmachów uniwersyteckich powiększenie własnej bazy wydawniczej, etatów.

Ponieważ wiele zależy od pomocy władz miasta (np. Urzędu Miasta, gdy chodzi o bazę dla prężnie działającego studenckiego Biura Biletowego) — studencki ruch kulturalny, będąc akcją masową i otwartą, liczy na społeczną aprobatę i na realną współpracę wszystkich sojuszników, których już udało się i jeszcze uda się zjednać w naszym mieście.

TOMASZ SOLDENHOFF

INFORMACJE

SPADEK CZYTELNICTWA W USA

W Stanach Zjednoczonych spadło zainteresowanie czytaniem i kupowaniem współczesnych wartościowych utworów literackich publikowanych przez wydawców amerykańskich. Sondaż opinii publicznej prowadzony co roku wskazuje, że tylko 8 proc. mieszkańców USA nabywa książki o wartościach literackich. Ankieta Instytutu Gallupa wykazała, że połowa ludności Stanów Zjednoczonych, w ogóle nie czyta książek.

ŁÓDZKIE STUDIUM HISTORII FILMU

W Łódzkim Domu Kultury powstało przy współpracy Filmoteki Polskiej studium historii filmu dla młodzieży. Na pierwszy rok zajęć zgłosiło się prawie 900 uczniów szkół licealnych, studentów i aktywistów organizacji młodzieżowych z różnych przedsiębiorstw.

W programie studium przewidziane są prezentacje czołowych filmów z różnych okresów, dyskusje i seminaria z udziałem znanych twórców.

REKORDOWA CENA ZA DZIEŁO REMBRANDTA

Na aukcji dzieł sztuki w Nowym Jorku zakupiono za rekordową cenę 3,2 mln dolarów obraz pędzla Rembrandta przedstawiający boginię rzymską Junonę. Dzieło to zaginęło przeszło 250 lat temu, po śmierci pierwszego nabywcy. Na jego ślad natrafiono dopiero w XX wieku. Sprzedano go na aukcji w Kolonii w 1935 r. za sumę... 214 dolarów, ponieważ sądzono, że jest to obraz jednego z licznych naśladowców stylu Rembrandta.

STARA WARSZAWA NA MAŁYM EKRANIE

XIX-wieczna Warszawa znana nam już tylko z dawnych rycin i dagerotypów, z jej niepowtarzalnym stylem, wyglądem ulic i modą, którą teraz nazywamy retro, ożyje już wkrótce na małym ekranie, w telewizyjnym filmie „Lalka". Dziewięć jego odcinków reżyseruje Ryszard Ber na podstawie powieści Prusa. Operatorem jest Jacek Korcelli. Zdjęcia realizowane są w Warszawie i Łodzi, a stare Powiśle, którego już dawno nie ma, zbudowano w dekoracjach w Czerwińsku, gdzie rozpoczęła się ekranizacja telewizyjnej „Lalki".

NAGRODA „TEATRU" DLA ANDRZEJA WAJDY

Przed przedstawieniem w warszawskim Teatrze na Woli 26 ub. m. odbyło się wręczenie nagrody im. Konrada Swinarskiego — Andrzejowi Wajdzie za wyreżyserowanie w tym teatrze sztuki hiszpańskiego dramaturga Antonio Buero Vallejo „Gdy rozum śpi". Nagroda ufundowana przez dwutygodnik „Teatr" przyznawana będzie corocznie za najwybitniejsze realizacje teatralne. Andrzej Wajda jest pierwszym laureatem tej nagrody.

NAGRODY NOBLA

Ogłoszono już nazwiska tegorocznych zdobywców nagrody Nobla z zakresu fizyki i chemii. Natomiast 21 października poznamy laureatów nagrody w dziedzinie literatury.

W związku z tym warto przypomnieć zasady podziału tych nagród.

Nagrody Nobla, są to nagrody przyznawane za największe osiągnięcia w zakresie: fizyki, chemii, fizjologii lub medycyny, literatury, za działalność na rzecz zbliżenia między narodami lub za niesienie pomocy poszkodowanym.

Nagrody przyznają: Szwedzka Akademia Nauk, Karoliński Instytut Medyczno-Chirurgiczny w Sztokholmie, Akademia Szwedzka oraz stały Komitet Nobla norweskiego parlamentu za działalność na rzecz pokoju.

Wysokość nagród zależy od dochodów z majątku fundacyjnego zarządzanego przez Fundację Nobla. Nagrody mogą być dzielone lub przyznawane kilku osobom łącznie. Poza nagrodami pieniężnymi laureaci otrzymują złote medale i dyplomy.

WSPOMNIENIA

ALFRED TYLMAN

TAJNE NAUCZANIE

Tajne nauczanie w czasie okupacji niemieckiej ostatniej wojny posiada już bogatą dokumentację, drukowaną zarówno w formie wspomnień lub pamiętników nauczycielskich, jak i w ujęciach sumujących wysiłki pedagogów polskich, jakie czynili oni w czasach totalnego terroru, nieznanego w dotychczasowej historii świata. Relacja, którą zamierzam tutaj podać, jest o tyle interesująca, że dotyczy wsi, gdzie w budynku szkolnym przez kilka miesięcy każdego roku okupacyjnego kwaterowało wojsko niemieckie. Z tego powodu wieś poddawana była ciągłej inwigilacji, a mimo to pod powierzchnią codziennego życia wsi, widzialnego dla wroga, kwitło bogate życie podziemne. Jednym z elementów tego życia było tajne nauczanie.

Zachowanie konspiracji w dużym mieście było mniej trudne, unikając bowiem niepożądanego wzroku można było wyłączyć niejako małą grupkę odpowiednio poinstruowanych dzieci z tłumów zapełniających ulice, zamknąć w mieszkaniu otoczonym znanymi i życzliwymi sąsiadami i pracę prowadzić. Ale na wsi, w której wszyscy się znają, wszystko o sobie wiedzą, sytuacja wymagała wyjątkowej solidarności, obejmującej bardzo dużą grupę ludzi.

Taką właśnie godną podziwu grupę tworzyli mieszkańcy wsi Głuchów skierniewicki. Rodowodu patriotycznej postawy społeczności głuchowskiej łatwo doszukać się w działalności społecznej w okresie międzywojennym. Głuchów, szczycący się 800-letnią historią, był miejscem cennych inicjatyw spółdzielczych i niemałych osiągnięć gospodarczych. Objęty wpływami Mazowieckiego Uniwersytetu Wiejskiego, przejawiał działalność w ramach Stronnictwa Ludowego jak i istniejącego na terenie wsi Koła Młodzieży Wiejskiej „Wici". W pracy kulturalno-oświatowej wyróżniało się Koło Gospodyń Wiejskich oraz zespół teatralny.

Wybuch wojny przerwał tę pokojową działalność. Przestały działać organizacje, ale pozostali ludzie. Działalność dotychczasowa przybrała inne formy, narzucone przez sytuację. Były to formy ostrej walki zbrojnej, która, począwszy od tragicznych dni wrześniowych, rozwijała się gwałtownie w latach okupacji. Walka znaczona była tragicznymi stratami ludzkimi. Na krótko przed wyzwoleniem Niemcy rozstrzelali kilkunastu żołnierzy podziemia. Niektórzy z nich spoczywają obecnie na miejscowym cmentarzu obok żołnierzy Września. Po innych została tylko pamięć, zginęli bowiem w obozach koncentracyjnych.

Tajne nauczanie w Głuchowie prowadzone było na dwóch szczeblach. W szkole powszechnej obejmowało historię ojczystą i geografię Polski — w klasach od V do VII. Naukę tych przedmiotów pobierało 120 uczniów. W tajnym gimnazjum czynne były 3 klasy, do których uczęszczało 47 uczniów, w tym 31 dziewcząt. I tak w klasie I — 20, w II — 16 i w III — 11. W klasach I i II ilość godzin wynosiła 25, w III zaś 20 godzin tygodniowo. Zajęcia rozpoczynały się o godz. 12.30, kończyły o 17.30.

Zorganizowanie kompletów gimnazjalnych na terenie wsi Głuchów było ważnym wydarzeniem. Była to bowiem nauka w szkole, która w ówczesnej organizacji szkolnictwa, otwierała bramy szkół wyższych. Zaistniał więc fakt prowadzący do spełnienia marzeń wielu głuchowian, bowiem w przedwojennej Polsce tylko nieliczne jednostki mogły przekroczyć te wysokie progi.

Według danych z lat 1928—1939 szkołę ponadpodstawową ukończyło w Głuchowie 49 osób, których wykształcenie kończyło się na szkołach zawodowych lub różnych innych o profilu technicznym. Ukończenie ich dawało co prawda absolwentom zawód, ale nie otwierało bariery szkół wyższych, które — według przepisów sprzed wojny — dawały prawo wstępu w swoje progi wyłącznie maturzystom gimnazjalnym.

Nauka więc w gimnazjum zawierała w sobie cel złożony: syciła wychowanków treściami patriotyczno-wychowawczymi, dawała możliwości kontynuowania studiów w przyszłości, przyśpieszała stopień wykształcenia w walce z czasem, który płynął latami wojny.

Oczywiście cała akcja nauczania była niebezpieczna dla uczniów i nauczycieli. Niebezpieczeństwo zmniejszało się, gdy nauka odbywała się w sposób „mieszany" z „oficjalnymi" zajęciami w gmachu szkolnym. Zwiększało się natomiast, kiedy gmach zajmowało niemieckie wojsko, albo kiedy długie zajęcia wzbudzały podejrzenia i w konsekwencji trzeba było przenosić się do izb chłopskich. Wówczas szczupłość miejsca stwarzała dodatkowe trudności, ale żaden z gospodarzy nie odmówił gościny. Wspomniana już solidarność oraz opieka działających na tym terenie polskich podziemnych organizacji umożliwiały kontynuowanie nauki. Lekcje poza gmachem szkolnym odbywały się najczęściej u K. St. Kobusów, M.W. Wasilewskich, M.J. Lesiaków, a w dalszej kolejności — u Zajączów i Leczyckich. A przecież były okresy, kiedy trzeba było rozlokować 300 uczniów szkoły powszechnej i 47 uczniów gimnazjum w ciasnych izbach głuchowian.

Współpraca nauczycieli z rodzicami wynikała nie tylko z warunków wojennych, które w jakiś przecież sposób jednoczyły ich wysiłki. Nauczyciele w sposób samorzutny prowadzili szeroką akcję uświadamiającą młodzież o konieczności należytego przygotowania do lekcji drogą samokształcenia. Było to koniecznością ze względu na szczupłe pensum godzin dydaktycznych. Rodzice wykazywali dla tych wysiłków duże zrozumienie. Współpraca, nastrój, atmosfera pracy przekraczały stopień oficjalnego obowiązku zarówno ze strony nauczycieli, jak rodziców i dzieci. Młodzież pracowała szczerze, bez wymigiwania się, z oddaniem i poczuciem wdzięczności dla pedagogów. Studium na temat tego nastroju byłoby niezwykle ciekawe, a skreślone wprawnym piórem mogłoby stanowić doskonały materiał wychowawczy dla obecnej młodzieży.

Poza ogólnymi zebraniami i indywidualnymi rozmowami z rodzicami, akcja uświadamiająca i wychowawcza miała na celu względy praktyczne. W urządzaniu boiska, sadzeniu drzewek w miejscach publicznych, w akcji drugich śniadań dla dzieci wysiedlonych, w zbiórkach żywności, odzieży i pieniędzy na rzecz dzieci z sierocińca w Skierniewicach, w opiece nad grobami żołnierzy poległych w 1939 roku — młodzież brała czynny i chętny udział przy pełnej aprobacie rodziców.

Poczynania młodzieży nosiły charakter zorganizowany. Oprócz samorządu uczniowskiego działało koło PCK, a poza szkołą — zastęp harcerski „Szarych Szeregów".

Na wspomnienie zasługują również ci gospodarze, którzy przewozili polskie podręczniki z odległych o 21 km Skierniewic. Było to zadanie trudne i niebezpieczne, a żaden z gospodarzy proszonych o taką przysługę nie odmówił. Rozdziałem książek zajmowała się Księgarnia Nauczycielska w Skierniewicach, a przecież wiele podręczników znajdowało się na hitlerowskim indeksie i cała operacja uratowania książek przeznaczonych na przemiał była trudna i wymagała wielu zabiegów. Tą drogą zaopatrywano również bibliotekę szkolną, która pod koniec wojny liczyła 600 woluminów.

Przez cały okres istnienia tajnego gimnazjum zawsze można było liczyć na poparcie ze strony wielu mieszkańców wsi, a wśród nich najbardziej aktywnych: W. Fr. Szewczyków, Jana Lesiaka, Wacława Wasilewskiego, Stanisława Kobusa, Jana Kośli, Antoniego Dyśki, Franciszka Ciącio, Andrzeja i Stanisława Nitkowskich, Antoniego Szewczyka, Lacha, Kordali, P. Dudka, I. Lesiaka, Sabiniaka, Domasata i szeregu innych, których nazwiska, niestety, zatarły mi się już w pamięci.

Aby więc ocalić od zapomnienia ludzi i sprawy z tamtych czasów, napisałem to krótkie wspomnienie. Mimo, iż pamięć tamtych dni jest w Głuchowie i pobliskich Miłochniewicach bardzo jeszcze żywa, takie utrwalenie wydarzeń w druku daje pewną satysfakcję nie tylko żyjącym jeszcze bohaterom owych czasów, lecz także będzie służyć następnym pokoleniom, jako przykład patriotyzmu i hartu społecznego.

A jak głęboko ludzie to przeżywali, jak głuchowianie szanują pamięć tych, co sprawy nauczania inicjowali i prowadzili, świadczą słowa jednej ze starszych gospodyń: „Dziękuje panu i wszystkim nauczycielom, którzy tutaj wykładali za to, że moja Marysia mogła się wtedy dalej uczyć. Po wojnie dokończyła nauki w szkole średniej, a potem uniwersytet. Jest teraz dyrektorem szkoły. Powodzi się jej dobrze. Jeszcze raz bardzo dziękuję, panie nauczycielu".

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji)
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI–GLANC.

BUDUJ pan CHATĘ!

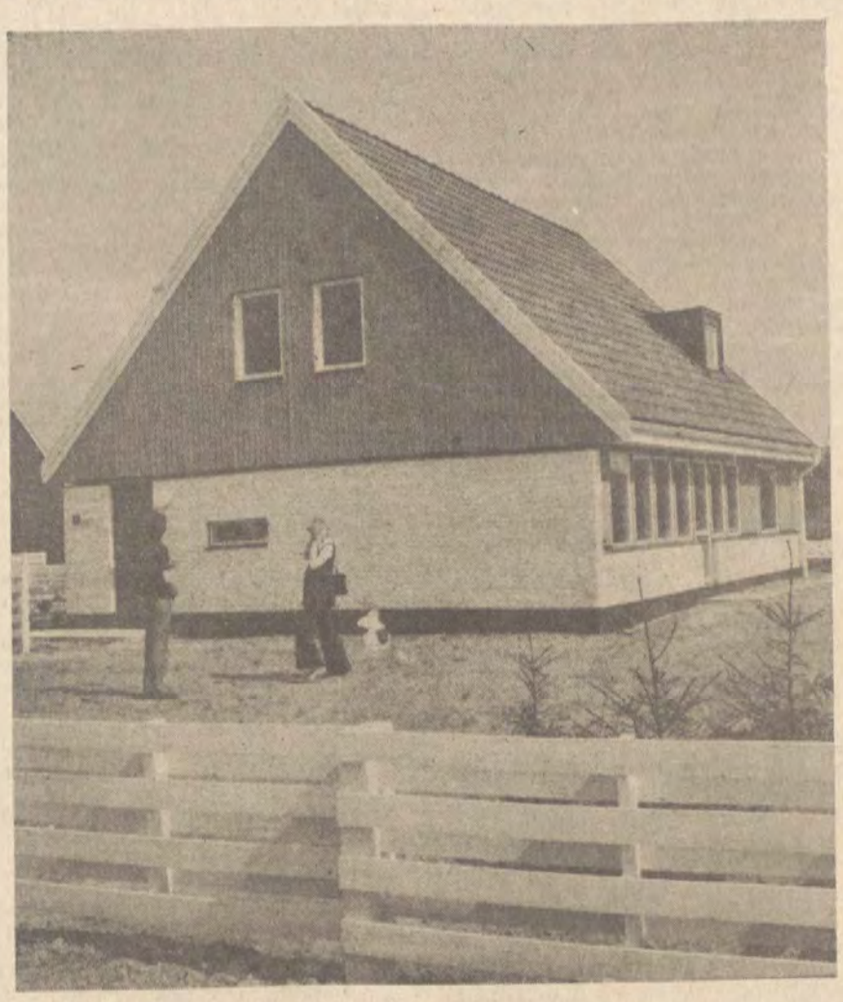

Fot. Archiwum

Dalszy ciąg ze str. 1

przecież jeszcze licznych problemów, choćby kwestii mieszkaniowej — można też bez większego trudu odnaleźć postanowienia kładąc nacisk na uruchomienie wszelkich możliwych dźwigni oraz rezerw, m. in. znacznego rozszerzenia budownictwa jednorodzinnego.

To jest druga strona tego zagadnienia równie ekonomicznego co społecznego.

Można jednak postawić tutaj pytanie: czy przywiązywanie wagi do tego rodzaju budownictwa, jest w naszych warunkach słuszne, czy ma swoje uzasadnienie?

No cóż, postaram się tutaj odpowiedzieć na ten „pytajnik" — niewątpliwie sensowny, uzasadniony — może nieco okrężną drogą, ale myślę, że chyba rozszerzającą pogląd na zjawisko ogromnego „trendu" towarzyszącemu budownictwu jednorodzinnemu, coraz szerszego nim zainteresowania. Nie tylko pośród obywateli naszego kraju, ale w ośrodkach sterujących procesami gospodarczymi.

W minionej 5-latce wybudowano w naszym kraju 276 tys. mieszkań jednorodzinnych, czyli rozmaitego typu domków. Z tej liczby na spółdzielczość przypada 5 tys. mieszkań, natomiast resztę, czyli 271 tys. wybudowano indywidualnie.

Zacznę od zestawienia: w minionej 5-latce wybudowaliśmy na obszarze całego kraju 1.250 tys. mieszkań dla takiej samej liczby rodzin, które w latach 1971—1975 do nich się wprowadziły. No i teraz owe wspomniane już 276 tys. jednorodzinnych domków. Jeśli się nawet odliczy jakąś część, domki wzniesione w miastach a statystycznie włączone do ogólnych rozmiarów inwestycji mieszkaniowych, to i tak ponad ćwierć miliona rodzin poprawiło sobie w ten sposób warunki egzystencji, życia. Powiecie jednak — tak przypuszczam — że można to odnieść wyłącznie do ludzi z różnych względów dobrze sytuowanych. To też prawda, choć jak badania zgłoszeń amatorów posiadania domku jednorodzinnego wskazują nie jest to znów tak bardzo oczywiste, przy czym duża w tym zasługa stosowanej przez państwo polityki kredytowej. Niemniej zgodzicie się, że czy tak czy siak, również i ta grupa o wysokich dochodach, w przypadku nie podjęcia inicjatywy budowy jednorodzinnego domu, wydłużyłaby i tak już spore „kolejki" oczekujących na mieszkanie spółdzielcze — lokatorskie, własnościowe. Innym elementem — wcale nie do pogardzenia, jest wiązanie środków finansowych znajdujących się u obywateli z konkretnym programem inwestycyjnym i społecznym, co jest niczym innym jak... wyzwalaniem rezerw, stwarzaniem państwu dodatkowych możliwości. W konkluzji: czas już najwyższy rozwiać niezbyt ciekawą aurę otaczającą ludzi decydujących się na podjęcie budowy domku jednorodzinnego. Odosobnione przypadki z gatunku „patologii społecznej" nie mogą określać oblicza tego zjawiska, którego ekonomiczną rangę wyznaczają decyzje partii i rządu.

W prognozach na bieżące pięciolecie 1976—1980 można bez trudu odnaleźć liczbę 450 tysięcy. Ni mniej, ni więcej, ale właśnie tyle mieszkań jednorodzinnych zamierza się wybudować — w całym kraju — w tym okresie. Z tego na spółdzielczość ma przypaść jakieś 50—60 tysięcy.

Dwie metody

Jeśli już zgodzimy się na „nobilitowanie" trendu do posiadania własnego domku jednorodzinnego, to chyba warto zatrzymać się na ...mechanizmie wyznaczającym przebieg realizacji takiego przedsięwzięcia.

I od razu pewna uwaga powiedzmy natury „porządkowej" choć nie tylko o to chodzi. Po pierwsze więc — mimo rozmaitych udogodnień finansowych, m. in. kredytowych, jest to zawsze duży wysiłek nawet dla rodziny o wysokiej „stawce" zarobków przypadających — jak się to mówi — na głowę, bowiem średni, realny — podkreślam to — koszt budowy jednorodzinnego domku waha się w kraju między 6.000—7.000 złotych za metr kwadratowy. Po drugie — istnieją pewne różnice właśnie w owym „mechanizmie" dochodzenia do „mieszkania jednorodzinnego" w przypadku realizacji tego zamiaru poprzez spółdzielnię budownictwa mieszkaniowego, a wzniesienia domu samodzielnie lub też w kilka osób. W tym pierwszym przypadku cały ogromny „bagaż" problemów nie tylko natury wykonawczej spada na spółdzielnię. Jest to jednak dosyć wątpliwa pociecha, jako, że nie znaczy to wcale, by w ten sposób szybciej dochodziło do realizacji przedsięwzięcia. Przynajmniej tak jest na razie. Słowem: można budować domek jednorodzinny poprzez zapisanie się do odpowiedniej spółdzielni i wpłacenie określonej regulaminem kwoty, można też — a czyni to bardzo wielu — wszystko robić na własny rachunek, odpowiedzialność, zapobiegliwość, no i na całą „resztę".

Z tego podziału wynikają określone konsekwencje, jak i problemy nad którymi warto się chyba zastanowić.

Wszystko na ich głowie?

Zaczniemy od tej grupy osób, które pełne optymizmu i wiary we własne siły zdecydowały się na budowę domku jednorodzinnego metodą... chałupniczą, no powiedzmy — gospodarczą.

Nie są to bynajmniej wyłącznie indywidualiści z charakteru, lecz zwykle po prostu mieszkańcy takich rejonów, miejscowości, osad lub nawet wsi, gdzie spółdzielczość mieszkaniowa jest najzwyczajniej w świecie „nieobecna" z przyczyn obiektywnych (choćby nadmiernego rozproszenia) lub... subiektywnych. Przypomnieć tutaj warto, że takich indywidualistów jest najwięcej, jako, że oni w latach 1971—76 wybudowali ponad 271 tys. mieszkań jednorodzinnych, a na to bieżące pięciolecie wypada na nich jakieś 400 tysięcy. No więc jest o czym i o kim porozmawiać.

Właśnie.

Powiedzmy sobie szczerze, iż nie jest to wcale łatwy kawałek chleba i trzeba mieć dużo odwagi, woli no i sił fizycznych, aby wreszcie dopiąć swego.

W telegraficznym skrócie wygląda to mniej więcej tak:

Wszystko — jak zawsze — w takich razach — zaczyna się od wizyty w odpowiednim urzędzie. Nie wystarczy bowiem chcieć budować domek jednorodzinny, trzeba mieć go jeszcze gdzie postawić. Naturalnie w grę nie wchodzą tereny w ogóle, ale relatywnie dobrze przygotowane do realizacji takiego zamiaru, a więc np. uzbrojone w podstawowe instalacje. Jest to nawet przewidziane odpowiednimi przepisami zobowiązującymi władze miast do wydzielenia specjalnych terenów pod ten typ budownictwa, z tym wszakże, że nie wszędzie — nie dotyczy ta uwaga woj. łódzkiego — to postanowienie „centrali" jest respektowane. Przepraszam — zrealizowane, a jeżeli — w tym właśnie szkopuł, że najczęściej są to obszary pozbawione owego podstawowego uzbrojenia. Doceniając kłopoty jakie ten stan rzeczy przysparza owym indywidualistom, potrafią też zrozumieć władze miejskie, jeśli się bowiem zważy, że pełne wyposażenie jednej tylko działki pod budowę domku jednorodzinnego to wydatek rzędu 200 tys. złotych, stosując proste mnożenie — w skali kraju, dochodzimy do kwot miliardowych! Czy jest na to jakiś sposób? Można naturalnie przerzucić ten wydatek na podejmującego budowę — często taką praktykę się stosuje, ale jeśli się zważy, iż tendencja do budowy jednorodzinnego domku wyzwoliła się z snobistycznej otoczki, że z takim zamiarem można się spotkać w rodzinach tylko nieco lepiej niż średnio zarabiających, takie rozwiązanie nie ma perspektywy.

W latach 1976—1980 w łódzkim województwie miejskim planuje się wybudować 5600 mieszkań w domkach jednorodzinnych. Z tej liczby na mieszkańców wsi oraz osad przypadnie 1200 mieszkań. Oznacza to dwukrotny wzrost rozmiarów tego budownictwa w porównaniu do stanu z lat 1971—1975.

Odpowiedni oraz zachęcający „ekonomicznie" i urbanistycznie teren nie jest jednak wyłączną przeszkodą, którą „indywidualista" musi — jeśli chce osiągnąć cel — pokonać. Kto wie czy nie jest to zresztą najłatwiejszy do przekroczenia próg, bowiem dalszym są takie jednostki jak zdobycie kredytu, zakup odpowiedniego materiału — cegieł, pustaków, cementu, stolarki, wyposażenia. Idealną byłaby sytuacja, gdyby w ślad za przyznaniem prawa do budowy szły odpowiednie gwarancje materiałowe, no ale jest to raczej utopia, przy czym rozciąga się ona nie tylko na surowiec pełnowartościowy, nowy — chciałoby się powiedzieć, ale również wszelkiego rodzaju materiały odpadowe względnie nie nadające się do zastosowania w budownictwie typu blokowego, szczególnie wielokondygnacyjnego. Tak niestety, jest i coś mi się wydaje, że tutaj znajduje się początek owych „wynaturzeń", jakie występują na niwie budownictwa jednorodzinnego. Nie znaczy to, że tym sposobem usprawiedliwiam naruszanie prawa.: Niemniej coś z tym fantem trzeba chyba zrobić, choćby z tego względu, że rozmiary budownictwa jednorodzinnego rosną lawinowo i także tutaj może „zadziała" prawo wielkich liczb. Zresztą nie tylko o to idzie. Panorama Polski „jednorodzinnej" jeśli nawet pominiemy brzydotę architektoniczną zdecydowanej większości tych domków, ma pewną charakterystyczną cechę. Mam tutaj na myśli ogromną ilość domków rozpoczętych, znajdujących się w jakimś tam częstkowym stanie zaawansowania i — czekających, niekiedy rok—dwa lata na finał tzn. wprowadzenie się mieszkańców. Skąd się to bierze? Również z owych stopni i barier, z konieczności ciułania niezbędnych materiałów, które raz są, to znowu ich brakuje. I jak tutaj nie skłaniać głowy przed tymi odważnymi, którzy się jednak decydują na coś takiego? W minionym pięcioleciu było ich ponad 240 tysięcy...

Młotkiem czy sposobem

Mówiąc o tych przecież nie wszystkich jeszcze problemach na jakie natrafia indywidualny budowniczy domku jednorodzinnego, nie tracę z oczu i tej, niestety, prawdy, że wcale nie lżejsze życie mają spółdzielnie mieszkaniowe podejmując realizację domków jednorodzinnych na zlecenie swoich członków. Oczywiście wiele spraw ma tutaj inny zgoła wymiar,

W bieżącym pięcioleciu, w Łodzi ma powstać 1685 tzw. „jednorodzinnych mieszkań" natomiast jeśli chodzi o inne miasta naszego województwa to odpowiednio: w Zgierzu — 480, Pabianicach — 430, Głownie — 250.

niemniej można mówić i w tym przypadku o pewnych ogólnych prawidłowościach, a nawet analogiach z kłopotami jakie mają do pokonania indywidualni amatorzy posiadania domku jednorodzinnego.

Krótko: spółdzielczość mieszkaniowa boryka się właściwie z takim samym torem przeszkód, jako, że chyba... entuzjazm przerósł, a przede wszystkim wyprzedził bazę i to nie tylko materiałową, lecz również organizacyjną. Stwierdzając tak w przypadku organizacji nie myślę o formalnym powołaniu do życia odrębnych jednostek zajmujących się tym rodzajem budownictwa, bo to zrobiono. Bez większego trudu można jednak spostrzec, że stworzenie organizacyjnych ram było niejako „echem", że właściwie w biegu tworzone jest zaplecze techniczne dla tych jednostek, że w trakcie rozkręconego już budownictwa dopracowuje się jego kształt, założenia, miejsce w infrastrukturze komunalnej.

W tych warunkach trudno się dziwić, że wiele inwestycji tego rodzaju, nawet sterowanych przez spółdzielczość przypomina obiekty wykonywane „młotkiem" a nie przemyślaną metodą wspartą odpowiednią organizacją. A pytań ciągle jest niezmiernie dużo, tak samo wiele jak w przypadku indywidualnego budownictwa jednorodzinnego. Choćby: jakie to mają być domki — wolnostojące czy też szeregowce, jaka powinna być baza techniczna i materiałowa, czy w ogóle taką posiadamy? Zrozumiałe zdziwienie musi np. wywoływać dźwig, taki sam jakiego używa się do wznoszenia wieżowców, „pracujący" przy budowie jednorodzinnych domków. Co wreszcie z terenami, z ich uzbrojeniem w instalacje, co wreszcie z rodzimej marki rozwiązaniami projektowymi, jako że licencje są dobre, ale czy na wszystko?

Pytania?

No tak.

Ich postawienie tutaj nie ma na celu podważenia sensowności rozwijania budownictwa domków jednorodzinnych. Są i mogą być bowiem one sporym uzupełnieniem wysiłku inwestycyjnego w postaci budownictwa wielorodzinnego — blokowego. No, ale nie róbmy tego metodą „ola boga". To jeszcze nikomu na zdrowie nie wyszło. Szczególnie gdy tylu jest chętnych na posiadanie własnej „chaty".

KRZYSZTOF POGORZELEC

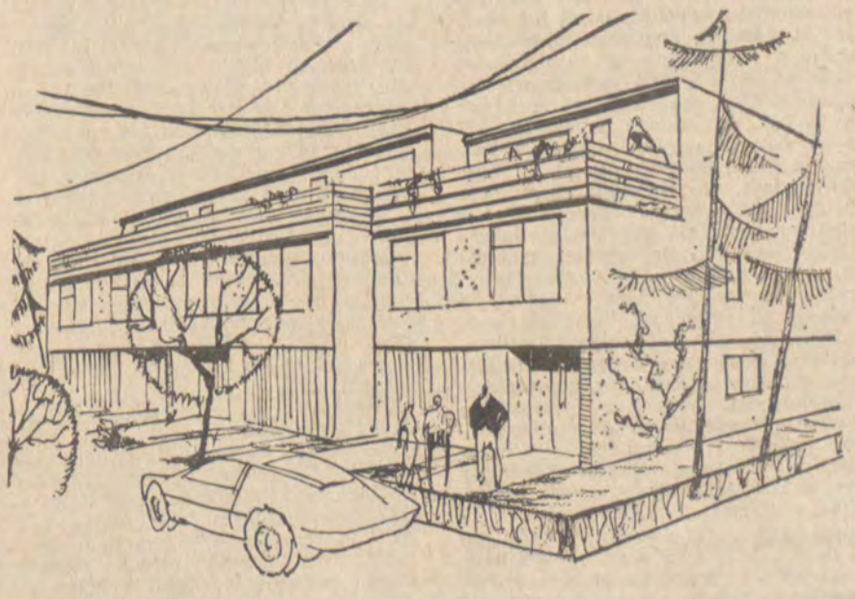

Fot. Archiwum

NIE TYLKO HISTORIA

BALONIKOWA LEGENDA

Demaskowanie mitów i legend, ich konfrontowanie z rzeczywistością, odsłanianie uwarunkowań i funkcji, należy bez wątpienia do najbardziej pasjonujących, choć i najczęściej kwestionowanych zatrudnień naszej humanistyki. Tym razem nie chodzi jednak o żaden z naszych wielkich mitów historycznych, ani o żadną z legend, którymi żyły pokolenia Polaków. Idzie o rzecz lżejszego kalibru. Znany badacz przełomu antypozytywistycznego w Polsce, znawca literatury i kultury okresu Młodej Polski, krakowski uczony Tomasz Weiss poważył się poddać weryfikacji sympatyczną przecież, sugestywnie kreowaną przez Tadeusza Boya — Żeleńskiego legendę Zielonego Balonika. Autor „Słówek" powracając kilkakroć do czasów Balonikowych, zasugerował dwa twierdzenia. Pierwsze — powiada T. Weiss — głosiło „że kabaret w Jamie Michalikowej przyniósł rozładowanie atmosfery „pięcioaktowej dramy", to znaczy stanowił jakby krytyczne podsumowanie epoki Młodej Polski". Drugie zaś sugerowało, „że Zielony Balonik stanowił antycypację kierunku rozwojowego Polski w przededniu odzyskania wolności". Badacz stara się więc odpowiedzieć na pytanie, „czy istotnie Zielony Balonik to finał i antycypacja, czy twórcy kabaretu mieli rzeczywiście „instynktowną" świadomość roli i rangi swej działalności?" Poszukuje odpowiedzi na zwykły w naszej humanistyce sposób; okazuje się, że również i historyczna kabaretologia poddaje się rygorom takiego samego naukowego badania, jak inne przejawy kultury.

Odrobina marksizmu na co dzień — dyrektywa tak oczywista, że aż zapomniana: tak najogólniej określiłbym postępowanie badawcze T. Weissa. Wychodzi on od przedstawienia społeczno-ekonomicznych i politycznych realiów Galicji i Krakowa w początku naszego stulecia, przypominając to, co historykom wiadomo jest od dawna, kabaretologom zaś przypominało się zrzadka. Prezentacja tego kręgu problemów służy za przesłankę do postawienia pytania: czy krakowska satyra umiała dojrzeć i przetransponować ówczesne konflikty i dylematy? Niezmiernie fascynujące są rozważania T. Weissa o przed-Balonikowej satyrze w podwawelskim grodzie: piśmie satyrycznym „Diabeł" i czasopiśmie „Liberum Veto", o ich współpracownikach Adolfie Nowaczyńskim, Janie Lemańskim, rozważania prowadzące nie tylko do stwierdzenia bogactwa i wysokiego poziomu młodopolskiej satyry w Krakowie, nie stroniącej od angażowania się w sprawy polityczne, społeczne i obyczajowe. Satyra uprawiana przez galicyjskich twórców, dowodzi T. Weiss, „miała ambicję budzenia społecznych i narodowych sumień Polaków, wołania o naprawę Rzeczypospolitej". Ona też, jeszcze przed powstaniem Zielonego Balonika „włączyła się do procesu likwidacyjnego modernizmu", rozwijając wątki, które niebawem podejmie głośny kabaret.

Balonik chwalił się — i to bardzo głośno — swoim francuskim pochodzeniem. T. Weiss dowodzi, na co ma sporo argumentów, że jego genealogia była zgoła inna: niemiecka, tyle że przybrana we francuski kostium. Szczegółowo, w oparciu o obfitą dokumentację historyczno-literacką, przedstawia Balonikowe dzieje. Ale nie chodzi mu o pomnożenie i tak już obfitego katalogu anegdot i dowcipów: w całym toku swych rozważań śledzi, jak Balonik reagował na aktualne problemy swoich czasów, te które już wcześniej dostrzegała w swym krzywym zwierciadle przed — Balonikowa satyra krakowska. Akcentuje elitarny charakter kabaretu, co warunkowało, że w prowincjonalnym mieście musiał on „urość do rangi sensacji", wąsko-środowiskowy charakter jego programów, podkreśla, że satyra polityczna stanowiła „margines i dotyczyła spraw trzeciorzędnych", dochodzi do wniosku, że grono autorów Balonika „miało dość szczególną skłonność do bagatelizowania problemów politycznych, nawet tych najbardziej autentycznych".

Czy i o ile taki właśnie charakter Balonika usprawiedliwiał ostre słowa krytyki, z jaką występowali przeciw niemu czy to Wilhelm Feldman, czy Karol Irzykowski? T. Weiss analizując wypowiedzi przeciwników twórczości Boya i kabaretu nie przyznaje, rzecz zrozumiała, racji zbyt daleko idącym zarzutom w rodzaju, że Balonik wysługiwał się najbardziej reakcyjnym kręgom krakowskiej prawicy... Polemizuje z Janem Pawłem Gawlikiem dowodząc, że „próba skonfrontowania legendy Zielonego Balonika wyłącznie ze źródłami i interpretacjami twórcy kabaretu jest niemożliwa i bezcelowa". I krytykuje Balonik za to, że uprawiano w nim satyrę „świadomie omawiającą problemy życia zasadnicze i trudne", powiada, że trzeba „zakwestionować walor satyry kabaretu w Jamie Michalikowej, satyry niechętnej problemom zasadniczym, satyry typowo środowiskowej". T. Weiss nie stawia tu kropki nad porzekadłowym „i", bo i po co? Jest w pełni świadomy, że pakuje kij w mrowisko, że z pewnością sprowokuje ożywioną dyskusję. Tylko, że po jego książce trudno będzie entuzjastom Boyowskiej legendy prawić, że jeśli komu nie podoba się ideologia Balonika, znaczy że jest wstecznik i klerykał.

Nie wątpię, że kiedy ten felieton dotrze na łamy „Odgłosów", książka Tomasza Weissa: „Legenda i prawda Zielonego Balonika", ogłoszona staraniem Wydawnictwa Literackiego (1976) należeć będzie do rzeczy nie do znalezienia w księgarniach. Wydawca nadał jej świetną formę, opatrując licznymi ilustracjami, dobranymi przez Romana Hennela. A swoją drogą, jak to się Kraków zmienia, kiedy tak zasłużone Wydawnictwo — a może autor — nie pamięta, że owym prominentnym profesorem krakowskim był na początku naszego wieku nie Tadeusz, ale Bolesław Ulanowski, sekretarz generalny Akademii Umiejętności...

LEKTOR

KONRAD FREJDLICH

ŚWIAT ODCZAROWANY

„Czarownicy żyć nie przepuścisz".
„Pismo Święte" (ks. 2. XXII, 18).
„Mąż albo niewiasta, w którychby był duch czarnoksięski albo wieszczy, śmiercią umrą: kamieniem ukamionują ich, krew ich będzie na nich".
„Pismo Święte" (ks. 3. XX, 27).

I

Wystarczyło złożyć przysięgę:

„Ja, Taki-to-a-taki, przysięgam Panu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu: iż ta pracowita Taka-to-a-taka jest prawdziwą i jawną czarownicą, którą biorę na sumienie swoje, a czynię to nie z gniewu, nie z nienawiści, nie z zawziętości, nie z namowy, nie z przenajęcia, ale z samej wiadomości i sprawiedliwości i cokolwiek mnie i innym ludziom złego się stało, tylko przez nię",

aby spowodować trudne do opisania tortury i równie męczeńską śmierć oskarżonej. Sumienia ludzi epoki późnego średniowiecza muszą być bardzo pojemne, skoro w całej Europie płoną stosy, a od tej europejskiej mody, która wkroczyła wraz z prawem magdeburskim, nie uchroniła się i Polska. Na szczęście byliśmy w stosunku do Zachodu zapóźnieni. Pierwsze wiadomości o płonących stosach pochodzą u nas z wieku XVI, gdy inni zdążyli już dobrze przetrzebić lasy, ale prawie trzy stulecia polowań na czarownice przyniosły i w Rzeczypospolitej, obfite śmiertelne żniwo. Historyk epoki romantyzmu i bliski przyjaciel Adama Mickiewicza Jules Michelet obliczał europejską liczbę ofiar ponurego zabobonu na 8 milionów. Badacze współcześni są bardziej ostrożni w tych krwawych szacunkach. Ale i tak są to liczby przerażające. Profesor Bohdan Baranowski ocenia przypuszczalną liczbę spalonych w Polsce czarownic na blisko 40.000, zastrzegając się zresztą, że szczegółowe przeprowadzenie obliczeń statystycznych, nie jest, niestety, możliwe.

II.

„Maleficium albo czary są, jak species pod czarnoksięstwem, nie ku czemu innemu ordynowane, tylko ku szkodzeniu ludziom, co się najlepiej podoba czartu, ludzkiemu adwersarzowi" — dowodzi uczenie Benedykt Chmielewski w księdze „Nowe Ateny albo Akademia wszelkiej scjencji pełna" (1754)

„Za czym wiedzieć potrzeba, iż jako trojakie są czarownice, to jest: szkodzące, a ratować nie mogące; drugie, które ratować mogą, ale z jakiś osobliwej z szatanem umowy nie szkodzą; trzecie, które i szkodzą, i ratować mogą — tak między szkodzącymi są jedne najgorsze, wszystkie insze czary, które w inszych po trosze się znajdują, sprawujące, a są te, które nad skłonność natury ludzkiej albo raczej wszystkich bydląt, niemowlątka, to jest maluchne dzieteczki, jeść i pożyrać zwykły. Z których sposobu czynienia profesjej niżej opisanego łatwo się i inszych domyślić można" — podpowiada przełożony w Polsce gorliwie „Młot na czarownice" Sprengera, który w walce ze wspólniczkami szatana przerośnie swym autorytetem Biblię (1614).

Odzywają się i inne głosy świadczące o tym, że racjonalizm począł już trzebić mroki średniowiecza.

„Któż tu i pomyślić może, że to są zeznania ludzi, zdrowy rozum mających? Byćże może, aby człowiek odważył się na tak wielkie zbrodnie i sprośności, jakie przypisują czarownicom i czarownikom, dlatego tylko, aby patrzał na brzydką postać szatana, aby jadł ropuchy, wisielców, trupy, etc., aby tańcował z ropuchami, aby na koniec diabła pod ogon całował? Kto takowym bajkom wierzy, nie zna serca ludzkiego, nie zna siebie samego. Dosyć byłoby do odrażenia ludzi od czarodziejstwa wysłać ich raz tylko na takowe reduty" — nawołuje do opamiętania ksiądz Jan Bohomolec w książce „Diabeł w swojej postaci" (1775).

III.

Pani z Rejczyńskich Stokowska, żona dziedzica wsi Doruchów w ziemi wieluńskiej, chętniej widocznie sięgała po „Młot na czarownice" niż po dzieła księdza Bohomolca. Autor pamiętnika z tamtych lat charakteryzuje ją jako **„kobietę chorobliwą, pełną uwidzeń"**. Wierzyła, że świat zaludniony jest przez demony i ich najwierniejsze sługi: czarownice. Podobno pewnego razu zamiast klejnotów znalazła gnój w szkatułce, w który zostały przemienione za sprawą złych mocy. Wiosną 1775 roku jadąc do kościoła ujrzała dziesięć bab w lesie, które wyrabiały tam masło, co jej się wydało bardzo podejrzane. Tym bardziej, że na granicy z pobliską wsią Przytocznica leżał ogromny kamień zwany Łysą Górą, gdzie według rozpowszechnionego przekazu we wtorki i czwartki miały się odbywać sprośne sabaty czarownic. Te niecne praktyki mocno musiały niepokoić bogobojną dziedziczkę, zwłaszcza że wkrótce miały się obrócić przeciwko niej samej.

„Dostała wielkiego bólu w palcu, a włosy na głowie zaczęły się jej zwijać — zapisze po latach mieszkaniec Doruchowa, z którego relacji czerpiemy tutaj materiał. — **Posłano po felczera do Kępna, lecz zamiast ulgi ręka puchła coraz bardziej, nareszcie zaczęły drobne kosteczki z rany wychodzić, co wtedy postrzałem nazywano".**

Przy ówczesnym poziomie wiedzy medycznej, która w każdym schorzeniu zalecała puszczanie krwi, brak postępów w leczeniu nie musi specjalnie dziwić, toteż interwencja felczera niczego nie zdziałała. Cyrulika odprawiono sprowadzając na jego miejsce znachorkę. Ta, znając upodobania dziedziczki, z miejsca wiedziała, jak wzbudzić jej zaufanie. Orzekła, że cierpienia pani spowodowały cioty, które zadały jej kołtuna.

Ciota to gwarowy synonim czarownicy. Znachorka bez namysłu wskazała na gospodynię o przezwisku Dobra, która jakoby zamiast gruszek sprzedała dziedziczce myszy i w ten sposób sprowadziła na nią nieszczęście. Był to jednak dopiero początek doruchowskiego polowania na czarownice.

IV.

Sierpień roku 1775 w Doruchowie bez przesady można nazwać „czarnym". Z polecenia dziedzica Stokowskiego schwytano na początek siedem kobiet. Ponieważ akta sprawy nie zachowały się, a może nawet celowo zostały zniszczone, nie znamy ani nazwisk oskarżonych ani szczegółowych zarzutów. Łapanką kierował podstarości. Pojmano pięć gospodyń, wdowę i służącą. Jedną z tych aresztowanych, jakbyśmy to dzisiaj nazwali, była Dobra. Wdowę zatrzymano dlatego, że podejrzewana była o zadanie czarów dwunastoletniej córce, która zmarła. Jeszcze inna ofiara naraziła się dlatego, że pasąc w lesie bydło miała zwyczaj puszczać na wietrze wysuszone liście, co kwalifikowało ją na czarownicę. Wszystkim przypisano schadzki z diabłem na Łysej Górze, sprowadzanie suszy i w ogóle szkodzenie bliźnim.

Kobiety zamknięto w spichlerzu przemienionym na więzienie. Następnego dnia poddano je pławieniu w miejscowym stawie. Głęboko zakorzeniony przesąd, mający swój rodowód w średniowiecznych Sądach Bożych, głosił bowiem, że wspólniczka szatana nie tonie. Próba wody otwierała drogę do zastosowania tortur.

Oddajmy jednak głos naocznemu świadkowi doruchowskich praktyk:

„Syn jednego z dziedziców, około 15 lat liczący, mając łódkę, zabrał mnie z sobą; tak więc popłynęliśmy naprzeciw mostu, z którego czarownice pławić miano; widzieliśmy dokładnie całą ceremonię. Wprowadzono je na most, miały ręce powiązane; brano jedną kobietę po drugiej, założono pod pachy powróz: czterech ludzi na tym powrozie spuszczało ją powoli z mostu w wodę — żadna z nich nie tonęła, albowiem suknie, a zwłaszcza obszerne spódnice, nim namokły, unosiły każdą z nich na powierzchni wody. Dziedzic był przytomny na koniu, a widząc pływającą, wołał: „Nie tonie — czarownica"."

V.

W „Opisie obyczajów za panowania Augusta III" pióra księdza Jędrzeja Kitowicza znajduje się relacja o postępowaniu sądów w wieku XVIII, która uprzytomni nam zarazem czym był proces doruchowski:

„Wójt zatem zaczął się pytać więźnia najprzód: jakiej jest kondycyi, jakiej wiary, gdzie się urodził, czym się bawił od młodości lat, aż do czasu ostatniego swojej kaptywacyi, jeżeli już kiedy był o podobny kryminał obwiniony, sądzony lub torturami próbowany? Gdy na te wszystkie pytania więzień odpowiedział, jak rozumiał, a pisarz wszystkie pomienione depozycje zapisał, dopiero wójt przystąpił do rzeczy, o którą chodziło, mówi łagodnie do więźnia, po imieniu: „Podobnoś to ty (lub waszeć), tę kradzież, tę zbrodnię popełnił, przyznaj się dobrowolnie, nie daj się męczyć; zapieranie nic ci nie pomoże; czy się przyznasz, czy nie przyznasz, równo się od śmierci nie wybiegasz, bo są na ciebie wielkie dowody, żeś to ty, a nie inny, zrobił; a przyznawszy się dobrowolnie, nie będziesz mąk przygotowanych cierpiał; przez wzgląd na dobrowolne twoje wyznanie winy, sąd cię łaskawszą śmiercią ukarze; a jeżeliś to uczynił z ostatniej nędzy (na przykład, gdy szło o kradzież), albo z nieostrożności, albo z pierwszej popędliwości (gdy kogo zabił), albo z głupstwa (gdy szło o czary), albo z namowy cudzej nauczywszy się tego od drugich, starszych czarowników albo czarownic, przyznaj się, może cię sąd za twoją pokorę życiem darować".

Gdy więzień na te pierwsze łagodne perswazje nie przyznawał się, zaklinał go znowu wójt na wszystkie świętości religii, na zbawienie duszy własnej, którą podaje w niebezpieczeństwo utraty, kiedy grzechu na siebie wyznać nie chce i przez jedyną zaciętość ciało swoje grzeszne na męki eksponuje. Gdy te egzorty nic nie wyciągnęły z więźnia, dopiero wójt rzekł do instygatora:

„Panie instygator, mów mistrzowi, niech sobie postąpi według prawa".

Instygator zawołał na kata:

„Mistrzu, postąp sobie według prawa".

Kat, nim przystąpił do egzekucji rozkazu, zawołał po trzy razy:

„Mości panowie zastolni i przedstolni (wyrażając tymi terminami urząd, siedzący za stołem, i instygatora, stojącego przy stole), **czy z wolą, czy nie z wolą?".**

Instygator odpowiedział mu za każdym razem:

„Z wolą".

Dopiero kat silnie pociągnął za sznur czyli powróz, którego koniec trzymał w ręku.

Takimi metodami nie trudno było wydobyć potrzebne zeznanie. Zbrodniarz mógł się zresztą uwolnić od tortury poprzez przyznanie, czarownicy taki przywilej nie przysługiwał. Istniał bowiem przesąd, że każda czarownica posiada wspólników. Powinna ich, co do ostatniego, wskazać na torturach. Osoby, które wymieniła, nosiły nazwę czarownic powołanych. Tym można sobie wytłumaczyć fakt, że procesy o czary miały zazwyczaj tasiemcowy charakter. Liczba kobiet oskarżonych w Doruchowie o czarostwo wzrosła wkrótce do czternastu. Siedem kolejnych ofiar pochodziło z sąsiednich wsi.

Rys. J. Szymański — Glanc

VI.

Co się tymczasem działo z oskarżonymi?

Dziedzic rozkazał narządzić beczki do kiszenia kapusty. Każda z nich została przystosowana do nowej funkcji: w klepkach blisko dna wyrżnięto w nich specjalne dziury. W takich to naczyniach polecił trzymać dziedzic Stokowski czarownice. Każda z kobiet miała związane do tyłu ręce oraz nogi. Stopy, wysadzone na zewnątrz, połączone były z dłońmi za pomocą drewnianego kołka, który uniemożliwiał jakiekolwiek ruchy: ofiary, aż do egzekucji, zmuszone były klęczeć. Dla ochrony przed interwencją sił nieczystych beczki obwiedziono płótnem, przydając z boku napis: JEZUS! MARIA! JÓZEF! Kolejne czarownice przywieziono do spichlerza już w beczkach.

Jeszcze przed sprowadzeniem sędziów kazał pan na Doruchowie sposobić się do egzekucji. Na granicę pomiędzy jego wsią a Piłą zwożono smolne sosny układając je w stos. Do jego budowy użyto także słomy. Był na tyle wysoki, że trzeba było użyć drabin. Na szczycie ułożono ciężkie kloce drewniane także z napisem JEZUS! MARIA! JÓZEF! Miały one posłużyć do unieruchomienia czarownic podczas egzekucji.

Dopiero po tych przygotowaniach sprowadził pan Stokowski z pobliskiego Grabowa dwóch katów i trzech sędziów, oraz trzech księży zakonników. Wątpić należy, czy nawet w myśl ówczesnych przepisów sędziowie uprawnieni byli do działania, zbyt małym osiedlem miejskim był Grabów, aby w jego kompetencji leżały sprawy o czary. Doruchowski proboszcz usiłował odwieść dziedzica od egzekucji. Wskórał tyle, że Stokowski przyspieszył przygotowania zwłaszcza, gdy się dowiedział, że ksiądz jedzie do Warszawy zabiegać o interwencję królewską. Dom, w którym mieszkał podstarości, zwany kopcem, został przemieniony na izbę tortur. Sędziowie i kaci mieli tutaj poczynać sobie wedle prawa bez świadków. Stało się inaczej.

VII.

Oprawcy nie przewidzieli obecności w izbie tortur małego, ośmioletniego chłopca. Wykorzystując nieuwagę strażników zakradł się do mieszkania podstarościego i ukrył na przypiecku. Nie mogąc się doczekać dalszego ciągu wypadków, chłopczyna usnął. Przebudzenie było straszne. Oto jak się utrwaliło po latach w spisanej przez niego relacji, którą w 1835 roku opublikowało czasopismo „Przyjaciel Ludu":

„Musiałem spać dosyć długo, bo gdym się obudził, już słońce zachodziło; spojrzawszy na izbę, zobaczyłem stół pod oknem, trzy stołki, na stole papier, pióra i kałamarz, lichtarze ze świecami, butel wódki i kilka kieliszków. Niedługo potem czterech ludzi przyniosło na noszach kloc wielki z żelaznym pałąkiem. Wszedł za nimi kat, zaczął laską w suficie pukać w jedną deskę, po czym zaraz usłyszałem mocny huk na górze: wyrąbano znaczny otwór, spuszczono nim koło małe od wozu, u którego wisiały dwa powrozy.

Po zachodzie słońca weszło dwóch ludzi, jeden przyniósł kilka kawałków tarcic, a drugi świecę płonącą. Tymi tarcicami zabito okna, świece na stole zapalono. Weszli sędziowie. Usiedli na stołkach, a posiliwszy się gorzałką, kazali przyprowadzić czarownicę. Wyszedł kat i niedługo czterej pomocnicy na tychże samych noszach przynieśli kobietę. Tutaj jeden sędzia zaczął się pytać, lecz o co, nie wiem, gdyż już byłem ze strachu na pół umarły. Miała ona nogi i ręce w tył związane. Z rozkazu sędziego obnażyli ją zupełnie, postawili na owym pniu, trzymali ją oprawcy, gdyż dla słabości sama stać nie mogła; nogi pod pałąk podłożywszy, powrozem przymocowali. Do rąk, w tył skrępowanych, przywiązano powróz, od koła wiszący, na plecy włożono szpągę, podobną do grabi z żelaznymi zębami, które w ciało wchodziły; tę przytwierdzono także cienkimi powrozami, na krzyż przez piersi opasanymi, a ich końce z tyłu do owych od koła powrozów przywiązali. Gdy to okropne przygotowanie skończono, sędzia znowu jej zadawał pytanie. Czy odpowiedziała co lub nie, także już tego nie pamiętam. Wtem kat zawołał na oprawców, na górze będących: „Obracaj koło!". Powrozy obwijały się około walca, ręce w tył unoszone, pociągały za sobą owe postronki od żelaznych grabi, których zęby wchodziły w plecy. Krew się zaczęła dobywać, kości w ramionach trzeszczeć, kobieta okropnie jękła. Ja przestraszony nigdy nie widzianą męczarnią, krzyknąłem ze strachu na przypiecku. Wówczas to dwaj oprawcy zaczęli szukać, a znalazłszy, ściągnęli z przypiecka. Myślałem, że mnie na śmierć prowadzą. Oni, wziąwszy mnie na barki, wynieśli z izby dosyć daleko od tego domu i położyli na ziemi. Więcej może jak godzinę odpoczywałem na tym miejscu z przelęknienia, niżem przyszedł do sił. Gdym już późno w noc powrócił, rodzice moi jeszcze nie spali i byli o mnie w największej niespokojności, nie wiedząc, gdziem się podział. Opowiedziałem im, com widział: odstąpił ich przesąd, a matka rzewnie zapłakała. Tym sposobem wszystkie kobiety na tortury brano i męczono: nazajutrz po tych mękach trzy z nich umarły, żywych zostało jedenaście."

VIII.

Po tylu krew w żyłach mrożących opisach, zaoszczędzimy czytelnikowi dalszych drastyczności. Dość stwierdzić, że w Doruchowie spalono nazajutrz żywcem jedenaście kobiet, a zemsta pana dosięgła nawet tych czarownic, które zmarły podczas śledztwa. Przy okazji dostało się jakimś księgom, które kat także cisnął w ogień. A wszystko to, odbywało się na oczach tysięcy zgromadzonych ludzi uczestniczących w okrutnej ceremonii. Poruszony jękami niewinnych ofiar tłum zaczął się po trosze burzyć, na wszelki więc wypadek pan Stokowski opuścił plac kaźni. Wszak wśród gapiów byli najbliżsi czarownic i współczucie przezwyciężyło w końcu zabobon.

Nie na tyle wszakże, aby tłum ośmielił się powstrzymać kata, który następnego dnia wyprowadził na plac kaźni trzy młode dziewczyny, córki zamordowanych kobiet. Czekały tam już przygotowane słupy, do których przywiązano nieszczęsne dziewczyny i kat wymierzył każdej przewidzianą wyrokiem ilość plag. A to dlatego, **„że będąc córkami czarownic, musiały się nauczyć już tej diabelskiej sztuki i dusze swe czartom zapisać."** Jedna z dziewcząt nie wytrzymała razów i w kilka dni później zmarła. Była to piętnasta, na szczęście już ostatnia, ofiara przywidzeń pani Stokowskiej, u której rozpoznano później chorobę psychiczną. Również córka dziedziczki doruchowskiej cierpiała na „pomieszanie zmysłów".

IX.

Nie wiemy, co wskórał w Warszawie doruchowski pleban, ale wieść o krwawym procesie czarownic rozeszła się szerokim echem po kraju budząc oburzenie warstw oświeconych. Racjonalizm, który uwił sobie gniazdko w Warszawie, nie chciał dłużej tolerować podobnego barbarzyństwa. Od dawna już zresztą podnosiły się głosy, że w sprawach o czary zbyt wiele spotyka się nadużyć. Nawet ludzie przekonani o istnieniu diabła zdawali sobie sprawę, że często o oskarżeniu decydowała zwyczajna ludzka zawiść i podłość. Już w roku 1639 ukazało się anonimowe dzieło pn. „Czarownica powołana", w którym upomniano się o niewinne ofiary pomówień. Przeciwko nadużyciom sądowym wypowiedział się także Daniel Wisner, autor „Traktatu".

Były także głosy przeciwne. Szlachetny Imć Pan Jakub Czechowicz, sędzia miasta Chełmna przekłada III część osławionego „Młota na czarownice" dając jej tytuł **„Praktyka kryminalna to jest wzór rozważnego i porządnego spraw kryminalnych sądzenia według praw przyzwoitych i przystosowanych, zdaniem autorów poważnych".** Data wydania: rok 1769. Był to potężny oręż w rękach fantyków, chociaż, na szczęście, nie mogli z niego korzystać zbyt długo. Już w 1774 wojewoda gnieźnieński August Sułkowski domagał się na sejmie zniesienia kary na czarownice, ale nic wtedy nie wskórał, chociaż wniosek poparł podkomorzy gnieźnieński Gurowski. Były także przykłady zagraniczne, jak choćby edykt cesarza austriackiego znoszący karę za czary, szczegółowo omówiony przez „Wiadomości Warszawskie". Trzeba było dopiero zbrodni doruchowskiej, aby spowodować przewrót umysłowy i u nas. Na sejmie w roku 1776 kasztelan biecki Wojciech Kluszewski energicznie przeciwstawił się już nie tylko procesom o czary, ale także stosowaniu tortury jako środka wydobycia zeznań. I tym razem racjonalna myśl zwyciężyła, sejm uchwalił w tej sprawie konstytucję. Na pamiątkę tego zdarzenia wybito specjalny medal głoszący po łacinie: **„Mękami wyciągać zawsze wątpliwe wyznania zbrodni, pociągnąć do sądu obwinionych o rzekome związki z mocą szatańską, zakazał Sejm z r. 1776 na wniosek króla Stanisława Augusta".**

Wielka to rocznica, choć prawie u nas nie zauważona. W wieku atomu i lotów kosmicznych, telewizji i przeszczepów serca zbyt szybko zapomnieliśmy o lękach dawnych ludzi nękanych przez diabła jak my przez raka czy zawały. Cóż, godzi się przypomnieć opinię Zygmunta Glogera, który pisząc o czarach, stwierdził:

„W sądach o przeszłości, miarą jedynie sprawiedliwą i jedynie krytyczną, jest miara porównawcza".

REPORTAŻ ZAGRANICZNY — IRAN (2)

SAMOCHÓD JEDZIE PRZEZ PUSTYNIĘ

Dalszy ciąg ze str. 1

Krajobraz jest tu fascynujący. Przepiękny w swojej surowości i grozie. Płaska jak stół brunatnoczerwona równina, z której wyrastają wysokie, surowe, zupełnie pozbawione roślinności góry. Są one też koloru brunatnoczerwonego, ale poplamione jakby innymi kolorami, czasami zupełnie niespodziewanymi w tym jednostajnym krajobrazie, a powstałymi przez odsłonięcie wewnętrznych złóż ziemi.

3.

Pustynia. Któż z nas nie zna z literatury opisu pustyni. Choćby tylko z „W pustyni i w puszczy" Henryka Sjenkiewicza. A taki obraz pustyni utrwalił jeszcze w naszej wyobraźni film. Więc kiedy słyszymy: „pustynia", kojarzy się to nam z wydmami piasku. A piasek wiadomo — jest biały albo żółty i sypki. Ale tu nic z tych wyobrażeń. Pustynia irańska jest brunatnoczerwona i porośnięta rzadką, zielonkawobrunatną roślinnością.

A. T. Olmstead, charakteryzując w książce „Dzieje imperium perskiego" warunki naturalne Wyżyny Irańskiej, tak pisał:

„Na zachodzie wznosiły się góry Zagros, na północy Elbrus. Ku wschodowi wyżyna wznosiła się stopniowo aż po Hindukusz, a na południu niewysokie pasma górskie zamykały drogę do oceanu. Mniejsze pasma dzieliły wnętrze tak obrzeżonego obszaru na części o podobnej strukturze — góry, pustynia i pasy urodzajnej ziemi — a różniące się tylko proporcjami tych trzech elementów."

Tak było kiedyś i tak jest dziś, choć przez minione stulecia człowiek nieustannie usiłował wyrywać przyrodzie to, co mu systematycznie odbierała. Mijamy ruiny starych wsi. Mijamy też wsie współczesne. Na płaskiej jak stół równinie wyrasta nagle rząd topoli, złotobrunatny mur okalający i chroniący pola i ludzkie siedziby. I znów brunatnoczerwona pustynia, poprzecinana wystającymi, martwymi górami. Różne proporcje trzech elementów: gór, pustyni i urodzajnej ziemi.

Mijamy przydrożne osiedla. Kilka domów równo ustawionych wzdłuż drogi. Warsztaty, restauracja, sklep. I znów pustynia. Samochód nieustannie jedzie na południe. Jedziemy przez pustynię. Robi się gorąco.

— Ali! Pić!

— **Szczas, Ali najdziot.**

Ali mówi o sobie w trzeciej osobie. Ali jest bardzo zapobiegliwy. Pyta, co chcemy pić?

— **Piwo** — powiadamy zgodnie z profesorem Krasowskim. Ali kiwa głową ze zrozumieniem. Irańskie piwo nie jest może najlepsze. Ali — jak przystało na prawowiernego muzułmanina — piwa nie pije, ale wie, że irańskie piwo znakomicie gasi pragnienie.

Przed nami Qum. Miasto meczetów i muzułmańskich duchownych. Niektóre sklepy są już otwarte. Również restauracje. Ale Ali nie zatrzymuje się w Qum. Zwalnia tylko trochę, abyśmy mogli popatrzeć na miasto i jedzie dalej. Jest jeszcze stosunkowo wcześnie, trzeba jak najwięcej pustyni mieć za sobą. Mijamy więc Qum i znów wyjeżdżamy na drogę wiodącą przez pustynię. A na tej pustynnej drodze ruch jak w Łodzi na Piotrkowskiej w porze szczytu.

4.

Tłok na tej pustynnej drodze może mylić. Jest tu rzeczywiście ruch ogromny. Wyprzedzenie, jak się komu śpieszy, jest trudne i ryzykowne. Już za Isfahanem, bardziej na południe, widziałem samochody po zderzeniu czołowym. Maski obu wozów weszły w siebie dokładnie, sprasowały się wzajemnie. Alę w tej kraksie „udział wzięły" jeszcze 2 samochody, jadące za bezpośrednimi sprawcami katastrofy. Po drodze widzieliśmy więcej porzuconych wraków. Śpieszy się tu bowiem wszystkim, gdyż w Iranie jeździ się niezwykle szybko, nie żałując ani benzyny, ani samochodów.

Kilka dni później w Teheranie dowiem się o przygodzie, jaką mieli polscy muzycy, występujący w orkiestrze teherańskiego Radia i Telewizji, a którzy postanowili „fiatem" wybrać się do Warszawy. Jadąc na południe w stronę Turcji, szosą biegnącą po sześciometrowym nasypie, zostali nagle oślepieni przez jadącego z przeciwka kierowcę ciężarowego samochodu. Kierowca „fiata" stracił panowanie nad samochodem, usiłował go opanować, wpadł w poślizg, odbił się od bariery, rozwalił taką samą po przeciwnej stronie i sturlał się po sześciometrowym nasypie. Kufer „fiata" odcięło jak nożem. Bagaże można było zbierać na przestrzeni kilkudziesięciu metrów. Ale obaj kierowcy na szczęście wyszli cało. Cóż z tego, kiedy samochód leżał pod nasypem na pustyni. Górą jechały szybko inne samochody i nikt zbytnio nie interesował się rozbitkami. Nadszedł dzień. Słońce zaczęło przygrzewać i coś trzeba było zrobić, aby nie zginąć tuż w pobliżu szosy. Zawiadomiono więc policję. Policja przyjechała i zapytała, czy ktoś nie został zabity. Nie. No, to do widzenia. I pojechali. Obaj rozbitkowie znów zostali sami. Wreszcie udało się jednemu z nich dostać do najbliższego telefonu i zawiadomić teherańskie Radio i Telewizję, których byli pracownikami i te instytucje wysłały wóz ciężarowy z dźwigiem, który cały ten rozbity majdan wraz z pasażerami przywiózł szczęśliwie do Teheranu.

A my wciąż jedziemy przez pustynię. Ruch coraz większy. Mijamy już nie tylko samochody ciężarowe. Bardzo kolorowe, załadowane do ostatecznych granic towarami. Mijamy samochody wiozące do osad owoce i warzywa. Mijamy wreszcie samochody osobowe, zapchane do niemożliwości pasażerami, ozdobione wewnątrz firankami, gdzie na półce pod tylną szybą nierzadko śpią małe dzieci. Samochody takie stają na poboczu drogi, a cała rodzina siada w ich cieniu, posila się i gasi pragnienie.

Wreszcie Delijan. Przejeżdżamy przez miasteczko składające się z kilkunastu domów i na samym jego skraju, już w części południowej, zatrzymujemy się przed restauracją. Pijemy zimne piwo. Prosto z lodu. Zagryzamy pistacjowymi orzeszkami.

— Ali? Skąd oni tu na pustyni biorą lód?

I Ali cierpliwie tłumaczy, że dawniej lód robiło się zimą, zakopywało się go w takim miejscu, gdzie zawsze jest cień. A przez całą resztę roku lód się wydobywało. Dziś są do tego specjalne maszyny.

Patrzę na profesora Krasowskiego i mówię:

— Żeby tak i u nas zawsze było piwo z lodu.

Ali nie zostawia nam czasu na dyskusję. Zaprasza do samochodu, bo lepiej jechać teraz, póki jeszcze słońce nie stoi w zenicie.

5.

Ruch samochodowy na drodze biegnącej na południe przez pustynię jest mylący. Iran bowiem nie posiada rozwiniętej sieci dróg. W 1971 roku było tu około 10 tys. km dróg o twardej nawierzchni. A linii kolejowych — około 4 tys. km. Jedziemy drogą, która z Teheranu prowadzi do Szirazu przez Isfahan i we fragmencie należy do trasy A—2.

Trasa A — 1 biegnie wzdłuż północnej części Iranu, łącząc Turcję z Iranem, Afganistanem i Indiami. Zaczyna się ona na terytorium Iranu w Bazarganie, a kończy się w Tajabad u granicy z Afganistanem. Prowadzi przez Teheran, przekraczając między Teheranem a Amolem pasmo gór Elbrus.

Trasa A — 2 łączy Irak z Pakistanem. Zaczyna się w Qasr-e Shirin u granicy z Irakiem i przez Kermenszah i Hamadan biegnie ku północy, aby połączyć się z trasą łączącą Teheran i Szirazem. Z Isfahanu skręca na wschód, do Yazdu i Kermanu, skąd dalej prowadzi do Zahedanu i do Pakistanu. Ale w przeciwieństwie od trasy A — 1, w swojej wschodniej części, biegnie drogami gorszej jakości — Gravel Roads, czyli drogami żwirowymi.

Dla Iranu, starającego się rozwijać przemysł i modernizować gospodarkę, zmieniając jej strukturę, brak tras komunikacyjnych stanowi ogromne utrudnienie i jest jedną z barier, jakie trzeba przeskoczyć, aby zrealizować ambitne zamierzenia gospodarcze. Buduje się więc drogi, buduje linie kolejowe. Ale to wszystko mało.

W portach nad Zatoką Perską leżą sterty towarów, czekając cierpliwie swojej kolejki transportowej, aby móc trafić do miejsca przeznaczenia. To samo w Jolfie — stacji granicznej, położonej w zachodnio-północnej części Iranu, przy granicy z ZSRR, którędy to idzie znaczna część tranzytu przeznaczonego do Iranu. Wprawdzie Jolfę z Teheranem łączy transirańska linia kolejowa, która biegnie prawie równolegle do trasy A—1, ale która kończy się w Maszhedzie. Z Teheranu kolejowe połączenia prowadzą do Ahvazu i Bandar-e Abadanu nad Zatoką Perską oraz do Kermanu we wschodniej części Iranu, nad pustynią Deszt-e Lut. Sterty towarów leżą również w porcie lotniczym Teheranu.

Komunikację lotniczą ma Iran natomiast dość dobrze rozwiniętą. Port lotniczy w stolicy Iranu wydaje się jednak już trochę trzeszczeć w szwach. Samoloty tu lądują co kilka minut. Można stąd polecieć samolotem do wszystkich większych miast tego kraju.

Nic więc dziwnego, że Iran stara się budować nowe drogi i linie kolejowe. Nawiązuje kontakty z zagranicznymi firmami, które podjęłyby się tego zadania w trudnych warunkach Wyżyny Irańskiej, pociętej pasmami gór i pustynią. Próbowali to robić Rumuni. A teraz — w wyniku wizyty Prezydenta Francji Valerego Giscard d'Estaing i jego rozmów z Cesarzem Iranu Mohammadem Rezą Pahlavi — francuskie firmy mają podpisać umowy na budowę linii kolejowej Teheran — Bandar-e Shahpur nad Zatoką Perską oraz autostrady biegnącej przez południową część Iranu. Dla Francji i Iranu jest to znakomity interes. Dla Francji, gdyż przyczyni się do poprawy trudnej sytuacji gospodarczej, a dla Iranu, gdyż przyczyni się do rozwiązania trudności transportowych.

6.

Z Teheranu do Isfahanu jest 425 km. Przyjechaliśmy przed samym południem. Hotel „Shah Abbas" jest przy Shah Abbas Avenue. Tutaj właśnie umówiliśmy się w samo południe z Wojciechem Kilarem.

Hotel rzeczywiście jest przepiękny. Wygląda jak pałac ze wschodniej bajki. Służba w różnego rodzaju egzotycznych uniformach i strojach. Hotel konstrukcją budynku i ozdobami przypomina i nawiązuje do architektury zabytkowych meczetów.

Jest wreszcie Wojciech Kilar. Przyleciał wczoraj samolotem, zamieszkał w młodzieżowym schronisku, miał więc okazję poznać wędrujących po Azji europejskich hipisów. Zdążył jeszcze wejść — zupełnie przypadkowo i nieświadomie — do domu modłów, gdzie został poczęstowany irańską herbatą (bardzo dobrą), palił nargile i przyglądał się modłom wiernych. Zdążył też „wpaść" — również zupełnie przypadkowo — do jakiegoś isfahańskiego domu na... kolację. Został przyjęty bardzo serdecznie, ale trudno byłoby powiedzieć, że tego wieczoru w tym isfahańskim domu rozmowy toczyły się w serdecznej atmosferze i we wzajemnym zrozumieniu. Owszem atmosfera była serdeczna. Obie strony uśmiechały się do siebie niezwykle serdecznie. Kiwano ze zrozumieniem głowami. Ale żadne rozmowy nie odbyły się, bowiem Wojciech Kilar nie zna — niestety — perskiego, a znów isfahańscy gospodarze — niestety — żadnego z europejskich, którymi posługuje się i które znał ich gość, ani więc angielskiego, ani niemieckiego, ani francuskiego.

— **Ale było strasznie przyjemnie** — opowiadał nam.

Uwierzyliśmy na słowo i poszliśmy wszyscy coś zjeść. A po obiedzie, jak każe tutejszy zwyczaj, usiedliśmy w hotelowym ogrodzie, w cieniu platanów, rozkoszując się szumem pobliskich fontann i przyjemnym chłodem, jaki dawał nam cień drzew. Siedzieliśmy w wygodnych fotelach, rozmowa toczyła się leniwie, gdy nagle Jerzy Krasowski powiedział:

— Ja tu sobie tak siedzę w tym rozpalonym Isfahanie a tam koło Lanckorony, w moim sadzie, jabłka dojrzewają, śliwy, gruszki. Sympatycznie jest tam i przyjemnie. A mnie tu czort wie po co przygnało. I jeszcze na dodatek wieczorem muszę lecieć do Szirazu.

Isfahan jest przepiękny. Ale cholernie stąd daleko do naszej sympatycznej, zielonej Polski. Zrobiło się więc nam jakoś głupio. Tęsknota, czy licho wie co. Szybko zmieniliśmy temat i zaczęliśmy wyliczać, kto jeszcze i co ma tu do zrobienia.

A więc trzeba rzucić okiem na Isfahan, pozwiedzać trochę zabytki. Dla mnie na dokładniejsze zwiedzanie czas będzie w drodze powrotnej. Muszę bowiem jechać dalej, na południe, do Naghshe Djahan.

Jerzy Krasowski wieczorem odlatywał do Szirazu.

Wojciech Kilar zostawał jeszcze na noc i na dzień w Isfahanie. Chciał go dokładnie obejrzeć i dopiero później udać się dalej — również jak rektor Krasowski — na festiwal do Szirazu.

7.

Wieczorem żegnaliśmy się z rektorem Krasowskim w bufecie portu lotniczego Isfahanu. Piliśmy zimne irańskie piwo i rozmawialiśmy o krajowych planach, kto i co ma do zrobienia, kiedy wróci już do domu. Profesor Krasowski bardzo żałował, że nie mogę lecieć z nim do Szirazu.

— **Ale może pan wpadnie do mnie do Krakowa, to porozmawiamy o festiwalu.**

— Wpadnę z przyjemnością.

Spikerka wezwała pasażerów samolotu do Szirazu do wyjścia na płytę lotniska. Ali powtórzył jej słowa, bowiem pilnował, aby profesor Krasowski nie spóźnił się na samolot.

A sami ruszyliśmy do Naghshe Djahan.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Zdjęcia Autora

TOMASZ SOLDENHOFF

SKAZANY NA ŚMIERĆ

Fot: W. Parys

To miejsce jest dobrze znane. Najbliższe sąsiedztwo gwałtownie modernizującego się Placu Wolności.

Idąc ulicą Nowomiejską, można pod numerem 12 zobaczyć nieduży dom, o którym strzępy słów na zardzewiałej tabliczce mówią, że jest to obiekt zabytkowy. Poza tym nie ma w zniszczonej fasadzie nic, co by przypominało budynek zakwalifikowany do państwowej ochrony.

— — —

Oto bodaj ostatni relikt dawnej osady nowosukienniczej z lat 1825—1830, zwanej Nowym Miastem. Zamknięta ulicami Północną, Wschodnią, Południową i Zachodnią, z charakterystycznym ośmiobocznym rynkiem pośrodku (dziś Pl. Wolności) była założona, jako druga z kolei, dzielnica starej Łodzi.

O domku przy ul. Nowomiejskiej nie wspomina przewodnik „Województwo Łódzkie" (aktualnego bedekeru po Łodzi jeszcze nie ma), ani w rozdziale „Wycieczki po Łodzi" ani wśród godnych uwagi zabytków.

Sporządzam rejestr uszkodzeń i braków. Odpadający tynk odsłonił miejscami cegły, straszą przeżarte rdzą rynny. Liczę dziury w skruszałym murze. W drewnianej bramie ślady nieudolnych połatań. Wybite szyby. Od podwórka na piętro domku prowadzą drewniane schody, które dopiero po interwencji „Expressu" zastąpiły poprzednie: przegnite i grożące zawaleniem. Przez dach leje się jak z konewki. Woda rozmiękcza strop, ścieka po odsłoniętych przewodach, tworzy zacieki i grzyby. Wyłazi słoma ze zbutwiałego poszycia. Choć lista niepełna, dochodzę do wniosku, że zabytek ten nigdy nie był przedmiotem jakiejkolwiek troski. Moją opinię potwierdza gospodarz domu. Remontu nie pamięta nawet półgłuchy dziadek, który mieszka tu ponad 40 lat. „Owszem, bywało wiele komisji, ale z konserwacji nikogo nie widzieliśmy" — mówią lokatorzy. „Czasem tylko wycieczki wchodzą na podwórko" ...Ale czy jeszcze jest co pokazywać? Kiedy brak nawet elementarnej informacji o zabytku? I komu to bezsilnie grozi tabliczka: „Uszkodzenie i niszczenie wzbronione"..?

A może obiekt przestał już być zabytkowy? Dowiaduję się jednak w Biurze Dokumentacji Zabytków, że obiekt jest w rejestrze. Powiedzieli mi lokatorzy, że we wrześniu miano łatać dachy, nieruszone od 12 lat. Nadeszła jesień, deszcze.

Do 18 września nie rozpoczęto jeszcze remontu. „Przyszli smarownicy, pokręcili się, rozpalili pod kotłem ze smołą, ale pijani bali się wejść na stromy dach. Tylko gdzieniegdzie połatali dziurki. W sprawie tego remontu zaplanowano zebranie. Ludzie pozwalniali się z pracy, ale z władz konserwatorskich nikt nie przyszedł". Tyle mieszkańcy.

Trafi chciał, że wychodząc natknąłem się na dwóch wąsatych majstrów. „Właśnie zastanawiamy się, czy w ogóle coś robić" — poinformowali mnie. Czyżby więc decyzja nie zapadła wcześniej i wyżej? Czy należy ona do wykonawców? Rzecz jasna, ani śladu sprzętu, papy, smoły etc.

— — —

Minął tydzień od rozmowy z robotnikami, a prac na dachu nie zaczęto. Dwa worki cementu leżą pod gołym niebem. Dlaczego robotnicy zwlekają, na co czekają?

Lecz zagadka się wyjaśnia. Była jeszcze jedna, tajemnicza i niezidentyfikowana komisja. Lokatorzy podsłuchali: frontowy domek będzie rozebrany... Parę nowych pytań. „Czy, jeżeli rzeczywiście remont przeniesie się na okoliczne domy, jak mówią mieszkańcy, to zabytek zostanie bez szczelnego dachu do końca swego żywota?", „Dlaczego nie zawiadomiono lokatorów?". „Kto powziął tę decyzję?". I najważniejsze: „Czy podjęto ją w porozumieniu z konserwatorem?"...

— — —

Wizyta w Lokalnym Zrzeszeniu Prywatnych Właścicieli (mającym pod opieką domek na Nowomiejskiej) daje tylko częściowo odpowiedzi na te pytania. Przeglądam dokumentację posesji. Dochody, jakie przynosi domek (13 tys. zł) nie równoważą kosztów remontu. Istnieje praktyka, że domy utrzymują się same za dochody jakie przynoszą. Jeżeli wpływy są małe, starcza tylko na drobne naprawy, albo nie starczą na nic.

Frontowy dom pod nr. 12 należy do deficytowych, prezesi Zrzeszenia rozkładają ręce: „A puli na specjalne, kosztowne remonty nie ma". Dlaczego tak późno pomyślano o remoncie? Otóż, planowano go od kilku lat, tylko, że zawsze brakowało pieniędzy. Z roku na rok niewspółmiernie do posiadanych funduszów rósł kosztorys ewentualnych robót. Teraz jest w nim 60 pozycji. Kosztorys uwzględnia bodaj wszystkie naprawy, w tym krycie dachu, wymianę rynien, roboty stolarskie itd.

Kapitalny remont kosztowałby dziś około 200 tysięcy. Toteż Zrzeszenie poprzestało na akceptowaniu sporadycznych remontów wnętrz przez właścicieli siedmiu pracowni, znajdujących się na parterze. Ostatnio niedbale załata o narożnik bramy, odtracony przez wjeżdżający samochód. Świeży w tym miejscu tynk kontrastuje z tragicznym wyglądem szczerniałego frontonu.

W Zrzeszeniu już wiedzą, że rozbiórka **będzie.** 60 tysięcy złotych, jakie przeznaczono pierwotnie na remont zabytku, pójdzie na reperację dachu sąsiednich oficyn. „Na frontowy domek wam nie dajemy pieniędzy, tylko na oficyny" — usłyszeli przedstawiciele Zrzeszenia na spotkaniu w Wydziale Gospodarki Komunalnej. A na wołanie prezesów: „Przecież to zabytek!" — urzędniczki odpowiedziały: „To nieważne!".

Ale nie dano decyzji na piśmie. Ani lokatorom, którzy skarżą się w Zrzeszeniu, ani Zrzeszeniu, które z kolei skarży się, że nie może oficjalnie odpowiadać lokatorom. Dlaczego więc Wydział nie chce dać pisemnej decyzji?

Przeglądam też korespondencję z Wydziałem Gosp. Komunalnej i Przestrzennej Urzędu Dzielnicowego Łódź—Śródmieście.

Ani razu nie wspomina się tam o zabytkowym charakterze domku.

— — —

Toteż w Urzędzie Dzielnicowym wywołuje pewne zdumienie wiadomością, że domek przy Nowomiejskiej 12 jest zabytkiem.

Dla kierownika Wydziału Gosp. Komunalnej mgra Andrzeja Krawczyka jedyną racją są warunki techniczne domu. Jeżeli budynek się wali, to nie ma co się zastanawiać nad dylematem: ratować zabytek, czy ratować ludzi, którym ten zabytek może runąć na głowy. Dlatego Wydział wciągnął go na listę najbardziej niebezpiecznych budynków w dzielnicy, w pierwszym rzędzie przeznaczonych do rozbiórki. Ponieważ to dopiero projekt, Wydział nie może dać zainteresowanym decyzji na piśmie. Choć nie wiadomo, czy projekt zostanie zatwierdzony, na wszelki wypadek **już** rezygnuje się z remontu, bo po co inwestować w coś, po czym nie będzie śladu. A przecież właściciel budynku ma obowiązek remontować dom do czasu, gdy mieszkają w nim ludzie. Ludzie nadal mieszkają, zaś z doświadczenia wiadomo, że plany rozbiórek często realizowane są z opóźnieniem (przykład domów na ul. Narutowicza).

Ale cóż... Za pieniądze na reperację zabytku załata się dachy sąsiednich oficyn, które powinny być odremontowane swoją drogą). I już. Załatwione. Kropka.

Zatwierdzenie wspomnianego projektu należy do Urzędu Miasta. Tu głos ma również konserwator. Pytanie więc, czy go wykorzystał?

— — —

Konserwator zabytków Łodzi, mgr Mirosław Pracuta **nie** jeszcze nie wie o planowanej rozbiórce domku. Natomiast wiedzą o niej już lokatorzy z Nowomiejskiej, Zrzeszenie Prywatnych Właścicieli i przewodnicy w Kole PTTK...

W obowiązującym jeszcze do niedawna podziale zabytków na 4 grupy, domek zaliczony był do grupy najniższej, a więc w praktyce — jako nie podlegający ochronie konserwatorskiej — skazany na „techniczne wymarcie" Fakt ten zwolnił więc konserwatora od jakichkolwiek wyrzutów sumienia. Przynajmniej: zwolnił na papierze. To w przeszłości. A dziś?

Po sesji historyków sztuki w 1971 r. liczba łódzkich zabytków powiększyła się z 200 do ... 10 tysięcy. Wliczono bowiem tu budynki od przełomu XIX i XX wieku do... 1951 roku.

Domek przy ul. Nowomiejskiej nie znalazł się w żadnej ze stref ścisłej ochrony konserwatorskiej (tzw. strefa A). O skreśleniu zabytków z rejestru decyduje Minister Kultury i Sztuki. W sprawie tego domku zapewne decyzji nie ma. Bo i plan urbanityczny Śródmieścia nie jest do końca opracowany.

W praktyce jednak Ministerstwo, pod wpływem potrzeb urbanistycznych godzi się na demontaż budynku.

Konserwator, którego rozgrzeszają przepisy i zmiany w kryteriach wartościowania zabytków wyraża się jak najgorzej o bohaterze tego reportażu. Zapewne rozbierany i stawiany na owo jeszcze w XIX w., ma ponoć tylko jedną ścianę godną uwagi (choć tabliczka, acz zatarta mówi o **całym** budynku).

Domki tego typu budowano bez fundamentów, izolacji i takiej instalacji, która dałaby dziś możliwość np. ocieplenia lokalu. Przypominam sobie zabytki podhalańskie ze starego nietrwałego, łatwopalnego drewna, które mimo to, udało się oświetlić i ogrzać na tyle dobrze, aby powstały warunki dla wystawy. A poza tym nie bardzo rozumiem, dlaczego Konserwator mówi o stwarzaniu „warunków mieszkalnych" w tym domu, bo ja widziałbym dla tego **zabytku już** inne perspektywy.

Być może Konserwator ma rację: domek jest „destruktem". Czekać cierpliwie i z wolna obracać się w próchno — to cichy obowiązek zabytku. Ale Pan Konserwator nie ma racji, gdy stwierdza np., że dach jest jeszcze cały. Tymczasem dachu nie ma, a jest sito.

I nawet jeśli wartość zabytkowa jest kwestionowana (choć mam na ten temat odmienne zdanie), faktem pozostaje żałosna sytuacja mieszkających tam ludzi. Ludzie ci modlą się, aby nie przyszła burza z piorunami — na te odsłonięte kable, i żeby ulewy omijały ich dom, gdyż brak już wiader na strychu.

— — —

W wywiadzie radiowym dla łódzkich „Aktualności kulturalnych" dyrektor nowo powstałych Pracowni Konserwacji Zabytków stwierdził, że trzeba się będzie pogodzić z rozbiórką szeregu łódzkich zabytków. Poprzestanie się tylko na sporządzeniu dokumentacji. Charakterystyczny to minimalizm, jak na ambicje dopiero startującej instytucji... Nie wątpię, że jeszcze jest czas na dokumentację. Ale żaden turysta nie będzie przecież biegał do biur, żeby w aktach zobaczyć to, co było kiedyś na miejscu, gdzie dzisiaj jest tylko żółty prostokąt ziemi, albo np. nowoczesny sklep branżowy włókiennictwa...

Zwykło się kojarzyć domki łódzkich tkaczy, pionierów osadnictwa z tą częścią łódzkich tradycji których powinniśmy się wstydzić (a bo cegła z palonej gliny, brak kanalizacji, słomiane poszycie itd. itp.). Sąd to jednak fałszywy.

Czuje się w nim jakiś brak wyobraźni, przedsiębiorczego pomysłu, może społecznikowskiej pasji... Nie myślę tu jednak o przerobieniu domku np. na bar mleczny (tak jak to stało się z klasycystyczną gospodą na rogu ulic Próchnika i Piotrkowskiej)... Domek leży na szlaku turystycznym z Placu Wolności na Staromiejski Rynek. Już to przemawiałoby za utrzymaniem go, mimo wszystko. Potraktować dom, jako element głównego szlaku, który wśród nowoczesnych arterii i pawilonów ukazywałby zachowane fragmenty historii miasta. Uwydatnić rolę takich, jak ten domków w pewnym okresie postępową i przemysłotwórczą, jako dokumentu pracowitego i skrzętnego życia jego mieszkańców. Nic lepiej nie ukaże rozmiaru zmian, jak zetknięcie dwu biegunów: warsztatu tkackiego, zrekonstruowanego w ciasnych pomieszczeniach XIX-wiecznego domku z widokiem jasnej, aklimatyzowanej hali w „Polanilu". A może któryś z wielkich zakładów przemysłowych zainteresowałby się materialną opieką nad reliktem włókienniczych tradycji, a któreś z łódzkich muzeów (Muzeum Miasta albo Włókiennictwa?) stworzeniem autentycznego warsztatu i stylizowanego sukiennego sklepiku?...

Nie bardzo rozumiem, dlaczego uwaga konserwatorów skupia się na obcej nam z ducha zabudowie secesyjnej, natomiast zabytki tak silnie związane z narodzinami Łodzi przemysłowej pozostawia się nieuchronnej zatracie. Mija czas, kiedy można coś było dla reperacji domku zrobić, toteż pojawia się „usprawiedliwienie", które cały ciężar zwala na słabość byle jakiej konstrukcji, brak fundamentów itd. To zabytek jest winny, jest oskarżony, choć tak naprawdę, to on oskarża...

Fakt, że nad domkiem, z powodu złego stanu technicznego, wisiała od dawna wizja zagłady, nie usprawiedliwia przecież tych, od których zależy w Łodzi troska o dobra kultury materialnej. Nie zadowala też wykrętny argument, jakoby zrekonstruowane domki tkaczy przy ul. Piotrkowskiej miały zastąpić zniszczone zabytki w innych częściach miasta. Zresztą, perspektywa rekonstrukcji domków dopiero po wybudowaniu osiedla mieszkaniowego w tamtym rejonie (a więc po 5, 7 latach?) jest jeszcze mocno odległa.

Ogólnie wiadomo, że w Łodzi „nie ma nic dla turystów". Mimo, iż odczuwa się już w naszym mieście potrzebę zmiany tej krzywdzącej opinii — jak widać — nie wykorzystuje się wszystkich szans. I o tych szansach się zapomina, albo przemyślnie, albo przez zwykłą obojętność i niewiarę w to, że można czasem coś zrobić bez pomocy astronomicznych sum...

Stupięćdziesięcioletni łódzki zabytek został skazany na śmierć.

Wyrok nie jest jeszcze prawomocny.

WACŁAW PAWLAK

SZPITAL POWIATOWY

Fot: Archiwum

W 1838 roku burmistrz łódzki, Karol Tangermann, zwrócił się w imieniu urzędu miejskiego do władz rządowych z projektem zbudowania szpitala w Łodzi. Potrzebę założenia szpitala uzasadniał tym, że „zbiór rozmaitej klasy majstrów i liczniejszej czeladzi częstokroć ulega słabości, którzy dla braku szpitala pozbawieni pomocy i przytułku należnego, cierpią i mocno nad tym ubolewają".

Władze w Warszawie argumentację burmistrza uznały za słuszną i przedstawiony projekt zatwierdziły. Pod budowę pierwszego szpitala łódzkiego przeznaczono zachodnią część Rynku Fabrycznego (dziś plac Katedralny). Było to miejsce bardzo odległe zarówno od Starego jak i Nowego Miasta, ale wybrano je „dla świeżego powietrza". Później dopiero spostrzeżono, że plac przeznaczony pod szpital był dawnym torfowiskiem, leżącym w podmokłym zagłębieniu doliny Jasieni. Nie zmieniło to już jednak decyzji władz.

Gmach szpitala, któremu nadano nazwę św. Aleksandra, został wybudowany w latach 1842—1845 według typowego projektu architekta rządowego Henryka Marconiego. Robotami kierował gubernialny budowniczy Stanisław Bieliński. Ostatecznie powstał budynek jednopiętrowy, prosty w kształcie, o klasycystycznej fasadzie. Szpital otaczał ogród warzywny i owocowy. W pokryciu kosztów budowy szpitala oprócz Łodzi wzięły częściowo udział okoliczne miasta: Zgierz, Konstantynów i Aleksandrów. W zamian za to wymienione miasta korzystały z usług szpitala, posyłając tam swoich chorych.

Wizytujący budowę radcą stanu hr. Fryderyk Skarbek jeszcze przed otwarciem szpitala zwrócił uwagę na jego szczupłość. Szpital obliczono bowiem początkowo na 34 łóżka, co dla 20-tysięcznego miasta oraz okolicznych miejscowości było niewystarczające.

Budynek szpitalny nie od razu został wykorzystany na cele lecznicze. W latach 1844—1845 Łódź przechodziła kryzys przemysłowy. Wśród bezrobotnych tkaczy szerzyła się niesłychana nędza. Władze miejskie, pragnąc chociaż częściowo rozładować bezrobocie, powzięły myśl uruchomienia municypalnego zakładu włókienniczego, w którym znaleźliby pracę najwięcej potrzebujący pomocy. Ponieważ tkacze mający uzyskać zatrudnienie z funduszów miasta nie posiadali odpowiednich lokali, w których mogliby przerobić otrzymaną przędzę, postanowiono w nowo wybudowanym gmachu szpitalnym, dotąd przez chorych nie zajętym, urządzić trzy sale do zwijania osnowy i nawijania cewek. Pozostałe pomieszczenia przeznaczono na magazyny przędzy i tkanin.

W maju 1845 roku, z uwagi na palącą potrzebę uruchomienia szpitala, zakład włókienniczy został zlikwidowany. Nędza, głód i nie najlepsze warunki sanitarne w mieście powodowały szerzenie się różnych chorób, przybierających często charakter epidemii. W tych okolicznościach zapadła decyzja wykorzystania gmachu szpitalnego zgodnie z jego przeznaczeniem. W 1886 roku do starego budynku szpitalnego dobudowano piętrowy pawilon (na zdjęciu), w którym pomieszczono 42 łóżka. W poszerzonym w ten sposób szpitalu leczono choroby wewnętrzne, weneryczne i skórne, złamania i okaleczenia. Warto wspomnieć, że znaleźli tu także opiekę lekarską powstańcy z 1863 roku, ranni w bitwie pod Dobrą. Ordynatorami szpitala byli między innymi lekarze: August Potempa, Gustaw Sterzel, Stanisław Plichta, Juliusz Lohrer, Alfred Krusche, Jan Wisłocki.

Szpital powiatowy św. Aleksandra istniał nieprzerwanie trzy ćwierci wieku. W 1921 roku obiekt szpitalny przekazany został przez magistrat łódzki czynnikom kościelnym. Po gruntownej przebudowie gmachu i nadbudowie drugiego piętra, otwarto w nim seminarium duchowne.

ZBIGNIEW S. NOWAK

„PIWNICA"

O popularnym łódzkim klubie plastyków krąży intrygująca pospolitą gawiedź fama — pono dzieją się tam rzeczy niebywałe, nawet jak na „dom schadzek" artystycznego przecież światka. Wprawdzie, jak twierdzą co bardziej wtajemniczeni, nie taki to przybytek uciech wszelkich i pijalnia wód przeczystych, jak np. prawie że konkurencyjny „Spatif", ale i tak można w „Piwnicy" doświadczyć przeżyć nie byle jakich, ludzi poznać ze świata ciekawych, a choćby mów posłuchać wartkich i zadzierżystych czasem, to czy owo pooglądać...

Ale do rzeczy — ta zaś ma być o działalności kulturalnej jednej z najlepiej funkcjonujących placówek tego typu w naszym mieście.

Narodziny klubu trwały dość długo; ZPAP „zamieszkał" przy ul. Piotrkowskiej 86 w 1965 r, natomiast sam klub ruszył pełną parą dopiero pięć lat temu. Łódzkim plastykom dostatecznie już dopiekła dziwna zgoła w tak dużym mieście bezdomność. Posiadanie „własnego kąta" stało się koniecznością, bo chociaż było gdzie urządzać zebrania członków łódzkiego oddziału ZPAP czy zwyczajnie spotkać się od czasu do czasu z kolegami „po fachu", pogawędzić przy kawie... Takie też były w pierwotnym założeniu cele i „l'idée de la vie" klubu.

Jednak właściwy plastykom zapał w działaniu i niebywała pomysłowość sprawiły, że skromne początkowo zamierzenia zostały w realizacji znacznie przekroczone ku ogromnemu zadowoleniu nie tylko członków ZPAP.

W dawnych lokatorskich piwnicach urządzono lokal-cacko, oczywiście za związkowe pieniądze. Sam wystrój wnętrz projektu Pugaczewskiego wart jest tego, by odwiedzić „Piwnicę"; żadna łódzka kawiarnia nie może poszczycić się choćby podobnym. A kawa też jest tu doskonała... i nie tylko kawa (sam próbowałem). Ajent prowadzący bufet dba nie tylko o podniebienia bywalców „Piwnicy" i o miły nastrój; dokłada też swoją cząstkę do ogólnej puli na działalność kulturalną — tak więc przyjemne żyje w największej zgodzie z pożytecznym.

O to, jak zadysponować budżet, wynoszący rocznie ok. 200—250 tys. zł (fundusze ZPAP i dotacje Wydziału Kultury Urzędu Miasta), „martwi się" kierownik „Piwnicy" i Rada Klubu, nad całością zaś czuwa Rada Okręgu ZPAP. A jest nad czym się głowić, by sprawnie i w pełni realizować ambitne cele działalności klubu. W zwięzłym ujęciu prezesa łódzkich plastyków, W. Garbolińskiego, są one następujące: społeczno-zawodowa integracja środowisk twórczych, nie tylko plastyków, interdyscyplinarna wymiana doświadczeń i myśli twórczej, organizacja życia kulturalnego, zwłaszcza braci plastycznej i oczywiście upowszechnianie sztuk plastycznych, przy współpracy z innymi jednostkami kulturalno-oświatowymi i oddziałami związkowymi.

Klub jest otwarty w zasadzie dla wszystkich; dla członków stowarzyszeń twórczych bezwyjątkowo i niejako „automatycznie", inni zaś także bez trudu mogą otrzymać kartę wstępu. Zasada ta daje wiele korzyści. Dzięki niej młodzi adepci sztuk nie tylko plastycznych mają możliwość wymiany doświadczeń ze starszymi kolegami i doskonalenia zawodowego, choć drogą nieformalną, co znakomicie ułatwia „wrastanie" młodych w środowisko twórców, a tym samym usprawnia niejako ich start do samodzielnej aktywności profesjonalnej. Korzyść druga, to szansa faktycznej realizacji postulatu „integracji sztuk", oczywistego nie tylko w dzisiejszych czasach, a obecnie szczególnie modnego. To zaś siłą rzeczy pociąga za sobą pożądany proces społeczno-zawodowego zespalania ogółu środowisk twórczych. I jeszcze jedno: wśród „wprowadzanych" do klubu osób spoza kręgu twórców znaczny odsetek stanowi młodzież szkolna, a to przecież nie pozostaje bez wpływu i to pozytywnego na powodzenie akcji upowszechniania plastyki i wychowywania przyszłych jej odbiorców.

Jeśli już o upowszechnianiu mowa, to nie jest to jedyna forma działalności klubu na tym polu. Dochodzi do tego wielostronna i bardzo owocna współpraca z łódzkim biurem Wystaw Artystycznych, Towarzystwem Przyjaciół Sztuk Pięknych czy Państwową Wyższą Szkołą Sztuk Plastycznych; wiele ciekawych imprez jest wynikiem właśnie owej współpracy, dodajmy, że ciągle rozwijanej i wzbogacanej nowymi pomysłami. Sam klub zaś zamierza już w najbliższej przyszłości wprowadzić na stałe do swojego programu działania takie np. imprezy, jak wieczory autorskie i spotkania z twórcami czy „wystawy jednego obrazu" z dyskusjami nie tylko w zamkniętym, fachowym gronie, ale dla wszystkich chętnych.

Organizacja życia kulturalnego plastyków koncentruje się na takich dziedzinach, jak: teatr, muzyka, film i urządzane dość często spotkania z ciekawymi ludźmi — przedstawicielami świata kultury, nauki, polityki. Przestrzega się przy tym zasady, aby na owych imprezach prezentować to przede wszystkim, co inaczej w ogóle nie jest w warunkach łódzkich dostępne. I tak np. byli w „Piwnicy": Szajna i Kantor ze swoim teatrem, J. Kaczyński ze swym zespołem muzycznym, M. Voit i J. Barańska, J. Pietrzak i G. Holoubek, J. Fedorowicz i P. Szczepanik, żeby wymienić choćby tylko niektórych gości klubu. Wszystko to wszakże nie są imprezy zamknięte, wyłącznie dla plastyków, lecz dostępne szerszemu ogółowi. I to jest bardzo ważny moment działalności klubu. Poza korzyściami poznawczymi i rekreacyjnymi z takich wspólnie odbywanych imprez jest jeszcze jedna, niezmiernie ważna: nawiązywane podczas nich bezpośrednie kontakty twórców z odbiorcami sztuki w dużym stopniu określają intelektualne i emocjonalne więzi artysty ze środowiskiem, w którym żyje on i tworzy, ułatwiają mu „wyjście z pracowni do ludzi", dla których z kolei często jest to pierwszy krok do zawarcia bliższej i trwalszej znajomości ze sztuką. Na ten właśnie aspekt pracy klubu jego opiekunowie zwracają szczególną uwagę.

A co z plotkami na temat owych dziwnych rzeczy, które jakoby mają miejsce w „Piwnicy" i innych cudów?

Fot: W. Paryś

Powiedzmy uczciwie — cudów nie ma, chyba że za takowe uzna się fakt, iż klub funkcjonuje wzorowo, rzec by można: wzorcowo, a to rzeczywiście niezbyt często się u nas zdarza. Zaś te „dziwne rzeczy" to wspaniała atmosfera w „Piwnicy" — kameralna, ciepła, swojska, dla wszystkich bez wyjątku oraz wiele wspaniałych imprez, o które gdzie indziej jakoś bardzo trudno. No i porządek oraz właściwie pojmowana dyscyplina, dzięki którym taka właśnie atmosfera w klubie jest możliwa do osiągnięcia. W tym miejscu warto przytoczyć pewien fakt, który choć autentyczny, brzmi jak anegdota.

Otóż, kiedy swego czasu gościł w Łodzi Kantor, sympatyczna pani szatniarka nie chciała wpuścić go do klubu bez karty wstępu. Próżno zbulwersowany artysta tłumaczył, kto on zacz.

— Kantor, nie Kantor, a bez karty nie wpuszczę i już! — zaparła się strażniczka „Piwnicy". — Tu jest porządny klub i porządek musi być!

I co Państwo na to?

„LODEX"

Międzyzakładowy Dom Kultury „Lodex" nie wymaga rekomendacji. Pisano o nim niejednokrotnie, zawsze dobrze. Dodawanie jeszcze jednej, ogólnikowej „laurki" do szeregu poprzednich nie miałoby więc większego sensu. Inny był też cel dziennikarskiej wizyty w placówce przy ul. Buczka 17.

„Lodex" funkcjonuje jako międzyzakładowy dom kultury od kwietnia 1969 r.; przedtem była to świetlica przyzakładowa. Zasięgiem oddziaływania obejmuje nie tylko pracowników macierzystych zakładów: ZPW „Lodex", ZPW „Feniks" i ZPD im. T. Duracza „Delta", w liczbie ok. 6,5 tys. osób, ale prowadzi także dość ożywioną działalność środowiskową w kręgach okolicznych mieszkańców, zwłaszcza wśród młodzieży.

Budżet roczny MDK „Lodex" wynosi ok. 450 tys. zł. Powierzchnia lokalowa niewielka — 350 m kw., z czego 140 m kw. przypada na salę widowiskową, reszta zaś to sala telewizyjna, sala prób, sala pingpongowa, biblioteka, modelarnia, ciemnia fotograficzna. Prosty rachunek pokazuje, że są to pomieszczenia bardzo małe. Na tej powierzchni musi się pomieścić dziennie 450 do 500 osób, ścisk więc straszny. Kadrę stanowi czterech pracowników merytorycznych i pięciu tzw. instruktorów godzinowych. Baza MDK „Lodex", jak widać, jest więc dość skromna, jeśli idzie o środki i możliwości.

Jego działalność natomiast przedstawia się imponująco. Oto niektóre stale pracujące sekcje: Chór Męski i Chłopięcy „Włókniarskie Słowiki", „Kapela Familijna", Koło Folkloru Robotniczego Łodzi prowadzone społecznie przez dr Jana Dekowskiego, Zespół Małych Form Teatralnych, Wokalny Zespół Dziecięcy, Dziewczęcy Zespół Tańca Nowoczesnego, Klub Tańca Towarzyskiego, Sekcja Modelarska, Fotograficzna, Tenisa Stołowego. Cyklicznie są prowadzone np: Kursy Doskonalenia Zawodowego, Kursy Kroju i Szycia przy udziale Terenowego Koła Ligi Kobiet, Studium Wiedzy o Rodzinie, Studium Wiedzy o Zdrowiu, Studium Wychowania Estetycznego, Studium Wiedzy o Literaturze, Teatrze, dla przyzakładowych OHP Studium Wiedzy o Kulturze, nawet nauka zasad savoir-vivre'u, przy pomocy lektorów TWP; do tego dochodzą projekcje filmów oświatowych, dokumentalnych, krótkometrażowych, prelekcje i odczyty z różnych dziedzin, spotkania z przedstawicielami świata kultury, nauki, polityki, konkursy, turnieje i mnóstwo innych imprez, które tu nawet wyliczyć trudno. Każdy może tu znaleźć coś ciekawego dla siebie. Każdy też może tu przyjść, bowiem drzwi domu kultury są gościnnie otwarte dla wszystkich.

Nic dziwnego zatem, że „Lodex" ma ogromne powodzenie; jego pomieszczenia często „pękają w szwach" od natłoku chętnych, których nigdy nie brakuje. Znajdują tu oni odpoczynek po pracy, czy nauce, godziwą rozrywkę, czas wolny mogą spędzić przyjemnie i pożytecznie. Wszyscy bez wyjątku bywalcy MDK „Lodex" bardzo go sobie chwalą, bo też i jest za co.

Zasadnicze, nie tylko dla dziennikarza, pytanie brzmi: Co stanowi podstawę takich sukcesów?

Dyr. MDK „Lodex", mgr **Antoni Paszewski,** odpowiada skromnie i z wielkim zakłopotaniem: — Nie przeceniamy bynajmniej naszych osiągnięć, bo wiele jeszcze jest do zrobienia. Zamierzamy poszerzyć naszą działalność, kiedy uzyskamy większe środki, zwiększymy powierzchnię lokalową. A jeśli idzie o to, co już zrobiliśmy, to recepta jest prosta. Pracujemy dla ludzi, a nie dla sprawozdań — ta zasada przyświeca wszystkim naszym poczynaniom. Tak musi być zawsze, jeżeli mamy na uwadze właściwe pojmowanie realizacji hasła „Sojusz świata pracy z kulturą", tak aby nie pozostało ono li tylko sloganem. O powodzeniu decyduje zwykła, codzienna, uczciwa praca ludzi dla ludzi. I jeszcze jedno — nie kilka dużych imprez na pokaz, żeby ładniej wyglądały sprawozdania, lecz wiele akcji i działań o mniejszej skali, za to częstszych, stałych, systematycznych i tak pomyślanych, aby każdy mógł coś znaleźć dla siebie. Takie działania w sumie przynosić mogą wysokie efekty.

Nic dodać, nic ująć. Te słowa chyba dostatecznie wyjaśniają „tajemnicę" sukcesów MDK „Lodex".

ANDRZEJ W. MIKOŁAJEWSKI

„KOLIBER"

Istnieje w Łodzi dosyć szeroka sieć placówek kulturalno-wychowawczych: domy kultury, kluby i świetlice. Każda z nich stanowi bazę dla różnego rodzaju poczynań kulturalnych. Niemniej jednak słyszymy coraz częściej narzekania na brak nowych, budzących zainteresowanie odbiorcy inicjatyw, co za każdym razem łączy się z narzekaniami na brak wykwalifikowanej kadry instruktorskiej, bowiem obecnie powołana kadra instruktorów mechanicznie powiela od lat stosowane formy popularyzacji ludzi kultury i sztuki, i także od lat powielają się te same tematy w ramach różnego rodzaju studiów o charakterze oświatowym. W rezultacie nasze placówki kulturalno-wychowawcze cierpią na brak bywalców, w większości świecą po prostu pustkami. O wiele gorsza sytuacja jest w placówkach przyzakładowych. Mógłbym podać przykłady, gdzie zostały one po prostu polikwidowane i do ich wnętrz wprowadzono innowacje w postaci biurek z urzędnikami, ale wówczas musiałbym zająć się już tylko tą sprawą, a chcę dzisiaj pisać radośnie i podać przykład placówki przyzakładowej, w której notowany jest stały rozkwit działalności k-w. Słowem chcę opowiedzieć o klubie „Koliber" — placówce Fabryki Szlifierek „Ponar-Łódź — Zakład „Jotes" imienia J. Strzelczyka w Łodzi. A okazja do tego jest szczególna, bowiem klub ten obchodzi w tym roku 15-lecie istnienia.

Początki były oczywiście trudne, ale sytuacja klubu zmieniła się diametralnie, gdy osiem lat temu objął tu kierownictwo były działacz Zarządu Łódzkiego ZMS (obecnie SZMP) i dostrzegany już wtedy jako konferansjer Janusz Gust. Człowiek ten potrafił udowodnić kierownictwu Zakładów J. Strzelczyka, że to nie żaden przypadek sprawił, iż jest on działaczem kulturalnym, ale że jest to sprawa jego świadomego wyboru na drodze życia i rzeczywisty talent, poparty odpowiednim przygotowaniem praktycznym do tej roboty. Trudno wymieniać wszystko, co z jego inicjatywy stało się zasługującymi na uwagę faktami, ale niektóre z nich warto wymienić: oto organizowana wspólnie z Wydziałem Kultury Łódź-Śródmieście cykliczna impreza „Metalowcy swojemu miastu" — pomysł o randze ogólnopolskiej, bowiem podchwyciły go brażowe Związki Zawodowe, oto imprezy pn.: „Twórcy — Twórcom" odbywające się w halach produkcyjnych macierzystych Zakładów na styku zmian, a także szereg kolejnych imprez z cyklu „Echo Kolibra", „Nie ma zgody na śmierć poezji", „Koliber" dzieciom", czy wreszcie „Z uśmiechem pracuje się lepiej" — impreza organizowana wspólnie z tygodnikiem satyrycznym „Karuzela". „Koliber" pełni ponadto artystyczny patronat nad Domem Samotnych w Łodzi przy ulicy Tatrzańskiej 31/35, i to w nim miały miejsce pierwsze premiery „Sceny Śródmieście", która potem przeniesiona została do willi Biura Wystaw Artystycznych, przy czym jednak kto wie, czy nie wróci ponownie do „Kolibra". Był także ten klub jedną z pierwszych placówek, która drzwi swoje otwarła przed seniorami. Wystarczy zresztą zajrzeć do kronik „Kolibra", aby się móc przekonać, że stale dzieje się tu coś nowego, o czym świadczą najlepiej zamieszczone w kronikach wycinki prasowe, wśród których większość to niemal materiały publicystyczne, w których zawarta jest dobra ocena prowadzonej tu działalności.

Obecnie klub „Koliber" przygotowuje się do inauguracji nowego sezonu kultualnego. Fakt, że inauguracja ta nastąpi z pewnym opóźnieniem, tłumaczy się tym, że trwają w nim jeszcze prace remontowe. Ważne jest jednak to, że swoje piętnastolecie uświetnia odnowionym wystrojem wnętrz. A świadczy to bez wątpienia o tym, że kierownictwo Zakładów docenia rangę swojego klubu w mieście i stwarza jeszcze lepsze warunki jego bywalcom. A trzeba przyznać, iż jest to szczodre kierownictwo i w pełni rozumiejące rolę klubu w działalności wychowawczej, bo klub „Koliber" otwarty jest dla każdego, kto chce w nim zagościć, nie zaś tylko dla pracowników Zakładów. Podkreślam to celowo, bowiem w większości przypadków stosowane są snobistyczno-egoistyczne kryteria, w wyniku czego większość placówek przyzakładowych zamknięta jest dla tzw. środowiska. Tak więc, drodzy Czytelnicy, do zobaczenia w „Kolibrze". Jestem przekonany, że większość z nas jest bywalcami tego klubu, kto zaś nie wie jeszcze gdzie się on mieści, przypominam, że przy ulicy Świerczewskiego 5. Uprzedzam jednak, że może się nie spodobać zewnętrzna szata tego klubu, za to wewnątrz „Koliber" jest już prawdziwym kolibrem zarówno pod względem wizualnym jak i proponowaną w nim działalnością, bowiem na szczęście tutaj kieruje robotą fachowiec.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

ODA NA CZEŚĆ DZIEWCZYNKI BIEGNĄCEJ WŚRÓD RUIN

Wstyd z zalotnością płoszą się wzajem,
ruchy i kształty jeszcze nieśmiałe,
podskakując skroś ruin biegniesz szarych,
niepomna trudu stuleci,
co w grymas gruzów zamarł —

Trwożliwa jeszcze, łamliwa jeszcze,
czy wiesz,
jakie linie powabne w tobie
już dziś się czają,
że lirze będziesz podobna,
biodrami i talią
pożądanie śpiewając?

Powalone architrawy
i kolumn jońskich zwoje,
bizantyjska bazylika,
głębiej — grecka kolonia,
dalej — rzymska nekropola.
Jednia miejsca — wielość czasu.

Zaostrzają się rysy,
łagodnieje ironia,
równowaga umysłu,
to już wiek męski
z widmem mitu:
smutny trwa Orfeusz,
płocha pierzcha Eurydyka.

A ty?
Ty biegniesz...
Zmierzcha. Znikasz.

Prowadź mnie skoku, prowadź powietrze po niej,
po wieczność po niej,
niech zwiewną próżnią
po ciele niepewnie powabnym
ciała swego sycę płomień,
o, biegnij przede mną i we mnie
ambrozjo, mimozo, żywico...

Niech wdzięczą się w tanecznym przegięciu
srebrne oliwki wśród Południa ziół,
niech strzelają wzwyż świerki Północy
pośród jesiennych złototrysków brzóz.

Zaprawdę radość śpiewać chcę,
choć umysłu natura wbrew
i wyprowadzać piszczałką
słoneczne, skoczne gaje,
chyże, ze złocistym dnem strumienie,
gdzie tchnieniu odpowiada odetchnienie
ja chwycić lotny pragnę wdzięk,
muślinu powiew, taneczny krok,
bo co rzeczą nie jest, nas urzeka.
Przemija wszystko — już starożytni —
ten ruch, ruch tylko zostaje — — —
Tyle z piękna, ile ucieka.
Nie pierzcham. Odchodzę.
Już noc.

Księżyca światło — zda się —
majestatycznie unosi białe chusty ruin,
zda się — z martwych zmarli wstają
i marmurzeją, mroczne mamrocząc strofy.
XI. 1973

WIARA

Płacz twego dziecka, który zerwał cię tej nocy,
płacz, który rozerwał ciemność
i mrocznym poraził cię lękiem,
i przeczulił cię czułością,
ten płacz nadaje ci znaczenie,

bowiem to,

że nocą czuwasz
przy drugim człowieku,

że schodząc powoli w przeszłość
pochylasz się nad przyszłością,

że wiesz, iż tak — nie inaczej —
się dzieje i nie wiesz czemu,

znaczy — jesteś dobrym.

Nie zapominaj o tym.

OPOWIADANIA JANA HUSZCZY

POWIEŚCI W CZARNYCH RAMKACH

Dość często przeglądam nekrologi w gazetach. I dość często zdarza się, że złożony z kilku informacyjnych zdań nekrolog można nazwać swoistym konspektem bogatej, rozbudowanej, wielowątkowej powieści. Nie muszę dodawać, że nekrologi te dotyczą ludzi zmarłych w podeszłym wieku, urodzonych na początku stulecia, a czasem nawet jeszcze pod koniec minionego.

Ciekawsze nekrologi, inkrustowane licznymi faktami z życiorysu zmarłego, wycinam i z szacunkiem składam do teczki z napisem: „Życiorysy polskie". Często wydaje się, że to dopiero kończące się w ostatnich latach życiorysy ludzi polskich z XIX stulecia.

Oto, dla przykładu, dane z pewnego nekrologu, oczywiście, pomijam nazwisko zmarłego, szczegóły, które komuś może umożliwiałyby identyfikację, bo przecież do tego chyba nie mam prawa.

„Ur. na ziemi lubelskiej, zmarł w Warszawie. Syn powstańca 1863 roku, sybirak. Uczestnik walk o szkołę polską w 1905 roku, Ronthalerczyk, inż. Politechniki Zurychskiej weteran I-ej wojny w służbie francusko-angielskiej, major inż. saperów 7 pułku, fortyfikator przedmieścia Warszawy w 1939 roku, żołnierz AK, więzień Szucha, Pawiaka, heraldyk, filatelista, radca, odznaczony wieloma odznaczeniami polskimi i zagranicznymi..."

Albo: „Wierny syn ziemi babimojskiej, powstaniec wielkopolski, dowódca batalionu unitarnego w..., zastępca dowódcy pułku strzelców... ostatni dowódca pułku piechoty w kampanii wrześniowej i w bitwie nad Bzurą, wieloletni jeniec i więzień oflagów niemieckich, kawaler orderów... opatrzony Sakramentami Świętymi... zmarł w Londynie... na życzenie Zmarłego prochy jego spoczną w ziemi rodzinnej..."

Dwa te przykłady pewnie wystarczą. Materiały powieściowe, które nimi, przynajmniej jak dotąd, nie stają się z różnych względów. Ich literackie ujęcie wymaga epickiego rozmachu i czasu, łączy się z wielkim ryzykiem, z różnymi ograniczeniami. Niektórzy nie widzą dla takich materiałów miejsca i ze względu na rozwój literatury, jej tendencje rozwojowe i prawa, pewną zawadę stanowią także zmokierzy. Z coraz mniejszego zasobu zdarzeń i zderzeń fabularnych, z coraz skromniejszych, słabiej zawęzłonych sytuacji robi się duże nawet prozy. Ale czy to znaczy, że ważniejsze, istotniejsze, bardziej potrzebne? Różnie z tym bywa. W lepszych wypadkach afabularność czy fragmentaryczność pozwalają na szczegółowszą analizę jakiegoś stanu człowieka, jakiegoś jego przeżycia, choć to umieszczają nawet poza kategoriami czasu historycznego; pozwalają na rekonstrukcję lub destrukcję stanów świadomości — żadnej w tym ambicji stworzenia jakiejś choćby złudnej jedności, tak pożądanej przez czytelników.

Wolno laikowi mniemać, że odkrycie chromu (1797), a mówię przykładowo, było łatwiejsze, w jakimś przynajmniej sensie, niż mendelewa (1955), otrzymanego drogą sztucznych przemian jądrowach. To „otrzymanego drogą" należy podkreślić.

Powtarzam: może to są nawet złe przykłady, ale chcę wyjaśnić: pewne odkrycia w swoim czasie jak gdyby czekały na odpowiednich ludzi, było tak wiele do odkrycia, iż można było tego dokonywać bez skomplikowanej aparatury, bez zespołów naukowych, choć liczy się właśnie pionierstwo, nic nie odbiera wielkości poprzednikom.

Zarówno w nauce jak i w prozie artystycznej coraz częściej mamy do czynienia z wąską specjalizacją, w każdym bądź razie koncentracja w wycinkowości jest cechą prozy szczególnie dobrze widzianej, choć mniej czytanej.

Proza, podobnie jak i nauka, choć nie mogą tu zachodzić podobieństwa dosłowne, posługuje się coraz bardziej skomplikowanymi technikami, krzyżuje je, co zmniejsza objętość, liczbę arkuszy. Ale też nie zawsze. Wystarczy wspomnieć Williama Faulknera, który zostawił puściznę jakże bogatą również ilościowo, choć był w dodatku tragicznym pijakiem. („Płaci się!")

Kraszewski (proszę mi wybaczyć, ale nadal jest dla mnie w wielu okolicznościach żywym pisarzem, przekroczył przecież swój czas) był fenomenem wydajności. Będąc pewnej zimy w Krynicy przeczytałem interesującą książkę, nadającą się do czytania właśnie tam, o życiu i gościach w uzdrowiskach polskich — „Spotkamy się u wód" Stanisława Pagaczewskiego.

Znalazłem w niej urywek z listu właśnie Pana Józefa Ignacego z Krynicy, z 15 lipca 1866 roku.

„Mimo że zupełnie nic nie robię, napisałem pięcioaktowy dramat, który przepisuję..." Uwaga, uwaga! Autor ma na myśli czas pobytu od piątego do dziesiątego lipca! Dramat zresztą był wystawiony, mniejsza o to, z jakim powodzeniem.

Któż współcześnie napisze i przepisze, jednocześnie przystosowując się do pobytu w miejscowości, pięcioaktowy dramat w ciągu pięciu dni? A przecież, jeśli pominąć cechy czasu, częstokroć np. w TV oglądamy sztuki nie lepsze niż „Równy wojewodzie" — gorsze!

Każdy powie, że wtedy pisało się łatwiej. Bardzo możliwe, ale w wielu przypadkach zmienność stylistyki, mówieniem bohatera w osobie pierwszej, drugiej i trzeciej zatajamy jakieś ubóstwo. Jeszcze inaczej zataja się je przenosząc wiedzę z lektur o psychice ludzkiej, z rozpraw antropologicznych do swojej narracji. Często czemuś to służy, na pewno służy, nieraz jednak ukrywa bezradność, nieautentyczność.

Biorę pierwszą z brzega książkę Balzaka — „Historię trzynastu". Przepisuję z różnych stronic zdania, których specjalnie nie szukałem, gdyż znaleźć podobne można na każdej z nich...

„August de Maulincour tkwił tedy w arystokratycznym Saint-Germain przez babkę i przez widama, a rodowód dwóch wieków wystarczał mu, aby przybierać tony i opinie ludzi, którzy mieli pretensje wywodzić się od Klodwiga".

„August de Maulincour miał nieszczęście skrzyżować się w swej drodze z tą miłością; zakochał się w pani Julianowej do szaleństwa".

„Pani Julianowa, która wychyliła głowę z drugiego pokoju, zbladła i osunęła się na krzesło".

„Ale ten Ferragus, ten galernik, do którego chodzisz, ten człowiek wzbogacony przez zbrodnie, jeśli nie jest twoim... jeżeli nie należysz do niego..."

Wystarczy tych — policzmy — czterech wydziobanych z dużego tekstu zdań. Przecież dla szanującego się współczesnego pisarza każde z nich to esencja, rdzeń, szpik, istota zawartości powieści, opowiadania, opowieści lub przynajmniej długiego, kilkustronicowego urywka.

Pewien mój znajomek odpowiedziałby na te deliberacje machnięciem ręki: „Zmaleli, skarłowacieli ludzie!" I, jak zawsze w rozmowach z nim na różne tematy, musiałbym stanowczo zaprotestować, choć obniżenie temperatury uczuć (dodatnich!) jest czymś niewątpliwym, pamiętajmy zresztą i o zużyciu pewnych słów.

Smętnie patrzę na tę swoją szczupłą teczkę z napisem „Życiorysy polskie" i wzdycham. Stary pan Ignacy Rzecki wzdychał wyjątkowo ambitnie: „Gdybym to ja był Panem Bogiem..."

Ja wzdycham skromniej: „Gdybym to ja był jakimś współczesnym Kraszewskim!" A czasem wzdycham jeszcze skromniej: „Gdyby to któryś z moich bardziej utalentowanych kolegów był..."

Na Rzeckiego natychmiast przychodziło opamiętanie, po westchnieniu dodawał: „Ale co to gadać na próżno..."

Tedy ja: cóż, inaczej pewnie być nie może, aczkolwiek, kto to wie... Bądźmy optymistami, życiorysy w rodzaju na wstępie przytoczonych, będą w jakiś sposób powracać, owocować, oddziaływać.

Szczerze mówiąc, niełatwo jest być optymistą, łatwo natomiast o potwierdzające tę sytuację przykłady: Oto w pewnych odstępach czasu w poniedziałkowym teatrze TV (kiedyś była to jakaś znacząca formuła, od dłuższego jednak czasu przedstawia się i klasykę i współczesność, dając czasem teatr, czasem filmo-teatr, a czasem jakąś tele-drakę) obejrzałem trzy, powiedzmy umownie, przedstawienia teatralne: „Fausta" Grzegorza Królikiewicza (14.VI.1976), „Iwonę księżniczkę Burgunda" (23.VIII.) i „Lilię Wenedę" (29.VIII) Słowackiego w realizacji Krystyny Skuszanki.

Iwona jak Iwona (Witold Gombrowicz 1938), ale Faust rzekomo wedle Goethego przypominał ów tytuł przekładu na polski: Jan Wilkołaz Goethe: Pięść, jedna tragedia. Pani Skuszanka natomiast poetycką interpretację polskich spraw, bajeczne w sensie nagromadzonych wydarzeń dzieje znad Gopła rozegrała w kostiumach z XIX wieku, odbierając dramatowi formę, choć nie udało się jej zniszczyć słowa Słowackiego, aktorzy je ocalili, pani Skuszanka wybrała się z motyką na słońce, aczkolwiek jakiś zewnętrzny pozór parodii uzyskała.

W czasach żywszego zainteresowania kulturą narodową posypałyby się gwałtowne protesty, bo przedstawienie pochodzi z... teatru im. Słowackiego w Krakowie. Pani Skuszance może by nawet zabroniono pracy w tym teatrze. I słusznie. A teraz najwyżej powiedzą lub napiszą: „Ooowszem, kontrowersyjne to, a-a-a- le..." I pójdą na mecz piłki nożnej.

Czym to wszystko — bo TV jest tu tylko jednym z przykładów — tłumaczyć? Snobizmem? Nuworyszostwem, które daje o sobie znać w różnych postaciach? Kryzysem pojęć? Poczuciem upośledzenia?

Najlepiej wyszła na tym Iwona! Czekamy teraz na reżysera, który z kolei wystawi — po skróceniu, bo to odległe od znakomitej „Operetki" — Iwonę w wyimaginowanej przez Słowackiego scenerii.

I w ogóle czas na nowy etap w nowatorstwie, tym razem związany ze słówkiem retro: najlepsze sztuki współczesne umieszczać w jakiejś odległej przeszłości!

Rozglądam się: gdzie jest pierwszy nowator, żeby za nim ławicą pociągnęli inni?

POMYSŁ

Nieraz ktoś zwracał się do mnie z miną dobroczyńcy: „Mam dla pana świetny pomysł!"

Kiedyś zdarzali się zaś jeszcze lepsi, bardziej w ich własnym mniemaniu wspaniałomyślni: „Mam doskonały pomysł na powieść. Jeśli pan chce, przyjmę pana do spółki. Ja panu wszystko opowiem, pan to zapisze, a honorarium, nie jestem drobiazgowy, podzielimy po połowie!"

Nigdy z niczyjej w tej dziedzinie usłużności nie skorzystałem. Zresztą, od jakichś kilku przynajmniej lat nie przytrafiają się podobne propozycje. Może ludzie zaczęli rozumieć, że piszący musi mieć swój pomysł, niekoniecznie w dosłownym znaczeniu, choć kiedyś występował nawet w prozie właśnie chwyt, polegający na tym, iż autorowi ktoś coś opowiadał.

Bardzo jest też możliwe, że z rozwojem oświaty wyższej coraz więcej ludzi zaczyna pisać, przeto nie chcą dzielić się z nikim pomysłami.

Ale oto nie tak dawno pewien mój znajomy opowiedział mi o swoim krewniaku-alkoholiku.

Alkoholizm jest chorobą o bardzo różnym przebiegu, niszczy ludzi na różne sposoby. Występuje przede wszystkim jako dypsomania czyli opilstwo okresowe i jako codzienna potrzeba jakiejś ilości alkoholu.

Widziałem kiedyś dwudziestolatka, który po paru zaledwie latach częstej styczności z alkoholem nie mógł postawić stopy w miejscu, wskazanym przez lekarza.

Znajomy znowu odwiózł go do odwykówki, by przerwać ciąg. Ale te nasze szpitale-odwykówki! Nie ma w nich miejsc, zapełniają je przeważnie skazani sądownie, a i ci muszą czekać na swoją kolejkę. Otóż ów krewniak — człowiek przecież wrażliwy i kulturalny — czuje się tam, wśród owych psychopatów z wyrokami, kimś najbardziej pokrzywdzonym.

Zdarzają się też alkoholicy, którzy żyją dość długo czasem z większym dla siebie i społeczeństwa pożytkiem niż wyznawcy wielostopniowej wstrzemięźliwości.

Wystarczy sięgnąć po przykład szczególnie jaskrawy, powszechnie znany: Churchill i Hitler.

Jedynie na marginesie można przypomnieć, że Churchill był nieźle sytuowany i niczego nie musiał wynosić z domu.

Niestety, krewniak mojego znajomego kiepścieje z roku na rok. Mówiąc inaczej: jego osobowość ulega degradacji i, być może, dezintegracji.

— Proszę pana — mówi znajomek — właściwie mój krewniak nie dlatego jest nieszczęśliwy, że pije... Śmierć mu się nie udała, proszę pana!

Nie bardzo to zrozumiałem. Ale wyszło na jaw, że przed paroma laty ów nieszczęśnik postanowił otruć się gazem. Chciał w miarę godnie zakończyć życie. Trzeba trafu, że sąsiadka z tego samego piętra z jakiegoś powodu wstała o trzy godziny wcześniej, niż zazwyczaj. Poczuła śmiertelny zapach na schodach, sprowadziła pogotowie. — A teraz — to są znowu słowa mojego znajomego — nie stać już go na tego rodzaju decyzję.

Innym razem ten krewniak tonął. Krzyczał „ratunku", ale brzegi śródleśnego jeziora były puste. Wydawało się, że na wołanie odpowie tylko echo. Jednak usłyszeli to wołanie przypadkowi, wakacyjni wędrowcy. Dalej nie ma co opowiadać.

Za trzecim razem przejechał go samochód. Ciężarowy. Na przejściu dla pieszych, ale nie o to tutaj chodzi. Krewniak, choć przypadek był szczególnie ciężki, po paru dniach odzyskał przytomność.

Pierwsze jego przytomne słowa brzmiały: „Boże, i znowu żyję?"

— Właśnie, proszę pana, czemu on żyje?

Zadumaliśmy się obaj.

To jest coś więcej niż pomysł, chociaż tkwi w tym stara prawda: czasem lepiej umrzeć wcześniej czyli sprawa śmierci w porę. Albo: ileż w tym złośliwości losu?

To jest coś zasługującego na dłuższe, bardziej przemyślane opowiadanie. Ale czy ja kiedykolwiek do tego tematu wrócę? Czasu przecież mam coraz mniej.

Fot: W. Parys

ANNA KIESEWETTER

MEGO CZARNEGO PRZYJACIELA...

**„... jeśli zobaczysz gdzieś
mego czarnego przyjaciela,
to powiedz mu, że mogłem tylko
ukradkiem ścisnąć jego dłoń
na pożegnanie..."**

Dzwonek do drzwi, książka opada na poduszkę. Chwila ciszy i dzwonek powtarza się z gwałtowną natarczywością.

Kilka kroków przez pokój, korytarz, drzwi odmykają się ze szczękiem odsuwanego łańcucha. Za drzwiami stoi mężczyzna oparty o framugę, zgięty w pół, przechylony całym ciężarem ciała w moim kierunku. Na klatce schodowej jest ciemno.

Sięgam palcami po ścianie. Zapala się światło i z mroku wyłania się sylwetka wysoka, przygarbiona. Eleganckie, ciemne ubranie, biała koszula, szaro-błękitny krawat. I czarna twarz o wyraźnie murzyńskich rysach. Milczę. Podnosi na mnie oczy zwilgotniałe z bólu.

— Proszę wezwać pogotowie.

— Słucham pana?

— Proszę wezwać pogotowie! Proszę...

Wahanie trwa krótko. Pomagam mu wejść do mieszkania, zatrzaskuję drzwi. Mężczyzna osuwa się na pobliski fotel.

Sięgam w kierunku telefonu. Tarcza obraca się z cichym chrzęstem. Sygnał. I głos:

— Tak?

— Rysiu, przyjdź do mnie natychmiast.

— Czy stało się coś?

— Tak. Coś poważnego.

Mężczyzna podnosi wzrok i mierzy mnie głębokim, przenikliwym spojrzeniem.

— Pani nie zadzwoniła na pogotowie.

— Nie.

— Rozumiem.

Podnosi się. Nie, dźwiga się z trudem, aż końce palców bieleją mu z wysiłku.

— Niech pan usiądzie. To nie potrwa długo.

— Co?

— On zaraz przyjdzie.

— Kto: on? Ja potrzebuję lekarza.

— On jest lekarzem.

Dzwonek do drzwi. Do pokoju wbiega Ryszard. Staje jak skamieniały.

— Myślałem, że coś ci się stało. Kto to?

Przelotnie muskam mu policzek.

— Zajmij się panem.

Widzę, jak na twarzy Ryszarda drgają mięśnie — oznaka najwyższego zdenerwowania.

— Myślałem...

— Przestań myśleć. Musisz mu pomóc.

— Znasz go?

— O co ci chodzi?

— Pytam, czy znasz go!

— Dajmy na to, że znam.

— Przypuśćmy...

— Skończmy tę dyskusję, dobrze? Ten człowiek...

Ryszard odwraca się. Gestem nakazuje mi milczenie. Podchodzi do nieznajomego. Widzę, jak przygląda mu się badawczo. Jest ciężkim, nieco otyłym blondynem, powolnym i sennym z pozoru. Ale to najlepszy chirurg, jakiego znam.

Głos Ryszarda dobiega jakby z oddali.

— Proszę się położyć tam, na tapczanie. — i do mnie — Czy on rozmawia w jakimś ludzkim języku?

— W tym samym, co ja i ty. Zostawiam was, to może być krępujące.

Wychodzę. Korytarz jest ciasny i niewygodny. Czekanie przedłuża się, otwieram więc drzwi do łazienki i siadam na sedesie.

— Już? — krzyczę w kierunku pokoju.

— Nie! — odpowiada mi Ryszard. Z intonacji jego głosu wnioskuję, że sprawa jest poważna.

Teraz dopiero dociera do mnie, że wpuściłam do pokoju obcego człowieka, który mógł mnie udusić albo okraść... No właśnie! Ryszard znów mi nawymyśla... Ale trudno. Tym razem nie zrobiłam chyba nic złego.

Ryszard woła mnie do pokoju.

— Słuchaj, zadzwoniłem już po karetkę. Skoczę jeszcze do siebie zabrać parę rzeczy. Posiedź przy nim. Niech pod żadnym pozorem nie rusza się z tapczanu. I niech...

— Co mu jest? — pytam w biegu.

— Wyrostek. Zaraz na stół, nie można czekać...

Mężczyzna leży na boku i patrzy na mnie. Jego krótko ścięte włosy zlepia pot. Patrzy natarczywie.

— Dziękuję pani.

— To jeszcze nie wszystko. Znamy się, rozumie pan? Jak pan ma na imię?

— Jonatan.

— A więc znamy się od dawna... Jonatanie. Teraz szybko, co robisz i gdzie mieszkasz?

— Jestem malarzem. Mieszkam tuż obok, wynajmuję mieszkanie. Od przedwczoraj.

— Skąd znasz polski?

— Moja macocha... — przerywa. Zamyka oczy. Oddycha ciężko i znów patrzy na mnie. Uśmiecha się.

— A ty?

— Co ja?

— Jak masz na imię?

— Agata.

— Agata... ładnie...

— W porządku. O, jesteś, Ryszardzie!

— Proszę tutaj z noszami, prędko...

**„... jeśli zobaczysz kiedyś, tam,
mego czrnego przyjaciela,
podziękuj mu, że kiedym marł,
wyciągnął swoją czarną dłoń
i złamał bochen chleba w pół..."**

Schody szpitalne są niewiarygodnie wysokie. Zastanawiałam się nieraz, dlaczego w szpitalach budują takie strome schody...

Sala numer 265. Odmykam drzwi. Dwóch staruszków. Jakiś szczeniak po uszy w gipsie. Pod oknem on.

— Dzień dobry, Jonatanie. Jak się czujesz?

Uśmiecha się do mnie. Białe zęby błyszczą jak pociągnięte emulsją.

Dwóch staruszków pod ścianą szepcze nieustannie:

— Tacy jak on mają robaki. Tropikalne robaki...

Odwracam się gwałtownie. Jonatan wstrzymuje mnie ruchem ręki.

— Daj spokój. Jestem do tego przyzwyczajony.

Patrzymy na siebie w milczeniu. Nie wiem, od czego zacząć rozmowę. Nagle podrywam się.

— Ach prawda, zapomniałam. Przyniosłam ci twoje przybory do golenia, jak prosiłeś. I szczoteczkę do zębów. I książkę do czytania. Jeśli potrzeba ci coś jeszcze, powiedz...

— Jesteś bardzo miła. Tak mi przykro, że postawiłem cię w niewygodnej sytuacji.

— Co mnie postawiłeś? W czym?

Wybuchamy śmiechem. Jonatan odruchowo kładzie rękę na kołdrze.

— Szwy — wyjaśnia.

Milczymy. Rozmowa nie klei się jakoś. Jonatan poprawia się na łóżku.

— Na dworze ładnie?

— Tak sobie. Błoto...

Na ścianach tańczą cienie pobliskich drzew.

— Jonatanie...

— Co?

— Opowiedz mi coś o sobie...

— Urodziłem się na małej wyspie na Morzu Karaibskim. Mam trzydzieści cztery lata, jestem kawalerem...

— Mówiłeś, że jesteś malarzem...

— Skończyłem Akademię w Paryżu.

— W Paryżu?...

— Ale jeszcze wcześniej studiowałem w Stanach.

— Jak to się stało, że znalazłeś się tutaj?

— Widzisz, mnie interesują ludzie. Nie maluję krajobrazów, martwych natur, ani plakacików w kółka i prostokąty. Nic z tego. Jedynie człowiek w każdej swej postaci. I ten piękny i ten szkaradny. W brzydocie też istnieje jakieś piękno. Pękno nieregularności. Faktury. Czasem myśli. Tak, przede wszystkim myśli... Tak...

— W porządku. A teraz żarty na bok.

— Ja nie żartuję.

— Nie wmówisz we mnie, że po to musiałeś zabrnąć aż tu? Na koniec świata i to od jego najmniej ciekawej strony?

— Wszystkie końce świata są tak samo ciekawe.

— No, nie przesadzaj. Myślałam na początku, że jesteś jednym z tych kolorowych studentów, którzy tutaj... Nie jesteś. Więc dlaczego, ale serio?

— No więc dobrze. Przyjechałem tu ze względu na macochę.

Kiedy miałem gdzieś około trzech lat, moja matka umarła. Ojciec ożenił się po raz drugi z białą dziewczyną z Polski. I ta dziewczyna wychowywała mnie. Chyba dobrze...

— A kim jest twój ojciec?

— Lekarzem. Specjalistą od chorób tropikalnych.

Na korytarzu słychać skrzypienie wózka szpitalnego, jakieś głosy, kroki. Jonatan przygląda mi się spod zmrużonych powiek. Krępuje mnie to spojrzenie. Odwracam głowę.

— Masz ładny profil — mówi. — Pełne ruchu oczy. Cała twoja twarz jest w nieustannym ruchu. Bardzo dużo rozmyślasz, prawda?

— Może...

— Moja macocha umarła kilka miesięcy temu. Przyjechałem tu, aby odnaleźć jej krewnych. Nie znalazłem nikogo. Powiedziano mi, że poszukiwania mogą jakiś czas potrwać. Dlatego wynająłem mieszkanie.

— Powiedz mi, czy bardzo kochałeś swoją macochę?

Jego powieki zamykają się powoli. Ma teraz jakby dziecięcy owal twarzy. Jego wargi poruszają się z lekka.

— Jak matkę — szepcze. Ale natychmiast uśmiecha się do mnie.

— A ty co robisz?

— Pracuję w muzeum. Już czwarty rok.

— Jako?...

— Historyk sztuki.

— Dobre muzeum?

— Sztuki nowoczesnej. Ciekawe zbiory. Musisz kiedyś zobaczyć.

— Chętnie.

Do pokoju wchodzi pielęgniarka. Patrzy na mnie długo i bez słowa. Podnoszę się i kiwam Jonatanowi z daleka ręką.

Korytarz. Mijają mnie ludzkie postacie w szlafrokach. Ktoś jedzie na wózku, ktoś inny opiera się z trudem na lasce. Wejście na schody. Dwie pielęgniarki rozmawiają półgłosem w dyżurce.

— To ta od Murzyna — mówi jedna wskazując na mnie. Wychodzę. Drzwi zamykają się za mną z głośnym trzaskiem

**„... Jeśli zobaczysz kiedyś, gdzieś,
mego czarnego przyjaciela,
to powiedz mu, że wszak Bóg dał
każdemu z nas osobną twarz,
tu czarną, a tu białą..."**

Niewielki skwerek przed szpitalem. Siedzimy z Jonatanem na podłużnej ławce tuż przy kiosku Ruchu. Czekamy na Ryszarda, który w sekretariacie załatwia jeszcze jakieś formalności. Jonatan spogląda na mnie z ukosa. — Zupełnie nie wiem, Agato, co bym zrobił bez twojej pomocy.

— Nie mów tak, zawsze znajdujemy kogoś, kto nam pomaga.

— Frazes. Zanim zadzwoniłem do ciebie...

— Nie wierzę! Dlaczego? Dlatego, że jesteś czar... chciałam powiedzieć: ciemny?

— Obcy. To chyba właściwe słowo. Ale mniejsza o to.

Kilku ludzi przystanęło koło kiosku i przygląda nam się natarczywie. Wzrok mają tępy, bezmyślny, jak zwykle gapie. Denerwują najwyraźniej Jonatana, który stara się nie zwracać na nich uwagi.

— Popatrz, Maniek, jaki elegant...

— Prosto z buszu, a krawat...

— Nie mów tak głośno.

— E., On i tak nie rozumie.

Jonatan poprawia się na ławce.

— Długo trwa...

— Tak, długo — odpowiadam mu niepewnie. Gapie spod kiosku zbliżają się nieco do nas.

— Popatrz, Maniuś, jaki pan...

— Mówili, że gdzie mieszkają, żadna baba spokojnie nie przejdzie. Takie nahalne.

— Coś ty... Baby same się pchają, bo oni (gest) tacy.

— Tacy, nie tacy, niedoprani.

Śmiech.

Jonatan podnosi się z ławki.

— Chodź, Agato, zobaczymy, co się dzieje z Ryszardem.

Gapie idą za nami. Od jednego z nich wionie alkoholem.

Czuję jego oddech tuż przy twarzy.

— Malutka, może się umówimy?

— Zostaw ją, Maniuś, ona tylko za dolary.

— Luksusowa. Za tobą nie poleci.

— Jak zapłacę, poleci.

Ciężka ręka spada na moje ramię. Jonatan odwraca się gwałtownie.

— Milczeć! I precz z łapami, ale już!

— Ty czarnuchu zasrany!

Czuję pchnięcie, które zwala mnie z nóg. Słyszę krzyk Ryszarda, zamieszanie, wiele głosów. Ktoś podnosi mnie łagodnie, sadza na ławce. Ktoś obejmuje mnie w pół i przytula do siebie. Krzyki cichną. Tuż obok słyszę głos Jonatana:

— Cała twarz we krwi... Ryszard! I głos Ryszarda:

— Nic jej nie jest. To zaraz minie.

Ktoś owija bandażem moją głowę, czuję ukłucie zastrzyku, mój oddech uspokaja się powoli, ogarnia mnie senność...

**„... jeśli zobaczysz kiedyś tam
mego czarnego przyjaciela,
powiedz mu, że od Boga wziął
duszę tak białą, jak ma twarz,
choć moja dusza nie najbielsza..."**

Odkładam książkę. Leżę u siebie w pokoju, na tapczanie. Od okna przedziera się słońce i jasnymi plamami barwi ściany. Tuż przede mną, na stole, stoi wazon, a w nim ogromny bukiet czerwonych goździków...

TELEWIZJA

Dobranocka dla dzieci i kolejarzy

Jak się zdaje, Telewizja jest na etapie dość poważnych zmian programowych. Gruntownym przemianom uległ Dziennik — razem z nim dziecięca „Dobranocka". Obecnie dla dzieci i młodzieży przeznaczono całe pół godziny, dzieląc czas sprawiedliwie po piętnaście minut dla małych i nieco większych.

Posunięcie to jest z pewnością słuszne, w nowym kształcie „Dobranocki" znajdzie się dla młodych widzów więcej czasu, który można zagospodarować w atrakcyjny i pożyteczny sposób. Niestety, nad blokiem dla młodzieży, noszącym nazwę „Siódemka" (siedem dni tygodnia) wciąż jeszcze unosi się minoderia i tani dydaktyzm Studia Telewizji Młodych. Wciąż tu mamy śmieszne i antypedagogiczne bajania na temat „pomóżmy rodzicom raz w tygodniu", bajania, które sama młodzież śmieszą a dorosłych irytują. Obie zainteresowane strony wiedzą przecież dobrze, że prawidłowość stosunków między rodzicami, a dziećmi nie polega na tym, że wyznaczy się „dzień dobroci", czy też — jak to kiedyś proponowało STM — podpisze się z rodzicami... umowę na zmywanie naczyń czy wyrzucanie śmieci.

Myślę, że wieczorny program nie jest właściwym miejscem dla sztywnych, dydaktycznych odczytów. Młodzież nie jest ani głupia ani niewrażliwa. Można jej w tym bloku oferować wiele — z wyjątkiem jednego: drętwej mowy.

Nie zawsze też trzeba na siłę „robić program", gdy w filmotece mamy setki bardzo ciekawych filmów krótkometrażowych, produkcji zarówno WFO jak i „Se-Ma-Fora". Oglądałem niedawno piękny, wzruszający, a jednocześnie bardzo dowcipny film **Wadima Berestowskiego** pt. „Wojtek". Była to impresja na temat dziecięcych marzeń, ambicji, oczekiwań... Bardzo piękna, poetycka miniatura, która przeleciała przez ekrany kin w charakterze dodatku, a przecież idealnie nadawała się właśnie do wieczornej telewizyjnej „Siódemki". Takich filmów jest na pewno więcej, nie sądzę, aby sam „Poltel" był w stanie zapełnić 360 dni w roku.

W sumie jednak zmiany wyszły „Dobranocce" na plus. To cieszy, bo poprawa każdego, choćby najmniejszego bloku telewizyjnego jest rzeczą niesłychanie ważną. Wiemy przecież, ile milionów ludzi zasiada codziennie przed szklanym ekranem.

Miejmy więc nadzieję, że zmiany pójdą dalej i szerzej. Jak dotąd nie było siły, która wstrzymałaby opadanie na kolejne dno programu „Z najlepszymi życzeniami". To co obejrzeliśmy w koncercie dla kolejarzy, było widowiskiem tak żałosnym, że następny program może być już... tylko lepszy. W myśl starego powiedzenia: „Jeśli jest źle — może być jeszcze gorzej. Jeśli jest gorzej — może być najgorzej. Jeśli jest najgorzej — to może już tylko być lepiej". Pal sześć Jerzego Michotka, jego pretensjonalne pomysły, tandetną realizację oraz rozbrajającą sztuczność dialogów, które każe się prowadzić bohaterom programu. Ale o tych właśnie bohaterów nie chodzi! Ci ludzie zawierzają fachowcom od telewizji i w efekcie zostają ośmieszeni, bo Jerzy Michotek wymyślił rzecz karkołomną i nie do obrony. Z okazji Święta Kolejarzy rozpisał ankietę wśród pasażerów. Wiadomo czym się to mogło skończyć: gremialnym narzekaniem na kolej, bo taka jest smutna prawda, że dziś odrabiamy stare zaległości w tej dziedzinie. Więc Jerzy Michotek każe swym bohaterom wygłaszać teksty przeciwko pasażerom, w rodzaju: „Panie pasażer, pan żeś urwał klamkę", lub „Panie pasażer, my ciężko pracujemy"... W efekcie wyszło na to, że zmorą PKP są pasażerowie i instytucje, które z usług kolei korzystają. Jest taki zwyczaj wśród ludzi kulturalnych, że przy święcie nie mówi się o grzechach solenizanta. Mógł więc Michotek zrobić miły, sympatyczny i banalny koncert. Ale on poszedł na konfrontację i zrobiła się rzecz niesmaczna i żałosna. Założenie, że Kolej odpowie na zarzuty pasażerów, okazało się nie do zrealizowania. Kolejarze wpadli w irytację, jak każdy, kogo się czepiają. Ideał sięgnął nie tyle bruku, co dna.

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że tego typu programy są potrzebne. Ale przecież nie takie! Widownia telewizyjna lat siedemdziesiątych jest zbyt ćwana, by jej wmawiać szampańską zabawę tam, gdzie sztuczność, drętwota i recytowane dialogi. Opowiadał ktoś, jak w wigilijny wieczór na bazarze handlarz usiłował sprzedać ostatnie karpie, które były już raczej śnięte i przewracały się brzuchami do góry. Handlarz więc bełtał wodę w wanience, żeby się ryby ruszały i wołał: „Aleście się rozigrały!".

Przypomniała mi się ta historia, kiedy oglądałem szampański program „Z najlepszymi życzeniami". Aleście się rozigrali, Michotek!

TELEMAN

KSIĄŻKA

COITO, ERGO SUM

Włodzimierz Sokorski zadebiutował równo czterdzieści lat temu powieścią „Rozdarty bruk", ogłoszoną pod pseudonimem Andrzeja Sokory. Po wojnie publikował głównie szkice publicystyczne i literackie, ale wydał też zbiór opowiadań oraz utwór sceniczny. W roku ubiegłym ukazał się interesujący, nie pozbawiony pikanterii, tom wspomnień pod skromnym tytułem „Notatki".

Kolejny jego utwór beletrystyczny powiększył niedawno PIW-owską serię polskiej prozy współczesnej, gdzie poprzedniczkami jego były między innymi głośne książki Andrzeja Kuśniewicza „Trzecie królestwo" i Eugeniusza Kabatca „Patrycja czyli o miłości i sztuce w środku nocy". Wymieniam te akurat, jako że w sposób dość drastyczny i szokujący przedstawiają sprawy seksu we współczesnym świecie. Seks nie stanowił w nich jednak celu samego w sobie, podczas gdy na pierwszy rzut oka można odnieść wrażenie, że w książce Sokorskiego o nic więcej poza tą bądź co bądź ważną sferą ludzkiego życia nie chodzi. Nawet gdyby tak było, nie mielibyśmy o to pretensji — seks należał przecież do rzeczy zasadniczych zarówno w epoce Piasta Kołodzieja, jak i należy do nich w czasach Piotra Kołodzieja (tak nazywa się bohater powieści Sokorskiego).

Tytułowy bohater konsumuje kolejne kobiety, usiłujące w erotycznej ekstazie znaleźć panaceum na kłopoty duże i małe. Owe wszystkie przedstawicielki różnych typów urody, kolorów skóry, rozmaitych zawodów, nacji i — panie wybaczą, że dotknę materii z pewnością najdelikatniejszej — mocno zróżnicowanej skali wieku. Czy wystarcza to jednak, by Piotr znalazł się w ekskluzywnym klubie literackich uwodzicieli, któremu przewodniczą na zmianę Don Juan i Casanova? Z pewnością nie, wprawdzie lubi, kocha kobiety, ale nie można rzec, by je uwodził. Po prostu nie przeciwstawia się tylko ich zachciankom, żądzom, a nawet miłości.

Piotr Kołodziej to stary działacz, były minister. Jako znakomity malarz zajmuje wybitną pozycję w kręgach artystycznych i intelektualnych. Jakkolwiek polityka odegrała w jego życiorysie tak olbrzymią rolę, nikłe odnajdujemy w powieści echa konfliktów politycznych. Zasadniczą warstwę utworu wypełniają bez reszty niemal konflikty obyczajowe i w ślad za nimi — moralne. Przykładowo: zdrady małżeńskie, popełniane z reguły dla „równowagi ducha i podreperowania własnej godności". Jest ich tak dużo, że — gdyby zawierzyć temu zbeletryzowanemu traktatowi obyczajowemu — należałoby bić na alarm gwoli ratowania małżeństwa jako podstawowej formy społecznego bytowania.

Interpretacja tej książki jedynie w kategoriach moralitetu byłaby jednak nieopatrznym zwężeniem sprawy, bo przecież nie same wady i zalety współczesnych interesują autora. Pasjonuje go po prostu życie, i jeśli nawet tarapaty bohaterów zbyt często sprowadzone zostały do spraw łóżkowych, to nie obyło się tu przecież bez specyficznego dowcipu czy ironii. Niektóre wątki „Piotra" rozwinął zresztą Sokorski w osobne utwory komediowe (vide „Opowieść tropikalna" w czerwcowym numerze „Dialogu"). Wspominam o tym nie bez powodu, bo kunsztowne dialogi znakomicie rekompensują banalne nieraz sytuacje.

Wszelako szkoda, że autor ograniczył się do problemów obyczajowych. Mógłby przecież równie dużo, co na przykład w „Notatkach", powiedzieć o sprawach polityki. Nadałoby to z pewnością powieści dodatkowy walor. Kto wie zresztą — może „Piotr" jest tylko chwilową ucieczką w modne regiony seksu przed innymi sprawami? Jeśli tak — jest to ucieczka niezwykle konsekwentna. O ile bowiem seks u Kuśniewicza i Kabatca był ostry, drapieżny, perwersyjny, o tyle w powieści Sokorskiego jest permanenty. Jej bohaterowie lubią sprawdzać się przede wszystkim w tej dziedzinie, życie erotyczne — umiejętnie oglądane z różnych stron — traktują jako podstawowy dowód ontologiczny. Jakby chcieli zmodyfikować Kartezjusza: coito, ergo sum.

Niekiedy jednak poczynają się gubić w tym bujnym życiu. I wówczas usiłują odnaleźć siebie w krzepiących rozmowach z przyjaciółmi i znajomymi:

— Czy nie uważasz, że to śmieszne?
— Co śmieszne?

— Te małe sprawy ludzkie, na tych wszystkich zakrętach, które my z tobą minęliśmy?

— Nie przestaliśmy być ludźmi. W chamstwie, egoizmie i w babskich majtkach.

Te celowo zachwiane proporcje między seksem i innymi sprawami przywraca Sokorski nie tylko przy pomocy dialogu. I wtedy okazuje się, że życie ludzkie mieni się przecież wszystkimi barwami tęczy, a nie tylko tą jedną.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

W. Sokorski, Piotr. PIW, Warszawa 1976, nakład 20 000 + 290 egz., cena zł 22—.

RUCH KULTURALNY

DOM ŚRODOWISK TWÓRCZYCH

Dom Środowisk Twórczych istnieje w Łodzi nie od dziś i nie od dziś swoją działalnością zapisuje ślad na kulturalnej mapie Łodzi. Jest to placówka integrująca działanie wszystkich związków twórczych, wszystkich artystów i ludzi kultury naszego miasta. Pełni jednocześnie — jak mówi prezes Stowarzyszenia, BOHDAN MIKUĆ — funkcję służebną dla tych artystów, którzy chcą rozwijać działalność także poza placówkami, do których są niejako zawodowo i organizacyjnie przypisani.

Znany jest na przykład Teatr Propozycji. Nazwa może niezbyt adekwatna do roli i założeń tej specyficznej sceny, która jest w gruncie rzeczy laboratorium warsztatu dramaturga. Prezentowano tu już współczesne, prapremierowe sztuki **Zofii Lorentz, Romana Bradstaettera, Apoloniusza Zawilskiego.** W najbliższych planach przewiduje się **Jerzego Amborskiego** „Powrót", **Jana Czarnego** „Pociąg do Zagnańska" i **Jana Pawła Gawlika** „Procedura". Jak więc widać autorzy są z Warszawy, Krakowa i Łodzi. Dowód, że Teatr Propozycji zaczyna funkcjonować szerzej, że staje się forum nie partykularnym, ale ogólnopolskim. Nawiązano już zresztą także kontakty z pisarzami wrocławskimi, z teatrem „Ateneum"...

Jeśli już o teatrze mowa, to warto też przypomnieć, że **„Bractwo Kurkowe" Piotra Janczerskiego** tu właśnie — w Domu Środowisk Twórczych — znalazło miejsce i właściwy klimat na stworzenie Teatru Piosenki.

Od niedawna — po długotrwałym remoncie — oddano do użytku salon wystawowy na parterze. Jest to chyba najlepsze w Łodzi miejsce do ekspozycji plastyki, jedyna placówka wystawowa z górnym oświetleniem. Jednocześnie można tu urządzać imprezy innego typu: właśnie spektakle Teatru Propozycji, występy kabaretu, spotkania autorskie itp.

Odbyły się tu w nowym sezonie już dwa wernisaże plastyki. Swoją grafikę („Fryzury") wystawiał **Andrzej Grun** oraz rzeźby w drewnie — **Stanisław Romaniak.** W najbliższym czasie eksponowana będzie grafika artysty z Anglii, Toma Cabota.

Pałacyk przy al. Kościuszki ma jeszcze swoich prywatnych lokatorów, ale niebawem otrzymają oni mieszkania w nowym budownictwie i będzie możliwość zagospodarowania zwolnionych pomieszczeń. Poddasze przeznaczy się na pracownię plastyczną. Wiąże się to z dalszymi planami Domu Środowisk Twórczych. Otóż Stowarzyszenie zapraszać będzie (w ramach wymiany bezdewizowej) plastyków z innych krajów. Artyści mieć będą do dyspozycji pracownię i... łódzką secesję. Jeden obraz z takiego „artystycznego urlopu" pozostanie w Łodzi.

W ten sposób powiększać się będzie stała galeria DŚT, którą zapoczątkowała rzeźba Stanisława Romaniaka, przekazana niedawno Stowarzyszeniu. Przyjmuje się bowiem także zasadę, że każdy artysta wystawiający w galerii Domu Środowisk Twórczych, jedną swoją pracę ofiarowuje nowej stałej galerii.

W dalszej przyszłości planuje się — w oparciu o nową bazę Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych — organizowanie festiwalu plstyków Polonii Zagranicznej.

Jeśli chodzi o muzykę, to jeszcze w październiku odbędzie się tu wieczór pieśni rosyjskiej, przewiduje się dalsze koncerty. A poza tym Stowarzyszenie prowadzi ogromną działalność na zewnątrz. Współpracuje z „Tele-Echem", organizuje koncerty „Ludziom dobrej roboty", które cieszą się ogromnym powodzeniem. Już dziś Stowarzyszenie posiada ponad pół setki zaproszeń zakładów pracy.

Słowem — u progu nowego sezonu kulturalnego Dom Środowisk Twórczych ma nie tylko ambitne plany, ale już także pierwsze, ciekawe dokonania. W centrum miasta wyrosła nam i działa placówka kulturalno-artystyczna z prawdziwego zdarzenia.

JERZY WILMAŃSKI

PLASTYKA

Japonia — tradycja żywa

W miesiącu październiku eksponowana jest w Centralnym Muzeum Włókiennictwa interesująca wystawa przygotowana przez Fundację Japońską i Muzeum Sztuki Współczesnej w Kyoto. Tytuł wystawy: „Japonia — tradycja żywa" — jest, jak rzadko, adekwatny do zestawu prezentowanych eksponatów, na które składają się ręcznie tkane i drukowane przez japońskich artystów kimona, pasy obi oraz tkaniny i kompozycje przestrzenne. Wszystkie wystawiane przedmioty są unikatowe — i mimo ich w większości użytkowego przeznaczenia (odzież i pasy do niej) są dziełami sztuki najprzedniejszej próby.

Termin „tradycja" użyty w tytule wystawy skłania do spojrzenia wstecz i przedstawienia w lapidarnym skrócie paru informacji o przeszłości, jedynie powierzchownie znanego u nas, rzemiosła artystycznego Japonii. Zapewne mało kto wie, iż najstarsze znane na świecie naczynia ceramiczne znalezione zostały w trakcie wykopalisk archeologicznych w Japonii, w Prefekturze Kamagawa.

Badania przeprowadzone za pomocą rozpadu węgla C^{14} pozwoliły ustalić ich wiek na 7 000 lat p.n.e. Z okresu tzw. środkowego Jomon, z ok. 300 lat p.n.e. znane są piękne wyroby ceramiczne wykonane w stylu „płomienistym" zwanym tak od dekoracji reliefowej obrzeża naczyń przypominającej pełne ekspresyjnej stylizacji języki ognia.

Sztuka wykonywania wzorzystych materiałów z jedwabiu została przez Japończyków przejęta z Korei „dopiero" w II połowie V w. n.e. W dwa stulecia później, w epoce Nara (kiedy to powstała pierwsza stolica Japonii o tej samej nazwie) rzemiosła artystyczne, a wśród nich i tkactwo jedwabiu weszły w okres szczególnego rozkwitu. Wpłynął na to niewątpliwie rozbudowany ceremoniał dworu cesarskiego i domów możnowładców oparty na wzorach chińskich. Owo czerpanie wzorów z „zachodu" tłumaczy pojawienie się w tkactwie japońskim techniki i ornamentów czerpanych z rzemiosła chińskiego. Stosowano wówczas technikę splotu gazejskiego, a obok niej tzw. technikę splotu polichromowanego z zastosowaniem kilku różnobarwnych osnów tworzących wzór na tkaninie. Obok tkania wzorzystych materii jedwabnych rzemieślnicy japońscy posiadali również tajemnicę zdobienia tkanin w oparciu o procesy barwiarskie. Do najprostszych należało malowanie tkaniny poprzez szablon z wyciętym wzorem. Znacznie bardziej skomplikowana była technika „kokechi", która znana nam jest pod mianem „ikat". Polega ona na ścisłym okręcaniu sąsiadujących nitek w wsnutej osnowie sznurkiem. Okręcanie odcinków osnowy odbywa się w zależności od potrzeb wzoru. Po tym wstępnym przygotowaniu osnowę barwiono, przy czym ciasno okręcający nitki osnowy sznurek nie pozwalał na przenikanie barwnika w partie obrzeżone. Po wysuszeniu i rozcięciu sznurków izolujących od kąpieli barwiącej tkano materiał na którym pojawiał się wzór o charakterystycznie rozpływających się konturach. Stosowano również technikę barwienia z rezerważem polegającą na przysłonięciu ornamentu woskiem. Technika ta zwana „rokechi" przypomina batik. Innym sposobem było barwienie tkaniny ściśniętej między dwoma deskami, w których wycięty był wzór umożliwiając przenikanie kąpieli barwiącej. Wszystkie te techniki pozwalały na otrzymywanie wielobarwnych tkanin o zestawieniach kolorystycznych wskazujących na ogromną wrażliwość na kolor i doskonałe opanowanie sztuki ornamentu.

Sztuka tkania i drukowania dekoracyjnych tkanin jedwabiu wykonywana była przez profesjonalnych rzemieślników — artystów. Wielu z nich pracowało w zorganizowanych manufakturach istniejących już na przełomie VII i VIII w. Mistrzów w tym rzemiośle wysyłano do odległych prowincji celem rozpowszechniania tych dyscyplin sztuki.

Największy rozkwit tkactwa jedwabnego w Japonii przypada na epokę zwaną Fujiwara (IX-XII w. n.e.) od możnowładczego rodu, którego członkowie rządzili krajem w imieniu nieletnich cesarzy zmuszanych do wczesnych abdykacji. W okresie tym wykształciła się specjalna kultura warstw artystokratycznych, a wraz z nią rodzime i niezależne od obcych wpływów wzornictwo oraz narodowy strój noszony przez możnowładcze warstwy społeczeństwa. Mężczyźni nosili strój zwany „sokutari" kobiety zaś „junikitoe" składający się z kilku lub kilkunastu warstw odzieży. Strój ówczesny był pełen przepychu, lecz z czasem w związku z rozwojem stanu samurajów wykształcił się nowy typ odzieży zwany „kosode" stanowiący pierwowzór współczesnego kimona.

Wiadomym powszechnie jest fakt, iż Cesarstwo Japonii w epoce Edo, w okresie rządów szogunów przebywało w stanie całkowitej izolacji trwającej aż do roku 1867. W okresie tym nastąpił upadek rzemiosła jedwabnego w związku ze zmonopolizowaniem i scentralizowaniem jej w Kyoto.

Od 1954 roku tradycyjne rzemiosło artystyczne znalazło się pod szczególną opieką państwa. Powołano związki twórców. Warto podkreślić, iż na podstawie ustawy z 1964 roku wybitni artyści nazywani są „żyjącym skarbem narodowym", a państwo roztacza opiekę i ochrania ich talent traktując go jako dobro narodowe.

Tak zatem współczesna sztuka tkacka bazuje na bogatej, wielowiekowej tradycji, która trwa do dziś. Mimo procesów urbanizacyjnych, mimo gwałtownego postępu cywilizacji, które w ostatnim stuleciu ogarnęły Japonię, artyści tego kraju nie zerwali z doświadczeniami przeszłości. Reaktywowanie dawnych technik przy wrodzonym, wyrafinowanym smaku pozwala dziś na tworzenie subtelnych, a przecież pełnych wyrazu dzieł — nie ustępujących wspaniałym zabytkom przeszłości. Dowodzi to, iż postęp cywilizacji nie musi przysłaniać w sposób automatyczny doświadczeń i dorobku dawnej sztuki narodowej względnie ludowej. Co więcej, dowodzi iż nowoczesność i tradycja nie są zjawiskami antagonistycznymi lecz harmonijnie uzupełniającymi.

Czerpanie z tradycji stosowane przez artystów japońskich i inspiracja wywodząca się z dawnej techniki i wzornictwa polegają na utrzymaniu się w tym specyficznym klimacie właściwym sztuce japońskiej. Mimo modulacji obserwowanej w poszczególnych epokach jest ona nadal jednolita poprzez umiar i subtelny smak niezmienny od wieków.

Na wystawie prezentowanej w Centralnym Muzeum Włókiennictwa wyróżniają się dwie grupy prac. Do pierwszej należą kimona i pasy obi. Zadziwia w nich wyczucie formy, celowość kompozycji i delikatność rysunku jak również doskonałość pracochłonnej techniki, która jest zapożyczona z dawnych tkanin.

Ornamentyka niektórych kimon ukazuje tradycje sięgające okresu, gdy w Japonii żywe były wpływy tkackiej sztuki Chin z epoki Han i Tang (II w. p.n.e. do VIII w. n.e.). Wyraźnie widoczne jest to w ornamencie rombowym Takeshi Kitamury i chmurach — wstęgach Yosutaka Komiya. W tkaninach wykonanych przez Yoshichi Matsubara i Tanaki Matsueda urzeka delikatny ornament wykonany sposobem ikatu, o jasnym wzorze na ciemnym tle. Zadziwia fakt stosowania ikatu zarówno po osnowie jak i wątku. Delikatny koloryt, doskonałość rysunku i kompozycji ukazują kimona wykonane przez artystów dwu pokoleń: ojca Kako i syna Kunihiko Moriguchi. Ciekawe efekty dzięki szczególnej wrażliwości na kolor uzyskała Fukumi Shimura stosująca pasowe układy wątku jedwabnego barwionego naturalnymi barwnikami.

Odmienne w wyrazie, pełne ekspresji a niekiedy bez mała brutalności są kompozycje przestrzenne plecione ze sznurów i włókien. Jest to zupełnie nowy kierunek zainteresowań artystów japońskich, z tradycją związany jedynie poprzez wykorzystanie technik plecenia stosowanych przez wieśniaków przy wyrabianiu koszy i kapeluszy. Do tej grupy zaliczyć można prace Yoichi Onagi, Keiko Fujioki. Natomiast kompozycje Masakazu Kobayashi, Michiko Sakumy i Toshiko Hariushi, choć każda odmienna w koncepcji i technice — nawiązują subtelnością (szczególnie „Duch Lasu" Toshiko Hariushi) do subtelnego nastroju wyczarowanego przez dawnych tkaczy.

Wystawa zaaranżowana ze znawstwem przez artystę japońskiego, profesora Akademii w Kyoto Moriguchi Kunihiko jest niewątpliwie wydarzeniem w życiu kulturalnym Łodzi.

ADAM NAHLIK

U PRZYJACIÓŁ

Od lat utrzymują ze sobą ścisłą współpracę — leningradzki Teatr Dramatyczny im. Puszkina i zakłady „Elektrosiła". Na temat tej współpracy wypowiedzieli się na łamach gazety „Wieczornyj Leningrad" Aleksander Borysow, wybitny aktor i Jurij Sidorow, tokarz, członek rady artystycznej tego teatru. Poniżej podajemy fragmenty tej interesującej rozmowy.

BORYSOW: Zacznijmy od historii. Po rewolucji pozłacane loże i aksamitem wykładane fotele naszego Teatru wypełniły się nowymi widzami — proletariatem. Jego pierwsza reakcja na nasze spektakle była nieoczekiwana. Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego grobowym milczeniem przyjmowano sceny, gdzie poprzednio rozbrzmiewały huczne oklaski, natomiast w najmniej odpowiednich momentach budził się ogólny zachwyt. Jak długo dzieliła nas rampa, nie mogliśmy się uporać z tym zjawiskiem. Wówczas postanowiliśmy zaprosić robotniczych widzów za kulisy i szczerze porozmawiać. Z początku szło to opornie, ale wkrótce z nowym widzem zawarliśmy pełne porozumienie.

SIDOROW: W owych czasach wielu robotników było analfabetami. Jednak łatwy dostęp do teatru, kina, na dyskusje o literaturze, do sal koncertowych, budziły w nich chęć poznawania sztuki, co znalazło również wyraz w licznie powstających w owych czasach zespołach amatorskich. Dziś sytuacja jest zupełnie inna. Pracownicy naszych zakładów — to ludzie ze średnim i nierzadko wyższym wykształceniem. Wiele czytają, znają się na plastyce, chodzą na koncerty i oczywiście do teatru. Dziś każdy większy zakład w ZSRR dysponuje świetnie wyposażonym domem kultury, który ma wszelkie warunki by gościć zespoły profesjonalne. Ponadto należy wziąć pod uwagę wysoki poziom przyzakładowych zespołów amatorskich. Także ogromne znaczenie w upowszechnieniu mają umowy między teatrami a zakładami.

BORYSOW: Chciałbym podkreślić, że nie chodzi tu o jakiś jednostronny patronat, tylko rzeczywiście o obustronną korzystną współpracę. Chodzi o to, że nie tylko fabryka i jej dom kultury oczekują od nas pomocy, lecz i my także liczymy na pomoc „Elektrosiły".

SIDOROW: Aktorzy pomagają nam w organizowaniu różnego rodzaju uroczystych wieczorów, a także występują na terenie zakładu, niosą pomoc i radę naszym artystom-amatorom. Muzycy i technicy teatralni współtworzą z nami kształt naszych zakładowych przedstawień.

BORYSOW: A teraz o naszych korzyściach. Nie chcę się rozwodzić nad czysto praktycznym aspektem umowy, jak np. pomoc w przygotowaniu wyjątkowo trudnych dekoracji i technicznych rozwiązań. Chcę powiedzieć o czymś innym. Zadaniem aktora jest wcielanie się w różne postacie. Dziś inżyniera, jutro lekarza pojutrze robotnika. Aktor myślący czerpie swą wiedzę o ludziach z ich wnikliwych obserwacji. I taka właśnie przyjaźń z kolektywem dużego przedsiębiorstwa daje możność zdobycia wspaniałego materiału poznawczego. Nie oznacza to potrzeby zgłębiania tajników zawodu, bo najważniejsze jest bezpośrednie obcowanie z robotnikami, poznanie problemów, które ich nurtują. Bez tego nie potrafilibyśmy odtworzyć człowieka pracy, żywej współczesnej postaci.

SIDOROW: Oprócz mnie w skład rady artystycznej teatru wchodzą robotnica Olga Sokołowa i inżynier Malwina Kildiuszewska. Dlaczego właśnie my? Polecając nas rada zakładowa opierała się na tym, że wszyscy troje jesteśmy zaprzysięgłymi miłośnikami teatru.

BORYSOW: Rada artystyczna Teatru im. Puszkina składa się z 18 osób, w tym dyrektor, główny reżyser, czołowi aktorzy, krytycy oraz właśnie przedstawiciele fabryki, którzy reprezentują publiczność. Zadaniem rady jest m. in. akceptowanie każdego nowego spektaklu. Opinia zasiadających w radzie robotników ma w naszej pracy bardzo duże znaczenie.

SIDOROW: Nie jest chyba, moim zdaniem, potrzebne zbytnie podkreślanie naszej roli, może to sugerować jakiś nie istniejący „robotniczy nadzór". Ja mogę mówić o danej sztuce wyłącznie z pozycji widza. Dotyczy to również samego przedstawienia i gry aktorskiej. Zauważyłem jednak, że kiedy zabieram głos słucha się nas uważnie.

BORYSOW: My, ludzie sceny, jesteśmy związani ze sobą jednym rodzajem pracy, nieco już utartymi poglądami, istnieje też kwestia autorytetów. Współpracujący z nami przedstawiciele załogi wolni są od takich zależności. Mówią prawdę w oczy zarówno zasłużonemu aktorowi jak i statyście. Dlatego ich opinia, chociaż bez znajomości tajników naszego rzemiosła, jest dla teatru niezwykle pożyteczna.

SIDOROW: Jak ja pojmuję swoją rolę w radzie artystycznej teatru? Nie śmiałbym uczyć aktorów, jak mają grać. Po prostu nie potrafilbym tego. Ale mogę zwyczajnie powiedzieć, co mi się podobało, a co nie, czego nie zrozumiałem, a co wywarło na mnie silne wrażenie.

BORYSOW: O to właśnie chodzi. Musimy potem fachowo przeanalizować, czego widz nie zrozumiał, albo dlaczego się nudził. Być może, jeśli chodzi o sztukę współczesną, sknocił coś autor, a może są to braki w inscenizacji, zagubienie rytmu, dłużyzny itp. I jak dobrze poszukać, to przyczyna niewypału się znajdzie. Bo ostatecznie sztuka teatralna istnieje i opiera się na widzu. I w tym leży istota zagadnienia współpracy teatru z jego masowym odbiorcą.

CYPR 1976

NA „LINII ATYLLI"

5 września tego roku na Cyprze odbyły się wybory do parlamentu. Ich wyniki świadczą o przekonywającym zwycięstwie sił demokratycznych i patriotycznych. Grecy cypryjscy głosowali za takim rozwiązaniem problemu cypryjskiego, jaki proponowała Postępowa Partia Ludu Pracującego Cypru oraz inne partie polityczne i organizacje, popierające politykę prezydenta Makariosa.

Nie otrzymała ani jednego głosu prawicowa partia Glafkosa Kleridisa (Zjednoczona Partia Demokratyczna), będąca platformą integracji elementów reakcyjnych, pragnących przekształcić Cypr w bazę NATO.

Niedaleko od hotelu „Lidra Palace", w którym kwateruje sztab wojsk ONZ chroniących pokój na Cyprze, znajduje się punkt kontrolno-przelotowy, jedyne przejście z greckiego sektora Nikozji do tureckiego, i z powrotem. Panuje tu cisza, mącona tylko śpiewem ptaków i szumem rzadko przejeżdżających samochodów zagranicznych dziennikarzy, lub dyplomatów pracujących w Nikozji. Tylko oni mogą korzystać z „zapomnianej drogi", wiodącej ze stolicy na północ. Z ponurej drętwoty budzi się droga tylko wówczas, gdy konwój wojsk ONZ przewozi na południe uciekinierów — Greków cypryjskich.

W sierpniu 1975 roku na „tureckim terytorium" wyspy pozostawało jeszcze ok. 12 tysięcy Greków, a na południu około 10 tysięcy Turków. Zgodnie z porozumieniem w Wiedniu, osiągniętym w czasie rozmów między przedstawicielami obu cypryjskich społeczności, Turkom cypryjskim zezwolono na przesiedlenie się na północ wyspy, gdzie obecnie zgromadzono całą ludność turecką Cypru. Uzgodniono także iż Grecy osiedleni na północy, w Kyrenii, Bellapais i na półwyspie Karpas mogą tam pozostać i pracować. Ale ani w Kyrenii, ani w Bellapais Grecy nie zostali. Tylko 6,5 tysiąca mieszkańców greckich wiosek na wyspie Karpas stanowczo odmówiło opuszczenia rodzinnej ziemi. Przesiedlenie przedłuża się i, być może, dopiero za rok w północnej części wyspy nie pozostanie ani jeden Grek.

Władze tureckie zapewniają, że ci, którzy się przesiedlają, robią to dobrowolnie. W rzeczywistości jednak stwarzają chłopom greckim na wyspie Karpas warunki niemożliwe do normalnej egzystencji. Grecy cypryjscy tego rejonu wyspy muszą się meldować dwa razy dziennie w jednostkach wojskowych i nie wolno im, bez uprzedniego zezwolenia, oddalać się od miejsca zamieszkania dalej niż na kilometr. Domy i gospodarstwa, pozostawione przez Greków, przekazuje się przesiedleńcom z Turcji, najczęściej z Anatolii.

Osobistości zbliżone do lidera tureckiej wspólnoty — Raufa Denktasza — przyznają, że na Cyprze osiedliło się około 10 tysięcy Turków z kontynentu. Uważa się ich za „robotników sezonowych" i „specjalistów technicznych", którzy przybyli tu rzekomo pomóc „swoim braciom" na wyspie. Jeśli dodać do tego kilka tysięcy imigrantów-Turków cypryjskich z Anglii, Australii i innych krajów oraz 30 tysięcy żołnierzy tureckiego korpusu ekspedycyjnego i członków ich rodzin (których uważa się za pełnoprawnych obywateli wyspy), to liczba ludności tureckiej w północnej części Cypru zbliża się dziś do 180 tysięcy.

W szybkim tempie, metodycznie powstają instytucje „Federalnego Państwa Tureckiego Republiki Cypru", które proklamowali Turcy cypryjscy w lutym 1975 roku. W maju 1976 roku w tureckiej strefie wyspy odbyły się wybory do Zgromadzenia Narodowego, sformowano rząd regionalny. „Prezydentem" został Rauf Denktasz i zaraz na wstępie powiedział bez ogródek, że „ma wielką chęć proklamować na Cyprze państwo tureckie, które nie będzie już federalne, lecz stanie się państwem niezależnym od południa, mimo upartego sprzeciwu arcybiskupa Makariosa". Jeśli ta pogróżka nie została dotąd zrealizowana, to tylko dlatego, iż należy wątpić, czy takie państwo otrzymałoby szerokie, międzynarodowe poparcie. Ponadto Ankara wyraża obawę, że proklamowanie go mogłoby spowodować pojawienie się greckich wojsk na południowym skrzydle Turcji.

W dwa lata po podziale wyspy, ekonomiczna sytuacja „Federalnego Państwa Tureckiego Republiki Cypru" jest daleka od dobrej, ale Denktasz uważa, że są to trudności przejściowe. Uważa on, iż obecnie „Federalne Państwo Tureckie" zajmuje 32,5 procent terytorium wyspy, chociaż, jego zdaniem, Turcy cypryjscy „mają prawo do 35,8 procent Cypru". Tym samym daje on do zrozumienia, że Grecy cypryjscy mogą odzyskać znacznie mniejsze terytorium niż sądzą.

W czasie ostatecznych rozmów w Wiedniu — jak podaje korespondent „Le Monde" — Denktasz coraz bardziej usztywniał swoje stanowisko. W kwietniu 1975 roku zgadzał się: „wszystko jest możliwe". W grudniu 1975 roku mówił już, że „linia demarkacyjna powinna być skorygowana". W toku ostatniej fazy spotkań w Wiedniu upierał się, że „należy bezwarunkowo przeprowadzić wzajemne skorygowanie granic". W praktyce oznacza to żądanie nowych ziem na południu wyspy.

Hotele w Nikozji, Larnac i Limassol, opustoszałe dziewięć miesięcy temu, są dziś przepełnione. Nowy impuls do rozbudowy przemysłu hotelowego, który mocno podupadł z powodu utraty dwóch centrów turystycznych — Kyrenii i Famagusty — dała libańska tragedia, wyrzucając na cypryjskie brzegi zamożnych libańskich uciekinierów. Patrząc na Libańczyków, zapełniających w czasie szczytowego nasilenia ruchu luksusowe kawiarnie na eleganckich ulicach Nikozji, zagraniczni turyści zapominają często, iż na południe od „linii Atylli" (taką nazwę nosi linia na mapie, rozdzielająca wyspę na część północną i południową), każdy co trzeci Cypryjczyk jest uciekinierem z północnej części wyspy.

Czas leci. Rząd w Nikozji próbuje obniżyć temperaturę namiętności, uspokoić uchodźców. „Nie chcielibyśmy przekształcać ich w Palestyńczyków, żyjących marzeniem o powrocie" — mówią osobistości oficjalne. Ekonomiczne ożywienie pozwoliło na zwiększenie zatrudnienia i zmniejszenie liczby bezrobotnych z 50 tysięcy w końcu 1975 roku, do 34 tysięcy w początkach 1976. Smutne miasteczka namiotowe, w których mieszkało ponad 25 tysięcy uciekinierów, ustępują miejsca budynkom mieszkalnym. Wprawdzie 14 tysięcy Greków cypryjskich wciąż wegetuje w namiotach, ale rząd ma nadzieję, iż do końca tego roku będzie mógł im dać odpowiednie mieszkania. Niemniej, jeszcze przez długie lata problem przesiedleńców będzie ciężkim brzemieniem dla ekonomiki kraju: 140 tysięcy z 200 tysięcy przesiedlonych Greków cypryjskich otrzymuje zapomogi od państwa.

Po odsunięciu od władzy, w lipcu 1974 roku, „prezydenta" państwa cypryjskiego — Samsona, osadzonego na tym stanowisku przez faszystowski reżim „czarnych pułkowników", przez pięć miesięcy upajał się smakiem władzy Glafkos Kleridis, lider prawicy Greków cypryjskich. W grudniu 1974 roku nastąpił triumfalny powrót do Nikozji arcybiskupa Makariosa. Wiadomo jednak, iż Kleridis opóźniał jego powrót, rozpowszechniając wiadomości, że jemu „łatwiej się będzie dogadać w sprawie rozwiązania problemu cypryjskiego". Później, grożąc zahamowaniem rozmów, udało mu się wymóc na arcybiskupie Makariosie poważne ustępstwa.

I tak, poczynając od drugiej tury rozmów, Kleridis zgodził się na zasadę stworzenia dwurejonowej federacji pod warunkiem, że strona turecka zwróci Grekom cypryjskim pewną część zaanektowanego terytorium w ramach ogólnego uregulowania problemu. „Ceny" tej jednak Denktasz nie zapłacił.

Usprawiedliwiając po niewczasie swoje stanowisko, Kleridis powiedział, że „chciał, nie tracąc czasu na spory proceduralne, zabrać się do rozwiązania istoty problemu, podczas gdy inni byli za długotrwałą walką i chcieli nadać sprawie cypryjskiej charakter międzynarodowy." Mimo jednak tych zapewnień nie zabrał się do rozstrzygnięcia „istoty" problemu...

Kleridis korzystał z nieograniczonego poparcia greckich kół przemysłowych Cypru, a niedługo przed wyborami do parlamentu, we wrześniu br. sklecił, składającą się z jego stronników, prawicową Zjednoczoną Partię Demokratyczną. Przeciwstawiają się jej partie popierające politykę „długotrwałej walki" głoszonej przez Makariosa, takie jak: Demokratyczny Front, którą kieruje Spiros Kiprianu, b. minister spraw zagranicznych, Postępowa Partia Ludu Pracującego Cypru i Zjednoczony Demokratyczny Związek Centrum.

Kiprianu był ministrem spraw zagranicznych zaraz po proklamowaniu niepodległości Cypru w 1960 roku. W maju 1972 roku musiał odejść z rządu pod naciskiem „czarnych pułkowników" i Stanów Zjednoczonych, które uważały jego politykę za zbyt liberalną wobec krajów niezaangażowanych i socjalistycznych. Po powrocie do Nikozji Makariosa w grudniu 1974 roku, Kleridis zrobił wszystko, żeby tylko Kiprianu nie stanął na czele cypryjskiej dyplomacji.

Jeśli chodzi i prezydenta Makariosa, to jest on zdecydowany kontynuować politykę „długotrwałej walki", w oczekiwaniu na odpowiedni moment do przywrócenia całemu Cyprowi niepodległości i jedności terytorialnej.

Tymczasem rozmowy między obu stronami: grecką i turecką w sprawie ostatecznego uregulowania problemu cypryjskiego nie dały dotąd wyników. Tysiące przesiedlonych Greków cypryjskich wegetuje w namiotach, cała wyspa ponosi ogromne straty ekonomiczne.

JERZY CZECH

NURT ODPRĘŻENIA

DWIE WIZYTY

PRZEBRANA MIARKA

ZNAMIENNE FAKTY

W Nowym Jorku zakończyła się debata generalna na XXXI sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ. Teraz przystąpi się do rozpatrywania poszczególnych punktów porządku dziennego, których jest ponad 120. Debata generalna określa zawsze problemy, znajdujące się w centrum uwagi. **Z głosów reprezentantów 126 krajów można wyprowadzić jednoznaczny wniosek — dziś podstawowymi zagadnieniami są: pogłębienie odprężenia politycznego, rozbrojenie i przebudowa gospodarczych stosunków międzynarodowych.** Każdemu z tych największych punktów zainteresowań towarzyszyły nowe propozycje radzieckie. Projekt światowego układu o niestosowaniu siły w stosunkach międzynarodowych, memorandum w sprawie zaprzestania wyścigu zbrojeń i rozbrojenia oraz oświadczenie rządu radzieckiego o konieczności przebudowania stosunków gospodarczych spotkały się z żywym oddźwiękiem i znalazły poparcie większości delegacji. Również propozycja ewentualnego poprzedzenia światowej konferencji rozbrojeniowej specjalną sesją ONZ nie pozostała bez pozytywnego echa.

Z przebiegu debaty generalnej wynika, **jak silny jest w świecie nurt pokojowy i jak bardzo zależy krajom na ułożeniu między nimi stosunków w oparciu o zasady równoprawnej współpracy.** Jest to objaw ze wszech miar korzystny i zapowiadający możliwość dalszego zbliżania państw i narodów.

Taką też politykę realizuje Polska. W ostatnich dniach **jej potwierdzeniem jest wizyta Edwarda Gierka w Rumunii, wspólne w czasie jej trwania nakreślenie kierunków rozwoju stosunków polsko-rumuńskich, a także prywatna wizyta w Polsce prezydenta Francji — Giscard d'Estainga.**

Pierwsze z wymienionych wydarzeń służy umocnieniu jedności wspólnoty państw socjalistycznych, drugie — przyczynia się do rozwoju współpracy państw o odmiennych ustrojach. Jak bowiem podkreślił w ub. tygodniu Edward Gierek na Zjeździe Związku Górników:

„Wspólnota państw socjalistycznych kontynuuje politykę międzynarodowego odprężenia, dąży konsekwentnie do rozszerzenia go i pogłębienia, do uczynienia tego procesu nieodwracalnym. Jest to dziś jedyna droga do trwałego pokoju, a więc leży to w żywotnym interesie wszystkich narodów".

Uważna lektura serwisu depeszowego przypomina nam niemal codziennie, że nie wszystko, co dzieje się na świecie, podporządkowane już jest pokojowemu współistnieniu. **Nie współbrzmią z tą ideą także niektóre akcenty sięgającej już zenitu kampanii przedwyborczej w Stanach Zjednoczonych.** Zwrócił na to uwagę dziennik „Prawda" w artykule pod znamiennym tytułem: **„Panowie kandydaci, nie przekraczajcie progu przyzwoitości".** Chodzi o to, że ubiegający się o fotel prezydencki chcą zasłużyć również na poklask różnych szumowin emigracyjnych i tracą poczucie rzeczywistości. Tak było właśnie przed kilku dniami. Kiedy mowa jest o polityce zagranicznej i o sprawach, dotyczących innych państw, kandydaci na prezydenta nie mogą się zapominać i nie kontrolować swych słów.

Artykuł, o którym wspomnieliśmy, żywo komentowany jest przez wszystkie agencje zachodnie, przypominające równocześnie, że Związek Radziecki nie ma zwyczaju ingerować w kampanię wyborczą i zachowuje neutralizm w stosunku do obu rywalizujących kandydatów.

W prasie codziennej — przechodzimy tu do kolejnego tematu naszego przeglądu — ukazały się w ostatnich dniach dwie **informacje z Hiszpanii,** na których chcielibyśmy zatrzymać uwagę Czytelników.

Pierwsza informowała, że odbyło się posiedzenie krajowej rady „ruchu frankistowskiego", na którym premier Suarez wezwał uczestniczących do poparcia rządowego projektu reform. Projekt ten przewiduje m. in. legalizację partii politycznych oraz przeprowadzenie wyborów parlamentarnych i praktycznie jest równoznaczny z rozwiązaniem wymienionego ruchu.

Druga informacja mówiła o decyzji rządu, rozwiązującej powołane jeszcze za czasów Franco związki zawodowe i dającej możliwość tworzenia przez robotników własnych organizacji. W tym miejscu trzeba wyjaśnić, że dotychczasowe związki kierowane były przez działaczy Falangi i nadzorowane przez specjalnego ministra. Inaczej mówiąc — nie miały one nic wspólnego z organizacjami robotniczymi.

Oba wydarzenia są charakterystyczne dla dzisiejszej Hiszpanii — świadczą o powolnym procesie przemian w tym kraju.

Rejestr faktów z wewnętrznego życia Hiszpanii trzeba uzupełnić jeszcze dwoma: utworzeniem prawicowej partii pod nazwą Sojusz Ludowy i połączeniem się w jedną dwóch partii socjalistycznych. **Następuje zatem pewne przegrupowanie sił,** które może zapowiadać zintensyfikowanie życia politycznego.

W. SŁAWSKI

POWIEŚĆ W ODCINKACH (OSTATNI)

Kapitan Brambilla patrzył, jak Peduto bierze do ręki to butelkę z rakiją, to pakiecik, który przygotował mu karczmarz. Obracał się na prawo i lewo, krzyczał na tłoczących się przy bufecie żołnierzy, podoficerów, na jakieś dziewczyny, i wciąż próbował jeszcze raz uściskść obrażonego, rozeźlonego Malicia.

Ani Brambilla, ani Malić nie rozumieli zawikłanych, okropnie długich zdań majora; mówił o miłości i zwycięstwach na wszystkich frontach, o bombardowaniu i Czarnogórze, o faszyzmie i swojej pobożnej, kulawej, podstępnie zgwałconej kuzynce, o podróży służbowej i rzeżączce, której uniknął dzięki niespodziewanemu atakowi partyzantów. Podczas gdy tak zataczał się przed bufetem i niezgrabnie gestykulował dla podkreślenia tego, co mówi — sypał się z niego kurz.

Vittorio Brambilla spostrzegł, jak Peduto wyciągnął ręce i zamiast Malicia uścisnął jedną z pstrokatych dziewczyn. A ta przylgnęła do munduru, pomieszała kolana z kolanami majora. Zanim Antonio oprzytomniał, dziewczyna zajrzała mu w twarz. Najwyraźniej nie poznając jej, major uśmiechnął się szeroko.

— Od trzech tygodni na ciebie czekam, Antonio — odezwała się dziewczyna, pokazując sznur zepsutych zębów.

— Zdaje mi się, że wiedziałem, jak masz na imię — wykrztusił major, z trudem trzymając się na nogach.

— Kiki — powiedziała dziewczyna. — *Tua cara* Kiki * *

— W porządku, Miki, o co chodzi?

— Jestem Kiki — powiedziała dziewczyna. — Prawda, *signor capitano?*

— Prawda, Riki — rzekł kapitan Brambilla mierząc ją pogardliwym spojrzeniem.

— Troszeczkę jestem pijany, Miki — wybełkotał major. — Bierz się za kapitana.

— Otrzeźwię cię — powiedziała dziewczyna obejmując go wpół.

— A ja cię napełnię pchłami — powiedział nieco głośniej Antonio z chłopięcą naiwnością.

— Już mam ich pełno — odparła Kiki gładząc go po policzku. — Chodź, mój piegowaty, mój złoty.

Kapitan patrzył, jak dziewczyna o jasnych włosach, długich nogach i oszałamiających okrągłościach przytula się do majora, który już dawno leżałby na ziemi, gdyby nie bufet. Brambilla ukradkiem przyglądał się jej dużym, niemal zupełnie odsłoniętym piersiom, szyi i bujnym włosom, którymi zasłaniała całą twarz Antonia.

— *Evviva signor maggiore*! — zawołał ktoś z tłumu. — Niech żyje!

— Nie daj się, Antonio! — krzyknął oficer, na którego kolanach siedziała najbardziej pstrokata i obnażona dziewczyna.

— Niech żyje poker! — wrzasnął ktoś, jak gdyby nagle przebudzony.

— Kiki, aniele, na co czekasz? — znowu krzyknął oficer z dziewczyną na kolanach. — Bierz się za niego! Śmiało, Kiki!

Kiki znów pomieszała kolana z kolanami majora.

— Tym razem daruj mi — powiedział cicho Peduto. — Jutro się spotkamy. Albo pojutrze. Nie mam ani lira przy duszy; wszystko przegrałem w karty i przepiłem. No, bądźże dobra.

— Później mi zapłacisz hurtem — powiedziała dziewczyna — Przyjmę nie tylko pieniądze. Już mi jesteś winien. Nie pamiętasz?

— Nie pamiętam — rzekł rozespany major. — Bardzo lubię o niczym nie pamiętać.

— *Andiamo* — powiedziała Kiki. — Chodźmy. Tobie dam nawet bez pieniędzy. Antonio, mój jedyny, najdroższy.

— Riki — wybełkotał Peduto — miła moja Miki, muszę ci wyznać, że po drodze oprócz pcheł i wszy dorobiłem się też słodkiej i sympatycznej czarnogórskiej rzeżączki... w którejś wsi, złotko moje. Nie chciałbym cię skrzywdzić.

— Ja też ją mam. Moja jest włoska. Dobrze, że nie syfilis. *Andiamo.*

Antonio odepchnął ją delikatnie.

— Kocham cię — powiedziała dziewczyna chwytając go za pas, u którego wisiał rewolwer. — Tylko ciebie kocham, chcę tylko z tobą.

— Ja też cię kocham — rzekł major szukając butelki. — Ale odejdź.

— Jeżeli mnie kochasz, to czemu nie chcesz? — spytała Kiki rozciągając wargi w smutnym uśmiechu.

— Dlatego że strzelają — znienacka, głośno powiedział Antonio.

— A co to szkodzi?

— Pozabijają mi metafory — powiedział odurzony major.

Prawdziwie ohydnego mam szefa — pomyślał kapitan Brambilla i odsunął kieliszek rakiji, który chytrze nalał mu Malić. — Całkiem zapomina o swojej randze i orderach, na które podobno rzetelnie zasłużył. Gdyby nawet nic już nie powiedział poza tym, co dzisiaj słyszałem, to wystarczy: nie spocznę, dopóki nie zostanie zdegradowany albo przynajmniej przeniesiony.

Kapitan Brambilla zauważył, że major z przerażeniem spogląda na Pietra: ze zwisającymi rękami, zesztywniały, kapral dzikimi, szklanymi oczyma uparcie wpatrywał się w dym. Siedzący koło niego cywile i żołnierze myśleli prawdopodobnie, że już nie żyje, więc przestali śpiewać; tylko patrzyli na niego, jak patrzy się na kukły i ludzi z wosku. Nawet nie wymawiali jego imienia i nie ściskali go, jak przedtem, gdy pili razem za swoje zdrowie. Oglądali się na innych przestraszeni, mając jednak nadzieję, że Pietro otworzy usta i przemówi.

— Riki — głucho powiedział major. — Idź, pomóż Pietrowi.

Dziewczyna spojrzała na niego zdziwiona.

— Miki, nie słyszysz, co mówię?

— Ale on się nie rusza — szepnęła dziewczyna. — Może umiera...

Riki, zastrzelę cię, jeżeli nie usłuchasz. Szybko.

Dziewczyna podeszła do stołu Pietra. Kapral jeszcze oddychał; oczy miał szklane. Kiki pogłaskała go po włosach. Cywile ożywili się — siedzący po lewej stronie ciężko przeklął rakiję i miłość.

— Całuj! — zagrzmiał Antonio.

Kiki spojrzała na niego ze smutkiem.

— W usta, mówię! — zawołał Peduto chwytając butelkę rakiji.

Dziewczyna usłuchała. Ale Pietro nawet nie drgnął, nie zamknął oczu. Rozpalony, ociekający potem, nie wiedział, gdzie jest, a tym bardziej, co z nim wyprawiają. Dziewczyna całowała go, a on tylko głębiej oddychał i czubkami palców dotykał brudnej podłogi.

—Rozpinaj!

Większość gości wstała. Umilkli wszyscy prócz Augusta Napolitano, który cicho nucił. Patrzyli, jak Kiki rozpina bluzę i sztywną wojskową koszulę.

Kapitan Brambilla i Gruban Malić stali najbliżej stołu, przy którym siedział Pietro — dziewczyna głaskała powoli gładkie piersi Sarda.

— Nic nie pomaga — powiedziała z rozpaczą. — Sam diabeł by go nie rozbudził.

— Biedak — powiedział Malić, ale Peduto udał, że nie słyszy.

— Przydałby się doktor — zawołał ktoś przy bufecie. — Albo kapelan, *padre.*

Wszyscy spojrzeli na majora; przyciskał butelkę do piersi. Był ponury, oczy miał przekrwione. Wszystko widział, ale na nikogo nie zwracał uwagi.

— Spodnie! — zawołał tak głośno, że usłyszeli nawet ci w najdalszych kątach.

Cisza stała się przezroczysta. Nawet Augusto umilkł.

— Ale, Antonio — szepnęła dziewczyna patrząc na niego ze łzami — czekałam na ciebie od tygodni. Dobrze o tym wiesz. Ja już nie mogę. Nie mogę.

— Spodnie!

— Ale ja ciebie... ja cię naprawdę...

— Ja ciebie też — powiedział major. — Prędzej!

Kapitan Brambilla spostrzegł, że dziewczyna usłuchała. Pietro Portu-ſu był nieporuszony.

— Jak ci potem spojrzę w oczy, Antonio? — zaskomlała Kiki.

— Teraz wyjmij i pociągnij — rzekł Peduto przez zęby. — Zobaczymy, czy oprzytomnieje.

Powiedzieli mu, że usłuchała i że Pietro oddycha głębiej.

Rys. J. Szymański — Glanc

— Jeszcze, i prędzej — szepnął major. — Dość tej gitary, Augusto.

Powiedzieli mu, że dziewczyna robi co trzeba, że zadziwia ich swoją sztuką, ale Pietro jeszcze jest na pół martwy.

— A teraz powoli, w górę — w dół — rzekł drżącym głosem major. — Rozbudzi się nasze dobre, słodkie dziecko, nasz *Sardo.* Musimy mu pomóc, jeżeli jesteśmy ludźmi i razem piliśmy i śpiewali. Tak, Riki, tak, gołąbko moja. Dobrze, i jeszcze raz, i jeszcze. I nie płacz, *carina,* nie płacz. Musimy przywrócić życie smutnemu *Sadro.*

Powiedzieli mu, że dziewczyna robi to coraz lepiej i że każdy by chciał być na jego miejscu. A oczy majora, pełne zmęczenia, łez i nieuleczalnego smutku, utkwione były w sufit i dym.

Brambilla patrzył, jak Pietro podnosi znad podłogi ręce i splata je na brzuchu, zgrzytając zębami. Gdy zaczął jęczeć, odezwała się też gitara Augusta:

Ma la canzone mia piu bella sei tu,

Sei tu la vita **...

Nawet Antonio się zdumiał. Spoglądał to na kapitana Brambillę, to na Pietra, to na tłum, który jeszcze oczekiwał czegoś niesamowitego. Dziewczyna kryła twarz w dłoniach i chusteczce. Augusto Napolitano uderzając w struny podchodził do dwóch cywilów, którzy znów zaczęli się obejmować. A Pietro wyciągał ręce, jakby chciał coś odnaleźć w ciemnościach, i cicho skomlał:

— *Marika mia*... Marika, moja smutna mateńko...

Kapitan Vittorio Brambilla skorzystał z nowego zamieszania i niemal niepostrzeżenie wymknął się na dwór.

Nasłuchiwali długo, pragnąc zrozumieć słowa, które odrywały się od warg Pietra. Niektórzy twierdzili, że mówi o matce, inni, że o siostrze. Kapitan Brambilla przysunął się jeszcze bliżej do jego stołu.

Pietro budził się. Porozpinany, mokry i rozczochrany, powoli wstawał. Było jednak oczywiste, że nikogo nie widzi i że nie mówił ani o matce, ani o siostrze. Rozglądał się, nikogo nie poznając. Nie wiedział, gdzie się znajduje ani co ma ze sobą zrobić. Czuł ręce kobiety na swoim ciele, parzyła go skóra, i cicho, niewyraźnie szeptał:

— Marika, życie moje...

— Ja tak łatwo nie ustępuję — powiedziała Marika trzymając głowę komendanta między nogami, na pewien dystans. — Gdybym tak łatwo dawała... to gdzie by ona była, biedulka.

— Daj albo zabij — szepnął oszołomiony Spartaco Allegretti.

— Dam ci i nie zabiję — powiedziała Marika z cichym śmiechem. — Ale najpierw musisz mi wyznać... wszystko musisz wyznać.

— Dobrze, już ci wyznaję. Wszystko.

— Więc wyznaj, że szaleńczo mnie kochasz — powiedziała dziewczyna głosem, w którym pobrzmiewał prawdziwy smutek.

— Wyznaję, że cię kocham — z jeszcze większym smutkiem powiedział pułkownik.

— I że od czasu, jak jesteś na wojnie, w Czarnogórze, w Grecji i Albanii, żadnej tak nie kochałeś — ciągnęła Marika łamiącym się głosem. — W gruncie rzeczy pragnęłabym, żebyś i we Włoszech żadnej tak szaleńczo nie kochał, ale to niemożliwe. Dla mnie liczy się czas, odkąd poszedłeś na wojnę, od wtedy...

Pułkownik oddychał coraz ciężej.

— Rozumiesz, Soartaco — zaczęła znowu dziewczyna — dla mnie wyznanie jest tak samo ważne jak miłość. Szczere wyznanie, *calabrone*, a nie żołnierskie łgarstwa. Dlatego uważaj, co i jak mówisz.

— Dobrze powiedziałaś — rzekł Allegretti, goniąc resztkami sił i cierpliwości. — Od czasu jak jestem na wojnie, od czasu jak wyzwoliliśmy Abisynię, Grecję, Albanię i Czarnogórę, żadnej tak nie kochałem... i z całą pewnością do końca życia nie będę tak kochał ani... prosił.

— Cudownie — powiedziała Marika, ucieszona jak dziecko. — Rozgłosimy to, cała Czarnogóra musi się dowiedzieć. I wszystkie wyzwolone kraje, wszystkie garnizony, nawet sam Sztab Główny!

— Teraz przynajmniej puść mnie — zaskomlił pułkownik. — Tylko troszeczkę, *cara.* Obiecałem ci i wyznałem wszystko, co chciałaś, więc zasłużyłem na to, żeby jej choć raz dotknąć.

— Obiecaj mi jeszcze — powiedziała dziewczyna, powoli oswobadzając jego rozpaloną głowę — że dziecko, które po tym na pewno przyjdzie, uznasz za swoje.

— Najdroższa — rzekł pułkownik z nieukrywaną rozpaczą w głosie — powiem ci coś, co do tej pory przed tobą taiłem: nie krzycz na mnie że mam już pięcioro — czworo to moje dzieci, jestem tego pewny prawie na sto procent, ale piąte... piąte mi podrzucili i zapisali na mój rachunek, a jest tak samo moje, jak wszystkich innych, Pięcioro, *carina*, wiesz, co to znaczy? Można powiedzieć — skandal!

— Szóste, jestem przekonana, będziesz najbardziej kochał — szepnęła Marika czując łzy na rzęsach. — Jeżeli urodzi się synek, poślemy go do szkół wojskowych, żeby został admirałem, całym w galonach i orderach.

Oczekiwała ostatniego wyznania. Dłużej nie miała siły się bronić; patrzyła, jak głowa opada mu coraz niżek. Zdawało jej się, że coś szeptał drżąc; albo tylko poruszał wargami.

— Obiecaj mi — powiedziała głosem, który szybko się załamał. — Obiecaj, kochany!

Odezwały się z kolei ciężkie działa. Eksplozja, jakiej Allegretti dawno nie słyszał, była tak potężna, że dom zatrząsł się w posadach. Zadrżały szyby w oknach, ustąpiły nawet drzwi. Wszystkie małe, lekkie przedmioty w pokoju zmieniły miejsce. Pułkownik, niemal oślepiony, nie wiedząc już dokładnie, między czyimi jest nogami, wywiesił język jak pies.

Koniec

Przełożyła:

DANUTA CIRLIĆ-STRASZYŃSKA

* Twoja droga Kiki.

** Ale najpiękniejszą moją pieśnią jesteś ty, Ty jesteś życiem...

Na tym kończymy druk fragmentów powieści, która ukaże się nakładem WYDAWNICTWA ŁÓDZKIEGO.

CIA (3)

„Amerykańska tajna służba (czyli CIA) mimo, że początkowo stworzona w trakcie wielkiej reorganizacji aparatu polityki zagranicznej w 1947 roku jako czysto informacyjny aparat (...), nie posiadający zbyt wielkiego znaczenia przy wyrokowaniu i podejmowaniu decyzji przez egzekutywę w zakresie polityki zagranicznej, bardzo szybko rozwinęła się w samodzielny, po części również samowolny, ale w każdym razie ważny operacyjny aparat amerykańskiej polityki zagranicznej. Ta dodatkowa i początkowo nie przewidywana funkcja przypadła CIA w udziale przede wszystkim dlatego, ponieważ wraz z rozpoczynającą się tak zwaną „zimną wojną" trafiła ona w pewnej mierze w próżnię zewnątrzpolitycznych możliwości, która nie została wypełniona przez tradycyjnych dyplomatów, zresztą zgodnie z ich przygotowaniem, i orientacją nie bardzo mogła być wypełniona".

Andrzej Blajer

INSTRUMENT CZWARTEJ SFERY

Tak pisze o roli i funkcjach Central Intelligence Agency zachodnioniemiecki politolog, Ekkehart Krippendorff, który w swym obszernym studium zatytułowanym: „Die Amerikanische Strategie" (Strategia amerykańska) analizuje czynniki formalno-instytucjonalne oraz uwarunkowania społeczne wywierające wpływ na proces kreowania współczesnej polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych. Autor wymienionego studium poddaje gruntownej analizie (trzeba przy tym dodać: krytycznej i realistycznej) działalność zwłaszcza tych instrumentów amerykańskiej „foreign policy", które składają się na jej tzw. „czwartą sferę" i zarazem odgrywają coraz większą rolę na arenie międzynarodowej, w walce z tym wszystkim, co postępowe i demokratyczne. Takim właśnie instrumentem, obok instytucji o charakterze propagandowym, są tajne służby a w szczególności Centralna Agencja Wywiadowcza.

Kontynuując myśl zawartą w zacytowanym wyżej fragmencie, spróbujmy znaleźć odpowiedź na nurtujące tak wielu ludzi pytanie: w czym tkwiło źródło owego fenomenu, któremu na imię CIA? Patrząc bowiem na sprawę historycznie, jest faktem niewątpliwym, iż do chwili powstania Office of Strategic Services (OSS), który po wojnie przekształcił się w Central Intelligence Agency, USA nigdy nie posiadały podobnej instytucji. Było to zresztą logicznym następstwem polityki izolacjonizmu, uprawianej przez Stany Zjednoczone od końca ubiegłego wieku, toteż do konieczności istnienia odpowiednio silnej i sprawnej tajnej służby jako instrumentu ekspansji globalnej nie przywiązywano dostatecznej wagi. Nic więc dziwnego, iż w momencie przystąpienia USA do I wojny światowej cała amerykańska służba wywiadowcza składała się zaledwie z dwóch oficerów i dwóch pracowników personelu technicznego. Jeszcze w 1929 roku ówczesny sekretarz stanu Henry Stimson polecił rozwiązać wydział deszyfracji Departamentu Stanu mówiąc: **„Panowie, nie czytajcie korespondencji innych ludzi".** Również pod koniec II wojny światowej wielu Amerykanów raczej niechętnie odnosiło się do planów rozbudowy tajnej służby. Swoje stanowisko argumentowali oni obawą przed pojawieniem się „nowego gestapo lub czegoś doń podobnego". O paramilitarnych akcjach za granicą, bądź działalności szpiegowskiej na terenie USA, nie było jeszcze w ogóle mowy.

Nie było mowy wówczas, w pierwszych dwóch latach po wojnie, bo oto już w 1949 roku CIA uzyskała taką autonomię, jakiej nigdy dotąd nie posiadał żaden z amerykańskich organów władzy. **„Central Intelligence Agency Act"** zwalniał bowiem CIA od obowiązku składnia wszelkich zeznań przed Kongresem jak i zatwierdzania przezeń budżetu agencji, którym jej dyrektor mógł dysponować w sposób praktycznie nieograniczony. Tak oto CIA rozpoczynała żyć własnym życiem, które odtąd przez wiele lat miało pozostać jedną z jej najpilniej strzeżonych tajemnic. Wkrótce też niemal w każdym kraju świata pojawiły się niezwykle operatywne ekspozytury amerykańskiej tajnej służby. Cel ich działania był jasny — popierać wszystko i wszystkich, którzy gotowi są służyć sprawie antykomunizmu.

Jest faktem bezspornym, iż wypłynięciu CIA na szerokie wody pomogło rozpętanie przez USA zimnej wojny, ale żywiołowej ekspansji agencji w świecie sprzyjał także jeszcze jeden istotny czynnik. Otóż, kiedy na początku lat pięćdziesiątych Centralna Agencja Wywiadowcza przestała być tylko organizacją zajmującą się koordynacją, stając się świadomą swej coraz bardziej rozszerzającej się i samodzielnej roli w kształtowaniu amerykańskiej polityki globalizmu, po prostu natrafiła na próżnię. Przyczyną było to, iż aparat służby dyplomatycznej USA zupełnie nie nadawał się do prawidłowego spełniania swych funkcji, które wynikały z nowej sytuacji politycznej. I właśnie w przekroczeniu owej bariery przystosowania tkwiła szansa CIA. A jak to wykorzystano? Przede wszystkim zasygnalizowane poprzednio możliwości, wobec istniejącej próżni, mogły teraz rozwinąć się w sposób dynamiczny, co też nastąpiło i w rezultacie czego CIA stała się aparatem zajmującym się nie tylko oceną, ale w coraz większym stopniu również aparatem operacyjnym. Do utrzymania i dlaszego umocnienia tej tendencji przyczyniła się polityka obu braci Dullesów, z których Allen Welsh pełnił funkcję dyrektora CIA, zaś John Foster zajmował stanowisko sekretarza stanu. Ten ostatni traktował aparat zagraniczny Central Intelligence Agency, jako swego rodzaju pomocniczy i dodatkowy w stosunku do służby dyplomatycznej. Niebawem też okazało się, iż w pewnych placówkach zagranicznych personel CIA przewyższał niekiedy liczebnie personel dyplomatyczny.

Rozszerzenie ram działalności agencji o zadania i aspekty operacyjne musiało z konieczności doprowadzić do zmiany profilu rekrutacji personelu, wiadomo było bowiem, iż innymi kryteriami trzeba się będzie kierować przy doborze ludzi do pracy wywiadowczej za granicą, a innymi przy doborze dla potrzeb badań i oceny. Poza tym trzeba jeszcze pamiętać, iż „boom" w rozwoju CIA przypadł na okres ery McCarthy'ego i kulminacji zimnej wojny, co nie pozostało bez wpływu na kryteria rekrutacji pod względem ideologicznym. Toteż od wszystkich funkcjonariuszy agencji, bez względu na ich pochodzenie społeczne, należało oczekiwać mniej lub bardziej jednoznacznego nastawienia antykomunistycznego, które w konsekwencji musiało znaleźć swoje odzwierciedlenie w sposobach oceny sytuacji i metodach działania. Dodatkowo jeszcze, co doskonale dostrzegł Roger Hilsman w swej pracy: **„Strategic Intelligence and National Decisions"**, personel CIA, obok prawicowej i antykomunistycznej orientacji, posiada pewne cechy specyficznie amerykańskie, a których najlepszym przykładem może być zwłaszcza ów wyróżniający się „wrodzony amerykański optymizm" wraz z zaufaniem do własnej potęgi, aby wpływać albo zgoła kierować tokiem wydarzeń w obcych krajach, o ile tylko posiada się wystarczające informacje i ma chęć oraz zapał, żeby coś robić. Toteż dominują — jak pisze Hilsman — dwie zasady: **„niewzruszona wiara w szpiegostwo i coraz większe podkreślanie znaczenia badań i analiz".** W rezultacie prowadzi to u osób działających, co jest w pewnej mierze paradoksem, do **„uczucia antyintelektualizmu oraz skłonności do aktywizmu i symplifikacji".** W praktyce oznacza to, jak stwierdza inny autor J. L. McCamy („The Administration of American Foreign Affairs"), że amerykańska tajna służba **„ma zwykle zbyt mało zrozumienia dla historii i kultury innych narodów"** i zanadto angażuje się w krótkofalowe akcje bez długofalowych perspektyw — w każdym razie zawsze z owym wpojonym ogólnym, ideologicznym nastawieniem, by umacniać i chronić prawicowe antykomunistyczne siły bądź grupy.

Potwierdzenie tych hipotez można znaleźć, dokonując oceny aktywnych operacji CIA, przy czym jest charakterystyczne, iż niemal wszystkie reprezentują stosunkowo jednolity schemat udzielania pomocy lokalnym konserwatywnym grupom społecznym, dążącym do zachowania status quo, często nawet grupom reakcyjnym o charakterze faszystowskim.

Operacje te zazwyczaj noszą nazwę „specjalnych", pod którym to mianem należy rozumieć tajną akcję polityczną, przeprowadzaną przez agentów CIA i stanowiącą interwencję w sprawy wewnętrzne innych państw i narodów. Konkretyzując, celem tych działań jest zwykle dążenie do utrzymania u władzy ludzi wygodnych dla polityki USA w danym kraju, bądź oczywiście obalenie rządów traktowanych z punktu widzenia interesów Ameryki jako szkodliwe, co odnosi się zwłaszcza do rządów o zabarwieniu lewicowym. Widać więc wyraźnie, że rola czynnika nakazującego przypada tu rządowi Stanów Zjednoczonych, zaś egzekutora — instrumentowi jego polityki zagranicznej, tj. tajnej służbie. Charakter tych działań jest oczywiście silnie zróżnicowany i każdorazowo wynika z konkretnej sytuacji, toteż w ramach operacji specjalnych mieszczą się zarówno niewiele znaczące akcje dywersyjne, jak również zamachy stanu, bądź nawet zbrojne inwazje. Niektóre z tych akcji sygnalizowaliśmy w dwóch poprzednich artykułach, w obu przypadkach ukazaliśmy bliżej typowe metody i środki, jakimi CIA posługuje się w swej działalności zagranicznej. Spośród innych operacji, które w sposób charakterystyczny ilustrują wymienione wyżej cechy, można przypomnieć następujące:

- **akcje zrzucania na terytorium ChRL w latach 50-tych amerykańskich i taiwańskich skoczków spadochronowych, mających za zadanie prowadzenie działań sabotażowych, paraliżowanie przedsięwzięć gospodarczych, uprawianie wrogiej propagandy;**
- **obalenie w 1953 roku premiera Iranu, Mohammeda Mossadegha, w odwet za nacjonalizację rafinerii naftowej w Abadanie. Agenci CIA przygotowali plan odsunięcia od władzy Mossadegha, a następnie, po przedwczesnym ujawnieniu ich zakusów, „zorganizowali" masowe demonstracje ludności Teheranu przeciwko osobie premiera;**
- **obalenie siłą w 1954 roku rządu Gwatemali, kierowanego przez prezydenta o orientacji lewicowej, Jacobo Arbenz Guzmána przez specjalnie wyszkolone i uzbrojone oddziały CIA. Akcja ta była znamienna o tyle, że została przeprowadzona przy wyraźnej współpracy prezydenta USA i Departamentu Stanu, również jak w przypadku poprzednim w odwecie za nacjonalizację, tym razem jednak amerykańskiego koncernu „United Fruit Company"**
- **popieranie niedobitków armii Czang Kai-szeka przebywających na terytorium Birmy, na początku lat 50-tych, w walce z jednostkami sił birmańskich;**
- **udział w pozbawieniu władzy w 1966 roku prezydenta Indonezji Sukarno oraz w zainscenizowaniu masakry setek tysięcy komunistów indonezyjskich;**
- **przygotowywanie i przeprowadzanie lotów zwiadowczych samolotów U-2 nad terytorium ZSRR oraz ChRL;**
- **akcja sfabrykowania wyników laotańskich wyborów w 1960 roku na korzyść przywódcy prawego skrzydła, generała Phoumi Nosavana i zainscenizowanie popierających go lokalnych powstań, itd.**

Na osobny rozdział zasługują akcje zorganizowane przez CIA w czasie kolejnych etapów konfliktu wietnamskiego, kambodżańskiego, wojen bliskowschodnich, czy niedawnej wojny domowej w Angoli. Oczywiście są to tylko najbardziej jaskrawe przypadki z repertuaru form działalności Centralnej Agencji Wywiadowczej. Jest jednak charakterystyczne, że wszystkie wyżej wspomniane jak i poprzednio omówione akcje wiąże jednak zasadnicza cecha wspólna; ta mianowicie, że będąc w swym schemacie bardzo do siebie podobne, są nastawione na popieranie przede wszystkim konserwatywnych aż do skrajnie prawicowych grup politycznych i społecznych, zarówno ze względu na powszechne ideologiczne predyspozycje tajnej służby USA w ogóle, jak również ze względu na personalnopolityczne i uwarunkowane rekrutacją związki w szczególności. Jak zauważa Ekkehart Krippendorff:

„owa ideologiczna predyspozycja, rzadko manifestuje się w sposób tak bezpośredni, jak to miało miejsce w przypadku Johna McCone'a, następcy Dullesa na stanowisku dyrektora CIA, który posiadał ponad milion dolarów w akcjach „Standard Oil of California", firmy aktywnie operującej w Arabii Sudyjskiej, Bahrejnie, na Sumatrze i w Wenezueli. Tylko jeden jedyny senator (Joseph S. Clark) sprzeciwiał się z tego powodu nominacji McCone'a: „Kiedy człowiek zostanie uwikłany w skomplikowaną politykę Środkowego Wschodu i Ameryki Łacińskiej, jak to ma miejsce w przypadku dyrektora CIA, to wówczas nie powinien on być poważnie zainteresowany naftą tych obszarów".

Inną, specyficzną cechą operacji specjalnych, jest to, że planowane są one przeważnie bez nawiązywania współpracy z Departamentem Stanu, a niejednokrotnie nawet bez jego wiedzy, w odróżnieniu — kontakty z Pentagonem w tym zakresie są już o wiele ściślejsze i to także na niższych szczeblach. Toteż nawet jeśli amerykańskie placówki dyplomatyczne poprzez nominacje łącznika między ambasadorem a ekspozyturą CIA, były ogólnie zorientowane w planach działań tej ostatniej to i tak nie znały żadnych szczegółów, dotyczących zarówno przeprowadzanych operacji jak i biorącego w nich udział personelu. Było to tym bardziej możliwe, ponieważ ekspozytury CIA dysponowały własnymi środkami komunikacji i korzystały z bezpośrednich kanałów łączności z centralą w Waszyngtonie, niezależnych od ambasady. Posługiwano się przy tym systemem specjalnych haseł, które miały utrudnić rozszyfrowanie treści przesyłanych informacji nawet przez agendy rządowe USA. I tak na przykład Stany Zjednoczone określano hasłem ODYOKE, Departament Stanu — ODACID, CIA — KUBARK, osoby leganie wyjeżdżające do ZSRR — REDSKIN, a hasło ISOLATION oznaczało specjalny ośrodek szkoleniowy Camp Peary w Virginii, w którym kursanci CIA zdobywali niezbędne kwalifikacje dla ich przyszłej pracy dywersyjno-szpiegowskiej.

Pomimo licznych zapewnień składanych przez czołowych przedstawicieli rządu i dyplomacji amerykańskiej, iż w pełni kontrolują akcje CIA za granicą, dochodzenie prowadzone niedawno przez komisję prezydencką Rockefellera i senacką — Churcha ujawniło ponad wszelką wątpliwość, że nie było o tym w ogóle mowy.

Tak oto poruszaliśmy dalszą specyficzną cechę operacji CIA — być może najważniejszą: to jest daleko posuniętą autonomię agencji, względnie brak dokumentacji i kontroli przy ocenie ważnych okoliczności, propozycjach akcji i ich realizacji. Innymi słowy: w przypadkach krytycznych lokalnych zamieszek, potencjalnych albo aktualnych przesunięć w zakresie sprawowania władzy pomiędzy grupami, które pod względem zewnętrzno- i wewnętrznopolitycznej orientacji zajmują stanowiska przeciwstawne wobec amerykańskich strategicznych i ekonomicznych interesów, jak również w sytuacjach niepewnych, które stwarzają możliwość i potrzebę wywierania wpływu z zewnątrz, władza wykonawcza USA często podejmuje swoje decyzje na podstawie jedynego źródła informacji — CIA, która ze swej strony z uwagi na interesy oraz personalne i ideologiczne powiązania jest nie tylko komórką informującą, lecz także realizuje podjęte decyzje. Właśnie takie działania charakteryzowały amerykańską interwencję w Dominikanie w 1965 roku, kiedy to prezydent Johnson podjął swoją decyzję głównie na podstawie raportów CIA **o „domniemanym komunistycznym charakterze konstytucjonalistów".** Podobnie rzecz się miała w przypadku zakończonej fiaskiem interwencji na Kubie w kwietniu 1961 roku, kiedy to znów przypadł CIA monopol na dostarczenie informacji oraz wykonanie operacji.

Wreszcie, co jest również niezwykle charakterystyczne przy analizie schematu prowadzenia operacji specjalnych, zwłaszcza w odniesieniu do konkretnej sytuacji społecznej i politycznej oraz specyficznych warunków kraju, w którym są one podejmowane: CIA zawsze wykazuje tendencje do występowania w sposób operatywny tam, gdzie społeczno-polityczna sytuacja przypominająca wojnę domową jest płynna, gdzie poparcie stosunkowo nielicznych, ale mających ambicje piastowania władzy grup, obiecuje sukces w formie bezpośredniego przejęcia władzy. Analogiczne działanie ze strony agencji daje się zaobserwować również tam, gdzie wpłynąć można na wynik wyborów, bądź gdzie do stylu życia politycznego należą pucze, lub tam, gdzie politycznie nastawione frakcje militarne stoją naprzeciw siebie i pomoc materialna dostarczona z zewnątrz może przechylić w sposób istotny szalę na korzyść jednej z nich. Wreszcie do sfery intensywnego oddziaływania CIA należą te kraje, w których zadomowiły się wojskowe i nie tylko wojskowe dyktatury, a które, chcąc utrzymać swą wewnętrzną władzę, posługują się rozbudowanym aparatem ucisku w postaci tajnej policji, szkolonej właśnie przez CIA i ściśle z nią współpracującej.

Konsekwencją tych tendencji jest więc fakt, iż Central Intelligence Agency okazuje się szczególnie operatywna i aktywna (i potencjalnie także skuteczna) — społecznie, ekonomicznie i ideologicznie nieustabilizowanych państwach Ameryki Łacińskiej, a zwłaszcza Środkowej, Azji południowo-wschodniej oraz niektórych krajach afrykańskich. Podsumowując zatem rozważania zawarte w niniejszym szkicu na temat roli i funkcji Centralnej Agencji Wywiadowczej jako instrumentu amerykańskiej polityki zagranicznej, jedno można stwierdzić z całą pewnością i to niezależnie od skuteczności specjalnych operacji CIA: samo istnienie w ramach „foreign policy" Stanów Zjednoczonych tego rodzaju tajnego instrumentu oznacza negatywny czynnik obawy, który jako taki stanowi pełną stałą w dzisiejszej polityce światowej, a zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych. Jest bowiem faktem niezaprzeczalnym, że wszystkie akcje agencji, zarówno zakończone powodzeniem jak i fiaskiem, doprowadziły do szeroko rozpowszechnionego braku zaufania i nieufności wobec możliwego amerykańskiego udziału również w tych kryzysach i wewnętrznych, lokalnych walkach o władzę, gdzie trudno dopatrywać się udziału CIA. Można jednak zadać sobie pytanie czy przypadkiem cena za kilka udanych operacji, płacona w formie powszechnego zatrucia stosunków międzynarodowych, nie nie jest na dłuższą metę zbyt wysoka, jako że wiadomo, iż w polityce zagranicznej trudno jest znaleźć coś również trudnego do naprawienia, jak w ten sposób poderwane zaufanie.

SPORT

DOBRY POCZĄTEK

Jacek Gmoch nie ma i nie będzie miał łatwego życia. Jest chyba na to przygotowany. Świadomy tego, w którym momencie wziął odpowiedzialność za dalsze losy polskiej piłki nożnej, jak i tego, że jego postępowanie, odmienne od tradycji, budzić będzie wiele różnych komentarzy i nieporozumień. I wzbudziło.

Oto felietonista tygodnika „Razem" — Andrzej Tumialis roni krokodyle łzy nad delikatnością sportowych trenerów, którzy odeszli, zrobiwszy przedtem swoje, podejrzewając ich niezbyt delikatnie, że powodem tego było to, „żeśmy ich po sukcesach za nisko nieśli na rękach". Zapomniał Andrzej Tumialis, że niektórzy z tych delikatnych trenerów swoje odejście zapowiedzieli jeszcze przed Olimpiadą w Montrealu, w sytuacji, kiedy niepewni byli jej rezultatów. A poza tym młody felietonista młodzieżowego tygodnika nie rozumie jeszcze, że umieć odejść w porę to wielka sztuka, która nie powinna również być obca ani wymienianym przez niego dyrektorom hut, ani dyrektorom PGR.

Bądźmy jednak wyrozumiali. Siła przyzwyczajenia jest ogromna. Ugięli się przed nią nawet wytrawni publicyści „Sportowca", relacjonując, niby to obiektywnie, obawy i niepokoje kibiców oraz sportowej opinii publicznej przed nowinkami, jakie demonstruje w swoich poczynaniach Jacek Gmoch. Jakieś metody naukowe, nocne treningi, testy i sprawdziany. Kto to słyszał? A relacjonowali te swoje obawy jeszcze przed meczem w Porto, ot tak na wszelki wypadek, aby w razie klęski móc później napisać: a myśmy to przewidzieli, a myśmy mieli obawy, a myśmy pisali.

Jerzy Górzański w „Sportowcu" („Mgła nad Porto") zastanawia się, czy bardziej korzystne są subiektywne metody oceny możliwości piłkarza, czy obiektywne i łaskawie godzi się, że Jacek Gmoch ma prawo do własnych metod szkoleniowych. Tego typu pogląd jest tyle wdzięczny, co i szkodliwy. Jest on wszakże tradycyjny. Do tej pory bowiem jakże często stawiano na człowieka, a nie pytano go: — jakie ty masz bracie koncepcje? I oto nagle zapanowało w szeregach kibiców poruszenie. Patrzcie, trener a ma własne koncepcje. Słyszałam nawet i taką opinię, że już w tym PZPN zupełnie zgłupieli, bo biorą doktora do szkolenia piłkarzy. Niebywale wesołe poglądy zaprezentowało ostatnio wielu kibiców.

A w Porto nie było mgły, był tylko deszcz. Wcale nie zachwycili mnie Polacy w Porto. Nie był to ani ciekawy mecz, ani nie stał na zbyt wysokim poziomie. Wiele było chaosu, szamotaniny. Ileż zmarnowanych okazji. Tomasz Hopfer tuż po meczu doszedł do wniosku, że gdyby wszystkie okazje nasi piłkarze wykorzystali byłoby 5:0. Gdyby jednak również piłkarze portugalscy wykorzystali swoje okazje, to byłoby 5:3. Dobrze więc, że 2:0 jest faktem. Wygraliśmy mimo, że nie było tak łatwo, chociaż patrząc jak najbardziej sprawiedliwie, portugalski przeciwnik nie był znów tak trudny i niebezpieczny.

Jeśli mimo wszystko patrzę na Porto z pewnym optymizmem, to nie dlatego, że wygraliśmy 2:0, ale dlatego, że po pierwsze — widziałam tam koncepcję gry, która była dość konsekwentnie realizowana, a po drugie — dlatego, że dobrze spisali się debiutanci i że nawet weterani odnaleźli się na boisku. I okazało się nagle, że posiadamy na ławce rezerwowych takiego gracza, który potrafi w decydującym momencie wbiec na boisko i przyczynić się do zmiany wyniku. Taką rolę w Porto spełnił Zbigniew Boniek.

Dla tych, którzy nie mogą wyzwolić się od przyzwyczajeń i tradycyjnych rozwiązań, koncepcja gry w Porto, jaką zaprezentował Jacek Gmoch może wydać się dziwna. Była jednak skuteczna. Zaskoczyła przeciwnika, zdezorganizowała jego atak i pozwoliła wielokrotnie zagrozić bramce portugalskiej drużyny. Pokazała też naszym trenerom braki, jakie jeszcze ma nasz zespół. W moim przekonaniu — a podkreślał to też wielokrotnie telewizyjny sprawozdawca Andrzej Zydorowicz — nad wyraz udanie wypadł debiut Stanisława Terleckiego. Okazało się jednak, że ten piłkarz nie ma partnerów w swoich rajdach. Ale jest to chyba sprawa do nadrobienia.

Przed polską reprezentacją wiele jeszcze pracy. Początek był trudny, ale udany. Oby tylko nie spocząć na laurach. Najbardziej pocieszający jest fakt, że naszą reprezentacja nie cierpi obecnie na brak kandydatów do gry, że jest w czym wybierać, że nawet trzy żółte kartki nie przerażają. To już jest oznaką wyraźnego postępu.

Naszą kadrę piłkarską czeka jeszcze mecz z Cyprem. Duńczycy wysoko, bo 5:1 pokonali piłkarzy Cypru. Nie wolno jednak tego meczu zlekceważyć. Wszystko wydaje się wskazywać, że o losach naszej grupy eliminacyjnej zadecyduje dopiero bezpośrednie spotkanie Polaków z Duńczykami, ale pamiętajmy o każdym punkcie, o każdej bramce, którą jeśli można to trzeba strzelić. Jacek Gmoch nie ma i nie będzie miał łatwego życia, gdyż wiele jeszcze trzeba zrobić, aby kibice przed każdym meczem nie musieli wyłamywać sobie palców ze zdenerwowania. Wiele do zrobienia mają też piłkarze, którym przyjdzie grać w reprezentacji.

BOGDA MADEJ

KOSMOS

TUNGUSKI FENOMEN

Meteoryt? Kometa? Zagadka, która od blisko siedemdziesięciu lat fascynuje uczonych i opinię publiczną świata. Tunguski fenomen... Wszystko wskazuje na to, że Tunguski Meteoryt był niewielką kometą, która uległa zniszczeniu nim dotknęła powierzchni Ziemi.

Meteoryt spadł w Środkowej Syberii w 1908 roku, w pobliżu rzeki Chuszmy, dopływu Podkamiennej Tunguski, wpadającej do Jeniseju. Gigantyczny wybuch nosił wszelkie cechy katastrofy żywiołowej i tylko dzięki temu, że nastąpił w mało zaludnionym podówczas rejonie Syberii, nie spowodował ofiar w ludziach i tragicznych spustoszeń.

Tę gwałtowną eksplozję i ogromny słup dymu widzieli mieszkańcy Kireńska nad rzeką Leną, z odległości 450 kilometrów. Żeby zobaczyć dym z takiej odległości musiał się on wznieść na wysokość co najmniej dwudziestu kilometrów. W Wanowerze, niewielkim osiedlu, położonym 60 kilometrów od epicentrum wybuchu, fala uderzeniowa spowodowała dużo zniszczeń. Wydawało się — czytamy w książce prof. B. Woroncewa-Wieljaminowa „Wszechświat" — że płomień ogarnął przez chwilę połowę nieba. Wybuch widziano, choć był to dzień słoneczny, z odległości setek kilometrów. Fala powietrzna dwukrotnie obiegła kulę ziemską: podobną zaobserwowano podczas wybuchu Krakatau w 1883 roku, któremu towarzyszyła podobna gigantyczna eksplozja i zniszczenie wyspy u podnóża wulkanu. Dodajmy jeszcze, iż tunguski fenomen jest jednym tego rodzaju wydarzeniem, które odbyło się w czasach nowożytnych, poprzednie, na szczęście, miały miejsce w starożytności.

W jednym z ostatnich numerów „Les Nouvelles de Moscou", redakcja czasopisma zamieszcza odpowiedź pracownika naukowego Komitetu Badań Meteorytów Akademii Nauk ZSRR, Igora Zotkina, na list czytelnika z Australii — A. Sholdsa. Autora listu interesuje, jakiego rodzaju ciałem niebieskim było to, które spadło w syberyjskiej tajdze. Odpowiedź I. Zotkina, utrzymana w konwencji popularno-naukowej, jest kwintesencją dotychczasowych badań opartych na współczesnych metodach naukowych w tej dziedzinie i zmierza do wyjaśnienia nie rozwiązanej jeszcze w całości zagadki Tunguskiego Meteorytu. Ze względu na interesującą treść tej problematyki, omówienie odpowiedzi I. Zotkina zamieszczamy z niewielkimi skrótami.

* * *

Blisko 500 prac naukowych, niemal tyleż artykułów popularno-naukowych i informacji opublikowano na temat zagadki Meteorytu Tunguskiego. Problem ten nie przestaje interesować uczonych i opinii publicznej. Są to jednak przypuszczenia, często niezwykłe, pasjonujące, sensacyjne, znane już zresztą, ale nie sprawdzone z faktami. Studiując od lat tunguski fenomen, znam dobrze perypetie tej epopei od ponad pięćdziesięciu lat i jestem przekonany, iż fakty, które posiadamy, mogą być wyjaśnione przy pomocy nowoczesnych metod naukowych. Być może sprawi to pewien zawód miłośnikom science fiction.

Tunguski Meteoryt spadł w błotnistej tajdze niedaleko rzeki Tunguska Podkamienna dnia 30 czerwca 1908 roku o godzinie 0 m. 18 (wg czasu Greenwich). Zaczynało tu akurat świtać. Setki naocznych świadków, od Jeniseju aż po Lenę, obserwowało ogniste ciało niebieskie, a po pewnym czasie rozległa się potężna eksplozja. Kłęby dymu uniosły się wysoko ponad tajgę. Potężny wstrząs targnął obszarem o średnicy co najmniej tysiąca kilometrów. W miejscowościach położonych najbliżej centrum katastrofy, powietrzna fala uderzeniowa wstrząsnęła domami, ziemią, wzburzyła wody Angary. Mówiono o katastrofalnych zniszczeniach w tajdze. Poruszenie wśród miejscowej ludności oraz uwaga, jaką poświęciła temu lokalna prasa, świadczyły o gigantycznej skali tego wydarzenia. Niestety, poszukiwania naukowe w miejscu upadku meteorytu podjęto dopiero w dwadzieścia lat później.

Zjawiska towarzyszące temu niezwykłemu fenomenowi natury zaobserwowano nie tylko na Syberii. Barografy w Niemczech, Anglii, Ameryce, Indonezji zarejestrowały falę powietrzną, która okrążyła całą kulę ziemską. Poza tym w całej Europie zaobserwowano zdumiewająco widny zmierzch z 30 czerwca na 1 lipca 1908 roku. Było zupełnie widno nawet w nocy.

Współcześni oraz świadkowie tego unikalnego zjawiska nie mieli wątpliwości, iż na Ziemię spadł bardzo duży meteoryt. Jego odszukanie było głównym zadaniem pierwszej ekspedycji naukowej, podjętej przez Akademię Nauk ZSRR w 1927 roku. Jednak nie znalazła ona meteorytu, a nawet nie odkryła śladów jego zderzenia z Ziemią, niemniej poszukiwania te, z kilkoma przerwami, prowadzono aż do wybuchu drugiej wojny światowej. W owym czasie większość uczonych była skłonna przypuszczać, iż gigantyczny Tunguski Meteoryt eksplodował w momencie zetknięcia z Ziemią, nie pozostawiając po sobie śladów. Dlatego też i nie odkryto szczątków meteorytu.

Po wojnie tunguski fenomen znów wzbudził ogromne zainteresowanie. Podjęto poszukiwania, tym razem oparte na solidnej bazie naukowej, bowiem uczeni posiedli głębszą wiedzę o niektórych właściwościach wielkich eksplozji, poznali lepiej zjawiska towarzyszące ciałom poruszającym się w atmosferze z szybkością kosmiczną, jak również strukturę meteorytów i komet.

Przede wszystkim ogólny charakter zniszczeń w drzewostanie na miejscu upadku meteorytu nasuwał myśl o potężnym wybuchu nuklearnym w powietrzu. Mapy opracowane przez kolejne ekspedycje wskazywały, iż drzewa zostały powalone przez falę uderzeniową w promieniu od 20 do 30 kilometrów, na powierzchni 2.200 kilometrów kwadratowych. W epicentrum eksplozji wykryto ślady pożaru. Sądząc po wielkości powierzchni dotkniętej zniszczeniami, siłę eksplozji można określić w granicach 20 megaton trotylu.

Właśnie ta kolosalna energia posłużyła jako tworzywo dla fantastycznej wersji tego wydarzenia — katastrofy pozaziemskiego statku kosmicznego. W różnych powieściach i książkach science fiction przedstawiono to jako wniosek naukowy, co dezorientowało wielu czytelników zarówno w Związku Radzieckim, jak i poza jego granicami. W rzeczywistości nie wykryto oznak autentycznej eksplozji nuklearnej w miejscu upadku meteorytu. Nie ma także podstaw wersja o podwyższonej radioaktywności.

Jeśli zaś chodzi o źródło ogromnej energii Tunguskiego Meteorytu, to nie trzeba go daleko szukać, chodzi tu bowiem o energię kinetyczną, to jest o energię ruchu masy meteorytu, lecącego z szybkością kosmiczną. Obliczenia wskazują, iż taką energię może wytworzyć meteoryt o średnicy od 50 do 25 metrów, poruszający się z szybkością 30 kilometrów na sekundę. Kiedy następuje zderzenie meteorytu z przeszkodą, jego energia przeistacza się w ciepło i następuje potężna eksplozja. Na powierzchni Ziemi odkryto już dziesiątki kraterów, powstałych przy eksplozjach tego rodzaju (na szczęście w starożytności).

Kratery powstałe w wyniku eksplozji meteorytów klasycznych, o średnicy kilku kilometrów, odkryto w ostatnich latach w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Australii, Związku Radzieckim i gdzie indziej. Jednakże w przypuszczalnym miejscu upadku Tunguskiego Meteorytu nie ma krateru, którego rozmiary odpowiadałyby ogólnej energii eksplozji. Ustalono już eksperymentalnie, że eksplozja na powierzchni równa 20 megatonom tworzy krater o średnicy ponad jednego kilometra.

W tajdze tunguskiej nie ma krateru, więc eksplozja nastąpiła najwyraźniej w powietrzu i to właśnie jest treścią wyjaśnienia naukowego.

Meteoryty posiadają zazwyczaj masy kamieniste lub żelaziste i trudno oczekiwać od nich eksplozji w atmosferze, bowiem w standardach kosmicznych ich szybkość (20 do 30 km/sek) jest niewielka.

Podobnie jak każda zagadka naukowa, tak i ta stała się źródłem wielu hipotez. Nie ma chyba odkryć dokonanych w ostatnich latach, których by nie wprzęgnięto do wytłumaczenia natury Tunguskiego Meteorytu.

W 1946 roku autor książki o tematyce science fiction, A. Kazancew, obstawał przy idei katastrofy pozaziemskiego statku kosmicznego. W 1948 roku amerykański matematyk, L. Le Paz, wyraził przypuszczenie, że było to rozbicie antymaterii. Wielcy uczeni, tacy jak W. Libby, C. Altury i C. Cowan podtrzymali tę hipotezę w 1965 roku. W 1964 roku pisarz G. Altow i W. Żurawliowa wysunęli myśl wiązki promienia laserowego, przesłanego na Ziemię przez jakąś pozaziemską cywilizację. W 1973 roku A. Jackson i M. Ryan wyrazili przypuszczenie, iż fenomen tunguski z 1908 roku spowodowała czarna dziura. W pracy opublikowanej w 1975 roku A. Ben-Menhem sądzi, iż Tunguski Meteoryt był niezidentyfikowanym obiektem latającym (OVNI).

Z hipotez bardziej „ziemskich" wysuwano takie jak: wybuch gazu unoszącego się z błot, kulistej błyskawicy, wyładowania elektrycznego jonosfery na Ziemi itd.

Nie zachodzi potrzeba analizowania wymienionych hipotez. Jeśli hipoteza nie może być zweryfikowana faktami, jest bezpłodna.

Hipoteza, która dziś najbardziej odpowiada faktom, zakłada, że masa Tunguskiego Meteorytu była luźnym zbiorowiskiem ciał, nietrwałym, zawierającym dużą ilość substancji lotnych podobnie jak jądra komet. Ta idea nie jest nowa. Od roku 1927 L. Kulik, który pierwszy zabrał się do badania tunguskiego fenomenu, łączył go ze znaną astronomom kometą Pons-Winneckea. W 1934 roku angielski geofizyk F. Whipple i astronom radziecki I. Astapowicz, poruszając sprawę anomalii zmierzchu pisali, że 30 czerwca 1908 roku Ziemia zderzyła się z małą kometą. W latach 50-tych amerykański astronom F. Whipple wykazał, że jądra komet są zbiorowiskiem lodu, zamrożonych gazów — metanu, dwutlenku węgla oraz wody ze słabymi domieszkami cząsteczek stałych. Ten model doskonale służy do interpretacji tego fenomenu w basenie tunguskim.

Istotnie, przypuśćmy, że 30 czerwca 1908 roku Ziemia zderzyła się z małą kometą. Jej jądro miało średnicę wielu dziesiątków metrów, ciężar jej masy sięgał kilkuset tysięcy ton. W odróżnieniu od meteorytów, komety posiadają szybkość zderzenia rzędu 40 km/sek. Jak potwierdzają świadkowie tunguskiego fenomenu, kometa przybyła od strony Słońca, przeto nie można jej było zauważyć wcześniej.

Kiedy ta kometa z lodu (lub ze śniegu) weszła w gęste warstwy atmosfery, dostrzeżono ją na Syberii w postaci ogromnego bolidu. Ogon komety, uformowany z pyłu, opadł chyba w rejonach europejskich. Uderzeniowa fala powietrzna wytworzyła ruch przemieszczający się z szybkością ponaddźwiękową do dolnych warstw atmosfery. Komuś stojącemu na ziemi wydało się to wstrząsem spowodowanym eksplozją; jest to zjawisko, które występuje na przykład po przelocie samolotu ponaddźwiękowego. Powietrze zgęszczone przez masę meteorytu nagrzewa się do dziesiątków tysięcy stopni, sama masa gwałtownie wyparowuje i rozbłyska jaskrawym światłem. Promieniowanie może spowodować pożar lasu. Na wysokości od 5 do 10 kilometrów opór powietrza i nagrzanie są tak ogromne, że niszczą szybujące ciało niebieskie. Przekształca się ono w pył lub w parę. W obu przypadkach powierzchnia przekroju poprzecznego ciała powiększa się gwałtownie. Następuje błyskawiczne hamowanie przez zderzenie z powietrzem i kolosalna energia ruchu ciała przekształca się w falę uderzeniową.

Taka fala eksplozji powietrznej, fala uderzeniowa spadła na las powalając drzewa, powodując niezwykłe zniszczenia promieniste. Po upływie pewnego czasu małe kulki roztopionej materii meteorytu spadają na Ziemię i takie właśnie kulki znaleziono w torfowiskach basenu tunguskiego. Nie wiadomo jeszcze, który z dwóch procesów: rozpadnięcie się na kawałki czy wyparowanie — odegrał główną rolę w „śmierci" tunguskiej komety. Akademik A. Fessenkow i autor tej odpowiedzi już od kilku lat uważają, że chodzi o proces rozpadnięcia się na kawałki. Obaj uczeni sądzą, iż jądro komety zostało literalnie zmiażdżone wskutek ogromnego ciśnienia aerodynamicznego rzędu 30 ton na jeden centymetr kwadratowy!

Wszelako dwa lata temu akademik G. Pietrow i jego współpracownicy obliczyli, iż gęstość materii komety była niewielka, wyparowanie mogło nastąpić bardzo szybko. W przeciągu kilku sekund cała masa komety mogła się przekształcić w chmurę pary.

W każdym razie, hipoteza komety w tunguskim fenomenie pozwala na wytłumaczenie przebiegu wydarzeń, które też położyły kres lotowi komety. Dalsze studia nad poznaniem charakteru komet poruszania się z prędkością ponaddźwiękową i rozchodzeniem się fal uderzeniowych pozwolą, być może, na jeszcze bardziej precyzyjną analizę tego niezwykłego zjawiska.

Fot: Archiwum

(STOK.)

REPORTAŻE

Andrzej Żurowski ukończył studia polonistyczne, na Uniwersytecie Gdańskim uzyskał tytuł doktora. Jest krytykiem teatralnym i za twórczość w tej dziedzinie Polski Klub Krytyki Teatralnej przyznał mu w roku 1970 nagrodę im. Edwarda Csato. W latach 1970—1972 Żurowski był kierownikiem literackim Państwowej Opery Bałtyckiej. Od roku 1972 pracuje w Telewizji Gdańskiej. Jest autorem scenariuszy teatralnych, baletowych, a także książki „Szekspiriady polskie", poświęconej teatrowi polskiemu wieku XVIII i XIX. Żurowski wiele podróżował po świecie. Efektem tych podróży jest 15 filmów dokumentalnych, nakręconych w różnych krajach. Najdłuższy cykl pochodzi z Ameryki Południowej.

Ta właśnie podróż Żurowskiego przyniosła również plon literacki. Jest nim książka „Spotkanie z mitem". Składają się na nią reportaże z Ameryki Południowej, reportaże, w których, obok obserwacji z codziennego życia, znajdziemy sporo rozważań o kulturze krajów kontynentu południowoamerykańskiego.

Książka „Spotkanie z mitem" ukazała się w Wydawnictwie Morskim. Zapowiada ono następny tom reportaży Żurowskiego, tym razem z Południowej Azji.

Andrzej Żurowski „Spotkanie z mitem". Wydawnictwo Morskie, Gdańsk, 1976, str. 315, cena 35 zł.

PRZECIWKO PRZEMOCY

„W społeczności Niemców zamieszkujących ziemie między Renem a Łabą, Heinrich Böll od lat blisko trzydziestu uparcie tropi wszystko to, co ludziom w nich samych i poza nimi, przeszkadza żyć po ludzku. Przez długi czas, od pierwszych opowiadań z tomu „Przechodniu, powiedz Spar..." po „Bilard o wpół do dziesiątej", powracał raz po raz do dziedzictwa hitleryzmu i wojny, z niepokojem obserwując jego niezatarte, a groźne ślady w psychice współczesnych. Później w twórczości Bölla na czoło wysunęły się zjawiska nowe, ale nie mniej alarmujące, instytucje i postawy ukształtowane i okrzepłe w okresie powojennej stabilizacji: konformizm, egoizm, nietolerancja, a ostatnio – w „Utraconej czci Katarzyny Blum" — przemoc" — czytamy w posłowiu do tej właśnie książki.

Böll przedstawił tu przemoc słowa uprawianą w RFN przez prasę brukową, przemoc tym bardziej brutalną, że działającą legalnie. Pisarz niedwuznacznie daje do zrozumienia, że jego książka skierowana jest przeciwko gazecie „Bild", a ściślej przeciwko praktykom dziennikarskim, jakie gazeta ta bezkarnie uprawia. „Utracona cześć Katarzyny Blum" jest nie tylko sumą obserwacji dziennikarskich obyczajów w RFN, ale także epilogiem prywatnej sprawy pisarza z prasą springerowską, która wielokrotnie napadała pisarza i jego rodzinę, nie przebierając w środkach i coraz to brutalniejszych insynuacjach. „Utracona cześć Katarzyny Blum" jest odpowiedzią pisaną na kampanie skierowaną przeciwko niemu.

Heinrich Böll „Utracona cześć Katarzyny Blum" przełożyła T. Jętkiewicz, Czytelnik, W-wa 1976, str. 160, cena 20 zł.

ŚMIERĆ PIĘKNYCH SAREN

W serii PIW-u „Współczesna proza światowa" ukazała się książka „Śmierć pięknych saren", której autorem jest Ota Pavel. Pisarz ten jest w literaturze czeskiej zjawiskiem wyjątkowym, warto więc poświęcić mu więcej uwagi. Pavel urodził się w roku 1930. Karierę zawodową zaczął jako reporter sportowy i autor książek o sportowcach. Sam zresztą czynnie uprawiał sport. W trzydziestym trzecim roku życia, po zimowej Olimpiadzie w Innsbrucku, Pavel trafia do zakładu dla psychicznie chorych. I tu właśnie rodzi się prozaik. W ucieczce przed tragiczną rzeczywistością Pavel zamyka się w świecie wspomnień ze swojego dzieciństwa i młodości. Pisze dwa tomy opowiadań „Śmierć pięknych saren" i „Jak spotkałem się z rybami". Po napisaniu Epilogu do swoich opowiadań Pavel znów ulega atakowi choroby, z której się już nie podniósł. Zmarł w roku 1973.

Bardzo piękne są opowiadania Pavla. Prostota narracji, subtelny humor, poetycka zaduma nad człowieczym losem, wrażliwość na piękno przyrody – to najistotniejsze ich walory. W tych autobiograficznych opowiadaniach na plan pierwszy wysuwa się postać ojca narratora, człowieka niezwykłego, współczesnego donkiszota, który potrafił być wielki i tragiczny, śmieszny i wzruszający.

W polskim przekładzie, wbrew tytułowi, znajdują się oba tomy opowiadań Pavla. Jest więc i „Śmierć pięknych saren" i „Jak spotkałem się z rybami".

Ota Pavel „Śmierć pięknych saren", przełożyli A. Piotrowski i J. Waczków. PIW, W-wa 1976, str. 214, cena 35 zł.

DROGI MICHELE

„Drogi Michele" to nagłówek listu. Tych listów jest w książce Natalii Ginzburg wiele, bo też korespondencja miedzy niewielką grupą osób jest tu najważniejsza. Właśnie z tych listów dowiadujemy się o kolejnych wydarzeniach, listy charakteryzują nam głównych bohaterów książki, ich wzajemne związki i stosunki, wreszcie styl życia, tak bardzo różny dla każdego z nich, że nie pozwala na ściślejsze zbliżenie, na pomoc w momentach, w których byłaby potrzebna.

Natalia Ginzburg jest pisarką włoską. Urodziła się w Palermo, w 1916 roku. Wyższe studia ukończyła w Turynie. W roku 1938 wyszła za mąż za Leona Ginzburga, jednego z czołowych przywódców walki z faszyzmem, który wkrótce po aresztowaniu umiera w więzieniu w 1944 roku. W okresie terroru faszystowskiego we Włoszech Natalia Ginzburg używa przybranego nazwiska Alessandry Tornimparte. Jest laureatka wielu nagród literackich.

Polski przekład powieści „Drogi Michele" ukazał się w Klubie Interesującej Książki.

Natalia Ginzburg „Drogi Michele", przełożyła B. Sieroszewska. PIW, W-wa 1976, str. 135, cena 13 zł.

LUDZIE I GWIAZDY

Dla miłośników literatury science fiction Wydawnictwo Poznańskie przygotowało antologię opowiadań fantastyczno-naukowych pisarzy krajów demokracji ludowej. Antologia nosi tytuł „Ludzie i gwiazdy" i swoją genezą sięga Międzynarodowego Spotkania Pisarzy — Twórców Literatury Fantastycznonaukowej, które odbyło się w roku 1973 w Poznaniu. Umieszczone w jednym tomie opowiadania pisarzy z Bułgarii, Czechosłowacji, NRD, Polski, Rumunii i ZSRR pozwalają porównać jak literatura science fiction rozwija sie w poszczególnych krajach socjalistycznych. I to zarówno w krajach, gdzie ma ona swoje tradycje sięgające początków wieku XX, przykładem może tu być Czechosłowacja, ZSRR czy Polska, jak i w tych — np. w Bułgarii – które swoją fantastykę budowały od podstaw dopiero po drugiej wojnie światowej.

Wśród autorów szesnastu opowiadań znajdziemy twórców do tej pory w Polsce jeszcze nie znanych, znajdziemy również dobrych znajomych, jak choćby Arkadija i Borysa Strugackich, których książki cieszą się u nas ogromną popularnością.

Polską literaturę science fiction reprezentują trzej pisarze: Czesław Chruszczewski, Konrad Fiałkowski i Stanisław Lem. Żadnego z nich nie trzeba bliżej przedstawiać. Miłośnikom fantastyki wszyscy są doskonale znani.

B.M.

„Ludzie i gwiazdy", Wyd. Poznańskie, Poznań 1976, str. 459, cena 45 zł.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

ŚWIAT ERICHA VON DÄNIKENA

Erich von Däniken ożywił stare mity, odsłonił nie rozwiązane tajemnice przeszłości, skatalogował tysiące zagadek archeologii, a przede wszystkim — postawił tysiące pytań. Däniken wciąż zadaje pytania. I właśnie to najbardziej irytuje uczonych z patentem na wiedzę, dla których świat jest poznawalny i prosty, choć jest nadal niepoznawalny, nie wyjaśniony do końca i prosty tylko w ramach prostej umysłowości człowieka. Ale świat, człowiek i jego dzieje nie mieszczą się w tych ramach.

Uczeni od lat grzebią w ziemi szukając „brakującego ogniwa" w łańcuchu ewolucji. Ogniwa znajdującego się między człowiekiem z Neandertalu a człowiekiem w najwyższym stadium rozwoju. I może nigdy nie znajdą, bo to może my właśnie jesteśmy owym „brakującym ogniwem", a jeszcze dalej, poza systemem naszych pojęć i możliwością naszego poznania są właśnie owe „najwyższe stadia rozwoju"?

Więc Däniken pyta. Dlaczego wykopany w Ekwadorze szkielet człowieka z epoki kamiennej ma na szyi amulet z rysunkiem Słońca, Księżyca i człowieka stojącego na kuli? Przecież w epoce kamiennej człowiek nie wiedział, że ziemia jest kulą.

Dlaczego kultowe twarze Azteków pokazują boga Słońca w kuli, obsługującego jakieś aparaty? Dlaczego na sumeryjskich pieczęciach bogowie wychodzą z kul, lub na nich latają? Sumeryjskie mity opowiadają o bogach, którzy w barkach i wozach ognistych wędrowali po niebie, opuszczali się na Ziemię, zapładniali Ziemian, a potem wracali znów do gwiazd.

W jaskiniach Varzelandia w Brazylii odkryto na przykład rysunek skalny. Otóż w prawidłowym stosunku do Słońca wyrysowanych jest tam osiem z dziewięciu planet naszego systemu Słonecznego. Rysunek pochodzi z... epoki kamiennej. Ludzie tej epoki nie posiadali, jak wiadomo, żadnej astronomicznej wiedzy. Kto był zatem ich nauczycielem?

W Muzeum Irackim w Bagdadzie stoi w gablocie bateria galwaniczna, z której jeszcze dziś uzyskać można napięcie 1,5 Volt. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że jest to bateria pochodząca... sprzed naszej ery.

Däniken pyta. Jest tych pytań wiele, powodują panikę lub szyderstwo. Przed dwoma laty ukazały się w polskim przekładzie słynne „Wspomnienia z przyszłości". Wzruszająco naiwne i bezradne było „naukowe" posłowie do tej książki, napisane przez naszego „specjalistę".

Tym razem — inaczej. Książka-album Ericha von Dänikena „Oto mój świat" (250 stron, ponad 400 fotografii) nie ma żadnego posłowia, w którym przyzwoitość nakazywałaby odpowiedzieć przynajmniej na zasadnicze pytania. Czytelnik otrzymał po prostu materiał do refleksji i własnych ocen.

Trzy książki Dänikena osiągnęły ogromny sukces wydawniczy. Dwa i pół miliona egzemplarzy w krajach mówiących po niemiecku. Siedem i pół miliona egzemplarzy w krajach mówiących po angielsku. Dwa miliony egzemplarzy w krajach mówiących innymi językami.

„Oto mój świat" wydała oficyna „Sport i Turystyka" w... pięciu tysiącach egzemplarzy. Nie mam pretensji do wydawnictwa. Skądże znowu! To przecież dzięki niemu, mimo wszystko mamy jednak tę fascynującą księgę pytań o Świat i Człowieka.

A jaki jest świat Dänikena? „Przed tysiącami lat bawili na naszej planecie astronauci, których nasi odlegli przodkowie uważali za bogów. To oni podyktowali ludziom całą prawdę i skłonili zakazami i nakazami do przekazania nie sfałszowanej prawdy przyszłym pokoleniom". Ale ludzie prawdę tę zniekształcili, powstały religie a naukę i prawdę zastąpiono Wiarą. „Dlatego — pisze Däniken — ośmielam się moimi teoriami i spekulacjami, mozaiką rzeczy znanych i kłopotliwymi pytaniami wyrwać zmrużałą deskę z tego zabitego deskami świata, w których większość z nas żyje".

WIDOK

LEWYM OKIEM

PRZEGLĄD PRASY

W jednej z gazet łódzkich zwróciło moją uwagę takie ogłoszenie: „Izba Rzemieślnicza zawiadamia, że dysponuje na terenie m. Łodzi lokalami po piekarniach, które po dokonaniu niezbędnych adaptacji nadają się do uruchomienia produkcji piekarniczej".

Co wynika z tego ogłoszenia? Wynika, że szukamy chętnych na uruchomienie piekarni tam, gdzie przedtem piekarnie zostały zlikwidowane. Wynika też, że trzeba dokonać adaptacji, bo inaczej piekarnia nie da się uruchomić. Przedtem jednak w tych samych lokalach piekarnie były. Może były niedobre, może dlatego je zamknięto, ale przecież można było nie zamykając poprawić to, co trzeba ulepszyć, doadaptować i nie zaczynać teraz od zera, od ogłoszeń w prasie. Oczywiście nie wiemy jakie były główne powody likwidacji piekarń i postawienia lokali w stan nieczynny. Nie wiemy, ale jakiś niepokój mimo wszystko człowieka nurtuje: czy nie za dużo nas kosztują takie huśtawki — było, nie ma, zamknąć, otworzyć?

Czytam sobie kapitalne felietony Hemingwaya („Sygnowano: Hemingway") z trudem nabyte w dniu otwarcia nowej księgarni, jako że na otwarcie sklepu w każdej branży jakieś tam towary ku ozdobie w magazynach czekają. Papa Erni — tak go nazywali przyjaciele — zarabiał bardzo dużo, także i za felietony płacono mu wielkie honoraria. Ale my mu i tak współczujemy. Nie wiem czy szczerze, czy też gwoli stylistycznego i (w zamyśle) propagandowego ozdobnika pisze publicysta łódzkiego tygodnika społeczno-kulturalnego: „Hemingway został bezczelnie okradziony przez wydawcę. Tygodnik, który publikował „Starego człowieka i morze", rozszedł się w 5.300 tysięcy egzemplarzy. Ale Hemingway otrzymał tylko 40.000 dolarów..." Biedny Hemingway i podły tygodnik! U nas żadne pismo nie ma nakładu pięciu milionów, ale jest takie, co ma piątą część tego. Odpowiednio zmniejszone honorarium wyniosłoby... a w praktyce wynosi, o ile wiem, — ... No, ale u nas nie ma Hemingwayów, więc nie ma się nad kim litować.

Żeby pozostać przy wrażeniach z lektur: przed paroma miesiącami „Kultura" opublikowała fragment książki Andre Malraux „La cord et les soris" obejmujący notatki z rozmów autora z generałem de Gaulle'em. Zapisałem sobie zdanie generała, od którego cierpko się robi na języku, a dotyczące francuskiego ruchu oporu pod okupacją niemiecką: „Alianci, zwłaszcza Amerykanie, mogli uważać Resistance za jakąś Legię Cudziemską, jakąś armię Andersa..."

Ileż wyniosłej nonszalancji generała w odniesieniu do oddziałów polskich, które — niezależnie od zawiłych manipulacji politycznych na wysokich szczytach — biły się przecież desperacko i stanowiły mimo wszystko jakąś pozycję w bilansie sił alianckich! Jakaś tam Legia Cudzoziemska, jakaś armia Andersa — to przecież nie to, co Resistance, na której z kolei sam generał budował wizję swego triumfalnego powrotu do Francji. Dlatego — jak wynikało z omawianego tu fragmentu książki — wyjaśnił Amerykanom charakter francuskiego podziemia zbrojnego i być może przekonał ich przy tym, że nasz drugi korpus to gromada zawodowych awanturników, wojujących wszystko jedno z kim dla żołdu, zysku i przygody: legia cudzoziemska.

Kiedy indziej generał powiedział swemu wiernemu współpracownikowi późniejszemu ministrowi kultury, Malraux: „Nikomu nie przychodzi łatwo narzucenie sobie dyscypliny bezczynności, ale to konieczne. Życie nie jest pracą: nieprzerwana praca ogłupia. Niech pan o tym pamięta. Jeśli ma się na to ochotę — to zły znak. Ci z pańskich współpracowników, którzy nie mogli żyć bez pracy, nie byli wcale najlepsi".

Francuzi kochają paradoksy i trzeba brać na to odpowiednia poprawkę. Mimo to przyznaje ze skrucha, że te dwa cytaty „ustawiły" mnie skuteczniej niż cała książka Gerarda o byłym prezydencie Francji. Tak to bywa, gdy się czyta lewym okiem.

ĆWIEK

PROPOZYCJE

GRANICE FANTAZJI

„Wszystko przez te atomy" — śpiewał kiedyś solista „Silnej grupy pod wezwaniem". — Co jest z tą pogodą? — niepokoił się jakiś zażywny jegomość w tramwaju. — Znów pewnie jakiegoś satelitę wystrzelili i to wszystko przez to.

Ludzie zawsze starali się ustalać przyczyny wszelkich zjawisk, a nie znajdując wyjaśnień racjonalnych, dorabiali irracjonalne. Wprawdzie Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej codziennie wieczorem tłumaczy wszystkim dorosłym Polakom, dlaczego jutro będzie taka a nie inna pogoda, ale to tłumaczenie okazuje się niewystarczającym. No bo jakże to tak. Jednego dnia jest plus 26 stopni Celsjusza, a następnie tylko plus 6 stopni. Dlaczego? Skąd nagle taka zmiana?

Marzy się więc nam wszystkim taki czas, kiedy to zapowiedzą w telewizji, że jutro ze względu na wolną sobotę, a także ze względu na wolną następnie niedzielę IMGP zapewnia znakomitą, słoneczną, bezwietrzną pogodę. Zimą śnieg na sanki. W literaturze science fiction można spotkać już opisy takiego rozumnego działania człowieka. Ale nasi marzyciele nie zdają sobie zupełnie sprawy z tego, że w ich marzeniach tkwi też groźba poważnego niebezpieczeństwa.

Niedawno jeden z profesorów uniwersytetu w Meksyku zupełnie serio oskarżył Stany Zjednoczone, że zmieniły kierunek tajfunu „Gertruda", w wyniku czego w Gwatemali zginęło około 6 tys. osób. Stany Zjednoczone oczywiście ostro zaprotestowały przeciw takiemu oskarżeniu. A ich stanowisko poparli różni uczeni, utrzymując, że jeszcze nie jesteśmy w stanie dokonać czegoś takiego. I być może dobrze, że jeszcze nie potrafimy. Z jednej strony bowiem moglibyśmy świadomą działalnością ratować życie i dobytek innych ludzi, a z drugiej — im zagrażać. Jeden człowiek dąży mianowicie do tego, aby posiąść umiejętność wykorzystywania dla dobra ludzi sił przyrody, a inny — aby siły te wykorzystywać dla zbrodniczych celów.

W Kanadzie na przykład z inicjatywy rządu opracowano 19 różnych technik modyfikacji środowiska naturalnego w celach wojskowych. W marcu 1967 roku rozpoczęła się w Wietnamie amerykańska „Operation Popeye", której celem było spowodowanie wzrostu opadów. Trwała ona dwa lata, kosztowała 3,6 miliona dolarów. Zrzucono na Wietnam 47 tys. bomb deszczowych, ale jak twierdzą specjaliści średnią roczną opadów udało się podnieść z 50 cm do 55 cm. Krytycy tej akcji dowodzili, że szkoda było pieniędzy i wysiłku. Zwolennicy natomiast utrzymywali, że nie[illegible]udało się podnieść ilość opadów aż o 30 procent i to już wystarczająco utrudniało życie wietnamskim partyzantom. W sumie jednak wszystko to zdało się psu na buty, bo dobrze wiemy jak się skończyła amerykańska wojna w Wietnamie.

Radzieckie gazety „Prawda" i „Izwiestia" wielokrotnie występowały przeciw zbrodniom wojny geofizycznej, wskazując jakie to może mieć skutki dla całej ludzkości. Jean-Claude Halle napisał w „Paris Match", że „włosy stają na głowie, nawet jeśli wiele z tych badań nie wykroczy poza stadium teoretyczne". A chodziło mu o badania nad możliwościami modyfikacji naturalnego środowiska w celach wojskowych. W 1973 roku Senat USA wezwał rząd do opracowania zakazu wszelkiego oddziaływania na środowisko. Na konferencji rozbrojeniowej w Genewie opracowano projekt zakazu wojny meteorologicznej i geofizycznej. Projekt ten ma być rozpatrzony przez Zgromadzenie Ogólne ONZ.

Czy jednak ludzie, opanowani manią niszczenia, zaprzestaną snucia swoich fantastycznych wizji, które jakiegoś dnia mogłyby sprowadzić na naszą Ziemię katastrofalne klęski? Nigdy nie ma takiej pewności. Jest tylko jedna nadzieja, że zawsze rozum weźmie górę nad szaleństwem, że troska o dobro nas wszystkich i całej planety przeważy nad szaleńczymi pomysłami. A pomysły są zaiste szaleńcze. Na szczęście wiele z nich pozostaje i chyba przez długie lata pozostanie w sferze teorii.

Mamy dość kłopotów z naszym najlepszym ze światów i gdyby można było pieniądze, które przeznacza się na wymyślanie sposobów wyniszczenia ludzkości, przeznaczyć na walkę z różnymi klęskami, które trapią rodzaj ludzki, byłoby to bardzo pożyteczne działanie. Na szczęście polityka odprężenia i współpracy, mimo różnych zakrętów i mielizm, zyskuje coraz więcej zwolenników. Coraz częściej uczeni różnych krajów łączą swoje wysiłki przy wspólnych badaniach zmierzających do poprawy naszego bytowania na planecie Ziemia. Coraz więcej powstaje barier dla tych, którzy bezmyślnie niszczą nasze środowisko naturalne. I to wszystko jest bardzo pocieszające. Nie można jednak zapominać, że gdzieś tam w ciszy gabinetów i laboratoriów rodzą się zbrodnicze pomysły. O takich pomysłach poinformował niedawno specjalną komisję Senatu USA były doradca naukowy prezydenta L. Johnsona, wicedyrektor instytutu geofizyki i fizyki planetarnej uniwersytetu w Kalifornii — profesor McDonald. Relacja profesora McDonalda głęboko zaniepokoiła senacką komisję.

Fantazja jest nam bardzo potrzebna, ale też są jej określone granice. Niech służy ludziom, a nie zmierza do działania na ich szkodę.

MARCIN RODAK

magazyn

RYSZARD BINKOWSKI

PRANIE

W domu było git, ciepło i jasno. Robiło się ciemno, jak stary wracał z szychty na zaklętych rewirach. Grzmiał jak Zeus, walił w matkę piorunami, graty były na złom, a matka w strzępach, też na złom, psychiczny zresztą, gotowa do czubków. Stary periodycznie nawijał, że skończy z komórką społeczną, bo on jest oberkelner i papużki tańczą mu na stołach z gołymi cycami, to po prośbie nie musi latać.

Kiedy przekicałem przez budę powszechną, namierzyłem do zawodówki. Stary wziął mnie wtedy pod halc, był na cyklu kosmicznym, aż mnie zamroczyło od chuchu, i wygłosił ojcowską wolę, że mam fach po nim pociągnąć i szlus. Na to matka nie mogła się zgodzić. Dopadła nas i krzyczy głosem pełnym boleści, że nie wyda dziecka na pohybel dziwkom i wódzie. Ojciec zsiniał, trzasnął moim łbem o ścianę i pyta, czy będę jej słuchać, czy jego? Kiwam głową i mierzę zębami w jego białą kelnerską łapę. Wbiłem szczęki jak wilk, ale wycie wyszło z ojca. Puścił, matka go za kudły, odbił się od ściany, zdzielił matkę młotem, klapła na podłogę. Chapnął ją pod szczenę i przystawił kozik do wola. Otrząsnąłem się z zamroczenia, złapałem krzesło, huknąłem ramola w globus i poszedłem w Polskę.

Pod Kutnem przyłączyłem do trampującej skupiny, skubnęło się to tamto po siołach i się żyło. Ale raz, to było za Włocławkiem, nadzialiśmy się na wiejski sklep. Geesówka stała za ladą jak truśka, z lufą korkowca między łopatkami, a my do szuflady i jak małpy na półki monopolowe. A z dworu trzech chłopów, którzy przyszli po gorzałkę do młocki. Założyli sztabę, przetknęli żelaznym kołkiem i przekablowali do szeryfa gminnego.

Przewieźli nas do sezonowej przechowalni dla małolatków, gdzie siedziałem miesiąc. Potem sędzina dla nieletnich powiedziała, że ja jestem pionier, jeszcze nieskażony, i czy chciałbym się uczyć. Jasne, przecież myślałem o zawodówce. No to podrzucili mnie do zakładu zamkniętego, pod miastem, bo ojciec kiblował, a matka męczyła się po szpitalach.

Wciągnąłem się w koszarowy żywot i było mi dobrze. Przeskoczyłem jedną klasę ślusarki, drugą, grałem w nogę, ale poważania u kumpli nie miałem. Nie stawiałem się, na krzyż nie chodziłem, kompletny czyścioch. Wobec powyższego dyrektor przerzucił mnie do trzeciej grupy, żebym trochę rozsadził element. Jako wzór, ideał. W tej grupie byli między innymi: Wydra, Ostry i Górka.

Wydra spytał, czy chcę do ludzi. Do jakich ludzi? Udałem głupiego. Do dobrych ludzi, Buźka.

Wiedziałem, po dwóch latach musiałem wiedzieć, ale czemu miałem nie być wśród ludzi? Jak bym nie był, to by mnie kopali bez przerwy. No, i zostałem gitowcem. Grupa była nielegalna, wychowawcy, Kropa i Pandor, bezsilni, bo które miejsce uderzyć?

Po tych wszystkich egzorcyzmach, kłuciach, nacinkach i piciu moczu, które mną zdziebełko szarpnęło, sprawdziłem się i miałem u ludzi szacunek.

Ale już przed Bożym Narodzeniem coś zaśmierdziało. Małolat Szalek, też git, którego niedawno dowieźli ze schroniska, pośliznął się brzydko. Przejął od furmana dwa błota i spili się z kolesiem na amen. I to o tych błotach przeciekło do centrali, chociaż Szalek z kolesiem nie farbowali. Szalek nosił pseudo Bokser, ponieważ trenował piąchy w klubie, był silny i zręczny. Strasznie groził, zgrzytał zębami i węszył, bo mu skasowali przepustki i nie mógł chodzić na mecze.

Górka wtedy powiedział, że wśród ludzi nie może być kapusiów, ale są. Na dowód sypnął faktami. Ktoś, zapewne ten sam typek, doniósł o zmianie grypsu, cięciu szyb i biciu kolesia. Wlepił we mnie wredne ślepka i oznajmił, że to ja, ten idealek, jestem szpicelkiem. Zaprotestowałem, ale Górka stwierdził twardo, że nie lubi wciskać kity. On to zbada i udowodni.

Przeleciały ferie. Drugiego stycznia, była za dwadzieścia dziesiąta wieczorem, poszedłem do magazynku odzieżowego, ażeby się przebrać do spania. Zakładałem piżamę, kiedy wszedł Ostry. Buźka, pozwól do łazienki, powiedział. Wepchnął mnie do łazienki i odszedł. Nad umywalką pochylał się Klin. To był zdrowy byczek. Kiedyś poszedł na rozbój. Kradł, łłukł dzieci, wymuszał forsę. Teraz mył się i nie zwracał na mnie uwagi. Poczułem lekkie dotknięcie w plecy. Z tyłu stali rozkraczeni w drzwiach Górka i Wydra.

— To jest pewne, Buźka — powiedział Górka.

— Zgłupiałeś? Coś ci się pozające kowało?

— To jest pewne, Buźka. To ty!

— Górka, udowodnię, że to wielki bałach!

Przymknąłem oczy, Górka strzelił w twarz, poprawił w żołąd, sypnąłem się na posadzkę. Byłem we krwi, jęczałem i wzywałem pomocy. Sypialnia blisko, Marek słyszał, ale nie pomógł, bo nie był w gitach. Bał się. Bruda też słyszał, ale on miał zaraz opuścić zakład, to po co się narażać?

— Taki jest początek prania — usłyszałem nad sobą głos Wydry.

Chciałem się obmyć. Oderwali od umywalki i kopali. W głowę w twarz. Podnosili mnie, stawiali w rogu łazienki i ładowali drewnianym trepem. Żeby nie upaść, przytrzymywałem się brzegu wanny. Jak przez mgłę zobaczyłem wchodzącego Szalka.

— Bokser — powiedział zdyszany Górka — kończ pranie.

— Ma dosyć...

— Bokser, ty się przekręciłeś — wrzasnął Ostry. — Ty musisz na nim przejść sprawdzian. Albo nie jesteś gitem...

— Syp w klawiaturę — podjudzał Górka. — Za twoje dwa błota.

Szalek bił technicznie, tłukł jak w gruchę, na zimno. Zamroczyło mnie i zwinąłem się w rogu. Oni wyszli. Kiedy podniosłem się z posadzki, wrócił Klin.

— Niedobrze, że oddychasz — powiedział. Zdjął trep, nie zdążyłem się zasłonić i dostałem w głowę. Ale tym razem nie upadłem. Umyłem się, poszedłem na sypialnię, zabrałem nici i igłę. W klopie pozszywałem podartą piżamę i położyłem się spać. Nikt ze mną nie rozmawiał.

Rano o piątej czterdzieści udałem się na gimnastykę. Mordę miałem czarną i spuchniętą jak bania, każdy ruch sprawiał ból. Kropa spytał, kto mnie załatwił. Milczałem. Kropa zaprowadził mnie do gabinetu. Powiedział, że zostało mi pół roku w zakładzie i koniec zawodówki. Opowiedziałem. Udałem się do szpitalika, higienistka Karowa zrobiła opatrunek. Pojechałem na chirurgię twarzowo-szczękową do Zgierza. Stwierdzono liczne wybroczyny, stłuczenie twarzy, nosa, wargi górnej, uszkodzenie oka, sińce, zdartą skórę na twarzy i tułowiu, złamanie żebra i prawego kła oraz wstrząśnienie mózgu, bo wymiotowałem.

Na oddziale przebywałem dwa tygodnie. Wróciłem do zakładu. Tamci nie przyznali się. Jeden mył schody, drugi żuł ciastka. Wydra robił dla Ostrego rysunek techniczny...

Po dwóch dniach, ze względu na bezpiekę, bo gitowcy nie aprobują donosów, przeszedłem na grupę półwolnościową. Od trzech tygodni jestem na zwolnieniu lekarskim. Mam zawroty głowy, nie mogę pracować.

Ale to jeszcze tylko miesiąc. Wracam do matki. Jest zdrowa, ojciec kibluje na odwykówce. Mogę wrócić i bardzo tego pragnę. Nie byłem kapusiem, przestałem być gitczłowiekiem. Myślę, że ostatnie trzy lata, to było wielkie pranie. Dobrze, że skończyło się w tej cholernej łazience.

ANDRZEJ GRUN

MAŁE KINO

„Najlepsze te małe kina".

K. I. G.

BOGATE BIEDACTWA

W Filadelfii grupka odważnych filmowców popularnonaukowych ukończyła ciekawy dokument o życiu duchowym miliarderów. Jest ono znacznie bogatsze, niż do tej pory zakładali skrajni postępowcy. Okazuje się np. iż miliarderzy w okresie jesiennym zamyślają się, nie lubią rozmów o śmierci oraz łysienia. Warto dodać, że stwierdzono u nich również lekkie rumienienie się w obecności przedstawicieli proletariatu. Niestety, przedstawiciele proletariatu w obecności miliarderów też tracą swój naturalny sposób bycia.

WESOŁA STUDZIENKA

Rolnik Kazimierz Cios korzystając z nieuwagi sąsiada, zajrzał przez ciekawość do jego studni. Na dnie studni dojrzał własne odbicie oraz zawierzoną na lince butelkę. Zamiast zająć się butelką, rolnik Kazimierz Cios oszołomiony własną urodą, zaczął przeglądać się w wodzie i czesać. Robił to tak nieostrożnie, iż powracający ze świetlicy sąsiad bez trudu ukarał go, wbijając widły w okolicę pleców. Przybyły na miejsce akcji Kierownik Kina Wiejskiego surowo ocenił postępowanie obu uczestników zajścia, po czym oddalił się, obiecując wezwać Pogotowie. Przed odejściem Kierownik przejrzał się w studni i uczesał.

ANDRZEJ CZEKALSKI

HORACY SAFRIN

BAJKI

POSTĘPOWY RAK

Demonstrując swą czerwień stworom pól i lasu
szedł do tyłu i wołał: „Idę z duchem czasu!"

WILK WŚRÓD OWIEC

Kiedy go w owczej skórze wśród trzody odkryto,
wilk bronił się: „Zachować chciałem incognito..."

OSIOŁ O MULE

Osioł twierdził o mule: „To istne curiosum!
Kształt po koniu dziedziczy, no a po mnie —
rozum."

ZAKOCHANY SŁOŃ

Słoń wdziękami żyrafy długo się zachwyca.
„Cóż? Puściłeś mnie w trąbę..." — westchnęła
słonica

ŻMIJA O SOBIE

„Mnie — oświadczyła wyniośle żmija —
wszyscy się boją! Z wyjątkiem kija."

ROMANTYCZNY KOGUT

Gdy się bogdanka po nocach śni mu,
pieje do rymu.

PRZYSŁOWIE ARABSKIE

Koza, ruszywszy przed się w świat daleki,
gdyby nie wilki, zaszłaby do Mekki.

Pewex
zaprasza
do nowo otwartego kiosku
w HOTELU «CENTRUM»
ŁÓDŹ, UL. KILIŃSKIEGO 59/63.
ŻYCZYMY UDANYCH ZAKUPÓW.
3597/k

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 2127, R-11.